

Trzy po trzy

Aleksander Fredro



calibre 0.9.27

TRZY PO TRZY

Pamiętniki z epoki napoleońskiej

Aleksander Fredro

Ośmnastego lutego, roku 1814, jechał na białym koniu człowiek średniego wieku, nieco otyły, w sieraczkowym surducie pod szyję zapiętym, w kapeluszu stosowanym bez żadnego znaku prócz małej trójkolorowej kokardy. Za nim, w niejakiej odległości, drugi, znacznie młodszy, także w surducie, ale ciemnozielonym, także w kapeluszu bez znaków, także zgarbiony równie jak pierwszy, a może i lepiej - siedział na dereszowatym koniu. Koń biały, krwi orientalnej, był niewielki, niepokazny, ale dzielny. Deresz zaś był... dereszowaty, trudno co o nim więcej powiedzieć; nie wstrzymywany ani sławą przodków, ani swoim własnym usposobieniem, potykał się często na drodze, którą mu los codziennie wyznaczał. Pierwszym z tych jeźdźców był Napoleon, drugim byłem ja. Między nami liczny sztab cesarski, gdzie ja niby na szarym końcu miejsce moje miałem, rozpuścił szeroko skrzydła na prawo i na lewo po śniegiem okrytym polu. Za nami postępowały służbowe szwadrony gwardii, a na samym końcu świergotliwa i niesforna czereda ciurów z powodnymi i jucznymi końmi sztabowych oficerów. Jechał więc Cesarz, jechali wszyscy, jechałem i ja. A ile w noc pogodną gwiazd na niebie, w tyle miejsc, stron, przedmiotów, nieodgadnionych labiryntów pędziły rozstrzelone myśli nasze - a każda z nich znowu, jak racy słup ognisty, składała się z milionów iskier, iskier wspomnienia lub nadziei. Te padały to na tronowe kobierce, to na murawę zagrody rodzinnej - mieszały się z jarzącym światłem uczty albo z mdłym promykiem nocnego kagańca przy łożu chorego. Niejedna przemknęła się po różanych ustach kochanki, niejedna spuściła się jak sen lekki po tak drogie w każdej porze życia błogosławieństwo matki. Były takie, co przebijały niebios sklepienia, i takie, co wnikały w zasute już groby. Wiele, wiele pięło się po szczeblach zaszczytów, bogactw, sławy, ale też i wiele spadało na kwiaty cichego domowego szczęścia. Słowem, przeszłość, obecność, przyszłość, świat, światy znane i nieznanne były polem igrzysk naszych rozstrzelonych myśli, gdy nagle, w mgnieniu oka, wszystkie jedną siłą uderzone, w jeden zbiegły się punkt. Tym punktem był huk mocny i powtórzony w niezbyt dalekiej przed nami odległości. - Armaty! tak armaty, nie ma wątpienia, ryczą coraz lepiej jak na wyścigi, która głośniej.... wkrótce i ogień karabinowy, jakby kto groch sypał na bęben, zappełnił przerwy grzmotu działowego. - Aha! - rzekł niejeden i zaglądnął do manierki, alias flaszki. - Aha - powiedział, ale nic nie wiedział, kto atakuje, kto odpiera, czy to korpus jaki, czy też armia cała taniec rozpoczyna, szary koniec nic nie wiedział. - Biją się... daj Boże szczęście, to quotidianka nasza, ale dlaczego tu - nie tam, dziś - nie jutro, nad tym nikt się nie zastanowił. Podówczas krytyczny rozbiór każdego rozkazu, każdej czynności przełożonego nie był koniecznym zadaniem podkomendnych. Wojsko nie sejmowało, ale się biło. Starszy zdawał sprawę tylko swojemu starszemu, a młodszy słuchał z ufnością i działał, jak mu kazano. Ale tempora mutantur et nos mutamur in illis. Może i to prawda, że kto siwieje, ten traci duszę, jakby mu ją kto łupał trzaska po trzasce, tak że na koniec zupełnie bez niej zostanie... może prawda, że rozwaga tylko hamuje, doświadczenie tylko płacze niepotrzebnie... może prawda, że krew młodością wrząca jest jedną i jedyną dźwignią wszystkiego,

co dobre i wielkie... może nareszcie i to prawda, że tylko głupcy, próchna, stare peruki i szlafmyce pytają, jaki czego koniec być może. - Tak jest, wszystko to mogą być prawdy, ale mnie wolno tym prawdom nie wierzyć. Lubom przeszedł pięćdziesiątkę, żal mi abdykować praw człowieka, już bym skłonił się raczej włosy sobie poczernić.

A więc, jak mówił Kiliński, nikt wkrótce nie wątpił, że bitwa przed nami, a my ku niej idziemy. Rzeczywistość, jak ów jesienny wietrzyk o wschodzie słońca, co to ożywia, ale i ćwiczy razem, odpędziła od nas chmurę marzeń, która zwykle osiada na jednostajnym ruchu spokojnego marszu. Każdy wstrząsł się jak ze snu i pomyślał o sobie. Ten, co w troje zgarbiony dzwonił ostrogami po spuszczonej strzemionach, i ten, co chcąc odpocząć strudzonej części ciała, zsunął się na bok tak, że jedną nogą olstrów sięgał, a na drugiej stał prawie, poprawił się na kulbace, jak gdyby usłyszał komendę: Baczość! Ten ścisnął podpinkę czaka lub kapelusza, tamten cugle porządkował i szlufkę do grzywy przysunął, a każdy odkrył zasłoniętą płaszczem rękojeść pałasza, opatrzył ją, a potem wzniosłszy głowę, zdawał się wietrzyć, nim jeszcze zoczy, co go witać będzie.

Nareszcie pokazał nam się dym biały, a wkrótce postrzegliśmy czarne linie piechoty. Długie, krótkie, naprzód wysunięte, w tył cofnięte, odbijały się od śnieżnego tła jak świeżo wysypane przekopy, tylko wkoło nich objawiało się życie nieustannym ruchem drobnych punkcików, jak mrówek koło mrowiska. Nikt tam pewnie nie drzymał, nikt nawet nie dumał - nigdy życie różniej i jaskrawiej nie gore jak ze śmiercią oko w oko i częstokroć jego mocniejsze łyśnięcie bywa ostatnim.

Na pierwszy rzut oka można było poznać, że nie przybywamy na początek boju. Wiatr przeciwny czy ciężkie powietrze, czy też położenie kraju albo może i wszystko razem było przyczyną, dlaczegośmy tak późno zasłyszeli huk dział. Była to niespodzianka... i dobrze!...

We wszystkim trzeba odmiany i nowości, aby żyć wesoło.

Z lewego skrzydła wstępujemy do boju... Vive l'Empereur! Linie ściskają się w masy... działa schodzą z pozycji... ruch ku prawemu... potem kolumny rozwijają się znowu... baterie stają w oddziałach... strzelamy, atakujemy, zwyciężamy... Montereau w naszym ręku. Zwinęliśmy się gracko, nie ma co mówić, ale miał się też z pyszna pan marszałek Victor za to, że nas w tym dziele nie uprzedził. Powiedział mu Cesarz parę słów, które należałoby powtórzyć tak jak wszystko, co wyszło z ust tego wielkiego człowieka, bo każdy je słucha albo czyta chętnie, ale Cesarz, aczkolwiek cesarz, miewał czasami wyrazy dobitne wprawdzie i właściwe, i węzłowate, trudne jednak dla historyka do powtórzenia, a tym więcej do przetłumaczenia. Trzeba więc ograniczyć się w podobnym razie na wolnym naśladowaniu, tak też i ja uczynię mówiąc, że po bitwie pod Montereau Cesarz powiedział panu marszałkowi: Idź do diabła! - A po tej krótkiej przemowie powierzył komendę korpusu generałowi Gérard. Nim się to wszystko stało i nim ja się o tym dowiedziałem, bateria artylerii konnej gwardii z ogrodu pałacu Surville, dominującego miasteczko Montereau, równie jak i drogi, którym wypędzony cofał się nieprzyjaciół, zegnała go, jak mogła najlepiej. Wie każdy, że tam Napoleon sam wymierzył jedno działo, wie, że powiedział swoim gwardzistom: "Nie lękajcie się, jeszcze kula nie ulana, która mnie zabije", ale nie wie pewnie, że o kilkadziesiąt kroków z tyłu stał deresz, a na deresz ja.

Chcąc wyrazić doskonałość jakowej czynności, mówi się zwykle: Zrobił to lub owo jak król! Ale źle mówią ci, co tak mówić zwykli, bo nie tylko król, ale cesarz i król w jednej osobie wymierzył, strzelił i... chybił. Kula padła przed linią nieprzyjacielską. Utrzymują wprawdzie niektórzy, że dobrą dał dyрекcję... być może... ale ja, nie rezonując jako artylerzysta, powiadam simpliciter, com widział, że Jego Cesarska Mość spudłowała na piękne. Po tej scenie nastąpiła druga. Oficer z pułku liniowego francuskiego, Polak, przyniósł zdobyty sztandar - dostał krzyż i czterdzieści napoleonów. Mało kto w życiu bywał tak mocno tureckim świętym jak ja, a jednak

pieniądze jako część nagrody świetnego czynu, nie podobało mi się wcale - byłem jeszcze młody!

Mieć konia mniej roztargnionego jak mój deresz... mieć dobry płaszcz... (O mój płaszczu biały!) płaszcz przyjaciel w dzień, opiekun, dobrodziej w nocy, kiedy pniaczek za poduszkę, śnieg za materac służy... mieć nareszcie flaszczkę zawsze napelnioną kroplami pociechy - są to rzeczy arcydobre, tego nikt nie zaprzeczy, równie jak i tego, że bez tych podłych pieniędzy miejsca mieć nie mogą. Wychodzisz spod dachu, gdzie wygodnie noc przespąłeś... poranek letni... koń twój dobrze nakarmiony i wychędożony strzyże uchem, grzebie nogą... siedzisz na nim ledwie tknąwszy grzywy i strzemienia... Marsz! Wstępujesz do boju. Przed tobą rzeka, za rzeką bateria sypie kartaczami. Za mną, dzieci! W Bogu wiara! Rzeka przepłyniona, działa zdobyte, zwycięstwo nasze! Czyn świetny, wart nagrody, ale ty rozwinąłeś tylko przy pomyślnej sposobności władze, które jeszcze nietknięte w tobie leżały. Padły na szalę z jednej strony obawa kalectwa lub śmierci, z drugiej męstwo rozgorzałe całym ogniem krwi, całym zdrowiem życia, musiała więc obawa ulecieć, nie objawiwszy się nawet. Ale patrz no na tego, co po kilkomiesięcznej, codziennej walce z głodem, zimnem i wrogiem odtrąca resztę skopciałego snopka spod pyska zgłodniałej szkapy... wznosi się na kulbakę, pod którą ścierva już nie ma... odwija szczątki płaszcza... chwyta za rękonożę, którą deszcz zardzewił, szron posrebrzył... a jeżeli on zadziwi cię świetnym czynem, oddaj mu twój wieniec, bo go dwojako zasłużył. Jeżeli zaś dobrowolnie poświęcił się dla dobra ogólnego, uklęknij na jego mogile, godzien czołobitności. - Tak widzieliśmy saperów francuskich wstępujących w przełamane lody Berezyny. Oni, naprawiając załamane mosty, życie swoje za pomost kładli... dobrze o tym wiedzieli, a jednak nie cofnęli kroku. Nie mieli do wzniesienia swojej odwagi nawet oporu nieprzyjaciela... nie mieli na oku progów ojczystych, skądby pożegnanie towarzyszyło ich męczeństwu. Poginęli w śniegach litewskich lub więzieniach wileńskich. Niewdzięczna ojczyzna nie podała nawet ich imion potomności. Jeden z nich tylko wrócił do Francji i na własnej grzędzie pędził w niedostatku dnie starości i cierpienia. Napoleona już nie było. Wszystko musi się skończyć, mawiał Ludwik XV, bodaj mu Bóg tego nie pamiętał - skończyła się więc i bitwa pod Montereau. Jeszcze na dobranoc dwie kule wirtemberskie przeleciały gdzieś wysoko ponad nasze głowy i jak słońki na wiosnę zapadły w grabowe szpalery. Wszystkie te kule puszczane a toute volée są zawsze pod adresem ciurów i bywały dla naszych jeszcze cięższą Boską plagą niż sam marszałek Lefevre. Jeżeli gdzie w ciasnym miejscu lub na wąskim mostku przechód został zatamowany, a Lefevre nadjechał - kropił bez litości ogromną trzcina z ogromnego skarogniadego hiszpańskiego ogiera les vilains brosseurs i kantynierki, którym także właściwych nazwisk nie szczędził. Znały go też ciury, znała niewieścia konnica. Na jego pierwsze sacrr... rozwijała się jakby z kłębka splątana ciżba, której nieraz i czoło kolumny starej gwardii rozsunąć nie zdołało.

Są wszędzie arcyksiężęta, arcybiskupi, w Galicji jest nawet arcystolnik, ale nigdzie nie ma arcyciury - a tym powinien być być par droit de conquete et par droit de naissance mój Onufry. Wysoki, pleczysty, chciwy łupu, skory do kieliszka równie jak i do bójki, kiedy odbierał rozkazy, wypręzał się jak struna, brzuch _w tył, pierś naprzód, stawał skosem jak Pizańska wieża. Odpowiedź jego była zawsze: "Słucham". Bał się kozaków jak diabeł święconej wody. Wszystko to kazało wnosić z niejaką pewnością, że był kiedyś w rosyjskiej służbie i że nie dopełnił potrzebnych formalności przy podaniu swojej dymisji. Jeżeli kto schylony nad jakim hauptmanem lub praporszczykiem, co już nigdy nie ujrzy ojczystej zagrody, ściąga z niego to, czego ściągnąć własni nie zdołali koledzy, albo sylabizuje po szwach i zakładach najmniejszej odzieży, czy nie doczyta się gdzie zaszytego dukata lub talarka, to pewnie Onufry. Jeżeli kto szuka furazu nie w stajni, nie w stodole, ale po kufrach i szufladach, to pewnie Onufry. W Dreźnie przyjąłem go i tydzień nie minął, już stał się powodem niemałego dla mnie kłopotu.

Powiem, co się stało, bo też nie mam innego celu, pletąc trzy po trzy, jak tylko bawić się, niby dziecko wolantem, wspomnieniem lat przeszłych - przerzucać obrazki, których mniej więcej każdy nagromadzi w skarbonkę swojej pamięci. Ale chcąc śpiewać Achilla gniew zgubny, muszę zastanowić się pierwej, czy mam przedstawić nagą prawdę czyli też, pożyczając jej tła, zarzucić ją kwiatami fantazji. Prawda w oczy kole, może ukłuć i w uszy, o tym każdy opowiadający pamiętać powinien; ale znowu, z drugiej strony, uganiać się zawsze za kwiatami i tylko za kwiatami, nimi tylko sypać, nimi zdobić i stroić, strach, by się nie zdarzyło, że ołtarz nie wart ozdoby albo ozdoba nie godna ołtarza. Prawda tylko piękna! Prawda, prawda - wielkie słowo. Ale z prawdą jak z ogniem, grzeje, ale i pali razem. Oby to chcieli poznać i pamiętać ci, co się weredykami lubią nazywać. Stąd szukają zalety i chluby. Niejeden z nich chętnie wywołuje: "Powiedziałem mu prawdę, aż mu w piętę poszła!" Brawo! Ciąłeś jak chirurg, wpuszczałeś sondę w ranę bez względu na boleść chorego. Ale czyż to cięcie było koniecznie potrzebne? Miałeś zaraz w drugim ręku gojący balsam? To pytanie... tak jest, wielkie pytanie, równie jak i to, czy ta prawda, którą wciskasz w głąb serca, którą mącisz myśl swobodną, którą jak drugi los wytrącasz z dawnej, a rzucasz w nową kolej, którą zgniatasz czasem całe życie duszy, zgniatasz na miążgę jak ową jagodę, co ci padła pod stopę i której potem już jeden Bóg tylko może wrócić dawny kształt, dawne jądro, dawną barwę, czy ta prawda, mówię, jest istotną p r a w d ą? Czy nie jest owocem twojego tylko własnego rozumowania, rozumowania podległego błędom, bo lubo weredyk, nie jesteś niczym więcej jak człowiekiem. A jeżeli jeszcze twój wyrok ozłaczasz przyjaźnią, wzmacniasz ufnością w nią tego, co się wije pod twymi razami, jeżeli nie rozważyłeś wprzódy, czy wyjawienie owej mniemanej a bolesnej prawdy jest nieodzownie potrzebne, czy nareszcie masz w ręku środki zaradcze - wtedy jesteś bez serca, bo się pastwisz bez rozumu, bo działasz bez celu. Po cóż pozbawiasz mnie ufności w siebie i ludzi, jeżeli nieufność nic naprawić nie zdoła? Po co mniesz, zrywasz moją ufność, jeżeli nikomu szkodną nie była, a rzeczywistość ani mnie, ani komu bądź pomóc nie może? Dlaczego nie dozwalasz mi snu, gdy zadrzymię na szczątkach mego szczęścia lub nadziei moich, jeżeli mi dać lepszego posłania nie jesteś w stanie? Czemu gasisz pochodnię, co mi swoją łuną w daleką przyszłość świeciła, kiedy nie stać cię w twoim ubóstwie na jedną iskierkę? Dlaczego rachujesz mi w ucho wszystkie groty na mnie rzucone, kiedy od nich nie zasłaniasz, a ja unikać nie mogę? Po co? Czemu? Dlaczego? Tysiąc razy jeszcze mógłbym się zapytać, ale zawsze musiałbym odpowiedzieć: Dlatego, bo lubisz pluskać się, przeciągać, rozkoszować w ciepłej kąpiółce zadowolenia z własnej wyższości, bo lubisz mieć kłęczących wkoło siebie, bo wtenczas tylko widzisz się wyższym.

Proszę mi przebaczyć ten, że się tak wyrażę, gwałtowny wybryk przeciw weredykom. Bo taki weredyk stąpił kiedyś na serce moje i zgniótł je raz na zawsze. Przyjaciół stał się tłumaczem niby opinii powszechnej. Zapewnił mnie, że jestem nienawidzony. Za co? Nie wiedział, ale tak słyszał - zapewniał, że dążności dzieł moich są potępiane. Dążności? Jakie? Nie wiedział, ale tak słyszał. Zapewnił, że ogólnie ganią sposób, jakim dopiero myślę wychować syna, i wiele, wiele jeszcze podobnych zapewnień. Odurzony odkryciem z ust tego, którego przyjacielem być mniemałem, a zatem i o poprzednim zgłębieniu z jego strony wątpić nie mogłem, opuściłem ręce i przestałem żyć i pracować dla świata. Dziwna rzecz. Niech każdy człowiek w późniejszym wieku spojrzy w życie za siebie, niech dobrze śledzi powody, przyczyny ważniejszych swoich zdarzeń, a ujrzy pewnie jakąś osobistość, która zawsze w jego atmosferze jakby drabant obok niego grawitowała i która zawsze pośrednio albo bezpośrednio, z wiedzą lub bez wiedzy, wywierała swój wpływ na jego życie pomimo nawet częstokroć niższego stopnia wiadomości i ukształcenia albo i rozumu naturalnego. Nie jest wszakże myślą moją ganić rady lub przestrogi rzetelnej życzliwości, napomnienia macierzyńskie szczerzej przyjaźni - przeciwnie, szczęśliwym nazwę tego, który zawsze miał je przy sobie w podróży

życia jak owe różdżki wrzосу wzdłuż przepaścistej ścieżki, co niby rękę podają podróżnemu, jeżeli mu się czasem noga z dobrej drogi zesunie. - Ale gdzież mnie, w jaki świat daleki odwiodło to słowo: P r a w d a. Spinałem się po szczepkach, co się za mną łamały, a teraz jakże wrócić na poziom? Skoczyć trzeba, nie ma innego sposobu. Skaczę więc równymi nogami do Onufrego, jego kłótni i bójki. Powiem prawdę, rzuciwszy wszakże na nią lekką gazę przyzwoitości, na jaką stać tylko może starego ułana.

Jednego wieczora, było to w Saksonii, w Dreźnie, w oberży pod Jeleniem, gdzie stałem kwaterą. Onufry poszedł do Rezli sztabmadli, i zawołał czystą niemiecczyną: "Na - top!" - Dziewczyna rozśmiała się i przedrzeźniać zaczęła. - "Czego się śmiejesz, małpo? - krzyknął luzak po polsku - nie rozumiesz, co: Na - top?" - Od słowa do słowa, aż boli głowa, powiedziałby pan Jowialski, bo Onufry postąpił sobie nareszcie z Rezlą jak ów gminną piosneczką wstawiony z Małgorzatą Grzegorz, ale Rezla miast zawołać: Czegóż? - walnęła go w łeb lichtarzem. Że zaś świeca w tym razie zgasnąć musiała, ciemnota pokryła tę część historii. Że jednak coś padło z jednej i drugiej strony, wątpić nie można.

Kiedy to wszystko działo się na dole, ja na drugim piętrze spokojnie kończyłem wieczerzę z kolegą kapitanem Maciejowskim. Rozmawiamy sobie o tym i o owym - wtem... otwierają się drzwi i Onufry wpada. Twarz zarydzona, nozdrza sapiące, kawał knota na czole powiadały nam wyraźnie, że walka była gdzieś stoczona i że spieszny odwrót ma miejsce. Nim jeszcze słowo mogło być wyrzeczone, wbiegł hausknecht ze świecą w rękę, a za nim sam pan gospodarz. - "Wo ist er? - "Da steht er!" I już luzak wziął w papę, aż nosem pociągnął. Wtenczas to wymknęło mi się, co się tak łatwo z ust polskich w podobnym razie wymyka: "A walże!" - Nie potrzeba było mówić dwa razy. - Onufry jak Niemca utnie... Ach, co za szkoda, że dla przyzwoitości stylu nie mogę powiedzieć: "jak utnie w pysk!" - bo w tym, acz gminnym, wyrazie leży tyle prawdy, tyle nawet naśladowczej harmonii - ale nie wypada, nie można, więc powiadam, Onufry jak utnie Niemca gdzieś między nosem a uchem... aż szyby brzękły - Schön! Niemiec zwinął się, zatoczył i chylcem, zygzakiem jak lis postrzelony leciał, leciał i aż w przeciwnym rogu padł na kanapę. A nim się zerwać zdołał, już Onufry leżał na nim. - Jeżeli kto aby raz w życiu widział niedźwiedzia idącego w hurku, kiedy schwyci pod siebie jednego z kundli, a kiedy mu drugi tymczasem szarawary skubie, łatwo wystawi sobie walczącą grupę. Hausknecht, krzycząc w niebogłosość, usiłował ściągnąć ze swojego pana zajadłego nieprzyjaciela, ale jedną tylko ręką, bo w drugiej trzymał świecę, a świeca kosztuje einen Groschen... a on za świecę odpowiada... porządek przede wszystkim. Chwyciłem go nareszcie za kołnierz i nogą za drzwi pchnąłem, zostawiając wolny bieg sprawiedliwości. Wkrótce jednak zląkłem się, bo Sas już głosu nie puszczał - zląkłem się, czy przypadkiem za mocne uderzenie nie strąciło filigranowego niemieckiego karku. Zawołałem: "Dość tego!" - I w mgnieniu oka stał przede mną Onufry, brzuch w tył, pierś naprzód, skosem jak Pizańska wieża. Pan gospodarz podniósł się, kręcił się w kółko i byłby pewnie do drzwi nie trafił, gdybyśmy mu nie byli w tym względzie przyszli w pomoc. - Skończył się akt pierwszy. Ale cóż dalej? Otwierano i zamykano z trzaskiem i hałasem ledwie nie wszystkie drzwi w całym domu... biegano po schodach i gankach... Oczywiście chmura się zbierała. My zaś już wpół rozebrani wzięliśmy czym prędzej mundury na siebie, pałasze do boku, kapelusze na głowy. Nie można było bowiem ręczyć, czy lokatorowie, po większej części krajowcy, nie zechcą przekroczyć praw grzeczności, czy nie chwycą sposobności bicia albo i ubicia francuskich oficerów.

Sasi nas nie lubili i nie tylko że nie lubili, ale byliby chętnie całą naszą armię z Cesarzem na jej czele w łyżce wody utopili, gdyby tylko mogli byli taką łyżkę znaleźć. Nie ma się czemu dziwić. Ów ciągiły menuet wojsk wszystkich narodów - od Portugalczyka do Czerkiesa, od Neapolitańczyka do

Lapończyka - po całej pięknej Saksonii nie mógł ich ani bawić, ani uszczęśliwić. Byliśmy w kraju arcynieprzyjacielskim, o tym trzeba było zawsze pamiętać i o tym nie zapomnieliśmy teraz, stojąc frontem ku drzwiom, za którymi coraz liczniejsze, coraz burzliwsze i coraz bliższe wznosiły się głosy. Niepewność często nieznośniejsza od złego. Otwieram więc drzwi i obraz godny pędzla Hogartha widzę przed sobą. Kilkanaście osób różnego wieku i różnej płci w nocnym stroju, czyli raczej rozstroju, w szlafmycach, pantoflach (szlafroków nie było), świeca w rękach, a gdzieś tam i kij, blade i drżące z gniewu i trwogi wlepiało we mnie wytrzeszczone oczy. Nie tracę czasu... korzystam z pomieszczenia i jak Bonaparte ośmnastego Brumaire do Rady Pięciuset, wstępuję do sieni. A żółty krawiec stojący na przedzie mógł być zawołać jak Arena: Ici des sabres! Wstępuję do sieni i odzywam się grzmiącym wprawdzie głosem, ale mało co lepszą niemiecczyzną jak przed chwilą mój Onufry: "Idę do komendanta placu oznajmić, że w tym domu napadnięto kwaterę oficerów sztabu cesarskiego". Rzekłem, spuściłem pałasz po ostrogach... szeregi się rozstały... a ja z brzękiem i szczękiem triumfalnie zszedłem ze wschodów... W samej rzeczy chciałem uprzedzić komendanta... nie zastałem go... czekałem... chodziłem, sam nie wiedząc, co robić... nareszcie po godzinie czasu wróciłem do domu - wszystko było cicho. Nazajutrz postawiono nam kawę. Nie spieszyliśmy się do niej. Spojrzeliśmy po sobie. Jeden zagwizdał, drugi zaśpiewał - jeden powąchał, drugi skosztował... A ba!... wymówiliśmy razem i kawa spożyta została. Niespokojny jednak idę do generała Błęszyńskiego, adiutanta króla saskiego, dawnego znajomego, a niegdyś i sąsiada rodziców moich. Zwierzam mu całe zdarzenie i proszę o radę. Generał słuchał mnie i golił się razem, podstrugując sobie wąsiki z najsumienniejszą precyzją i podług potrzeby wykrzywiając twarz, nadymając policzki, albo wypychając językiem wierzchnią wargę, puszczał przez zęby przerywane słowa: "Źle!... hm, hm... bardzo źle... nie ma co żartować... skarga może łatwo dojść do króla... Król odda Cesarzowi... Cesarz jest dla króla nad miarę uprzejmy i gdzie idzie o karność wojska, dla winnych bez litości". - "Ależ ja - rzekłem - nie wykroczyłem przeciw karności". - "Hm - mówił dalej generał, macając sobie brodę, czy jeszcze gdzie nie zostawił siwego włoska - zapewne nie wykroczyłeś, ale ogólnie armii jest przykazane dobrze obchodzić się z mieszkańcami, a i sam przyznasz, że twój służący..." - "Bronił się" - przerwałem. - "Tak, zapewne, bronił się - rzekł generał i złożył brzytwę - ale pod armatami nieprzyjacielskimi nie ma czasu procesu wytaczać... Dla przykładu wiele się czyni... Właśnie niedawno z powodu zażalenia poddanego na rękę króla, Cesarz kazał jednego oficera z kontroli wykreślić. Radzę ci zatem, załagodź tę sprawę".

Tak, załagodź, rzekłem do siebie wychodząc mniej spokojny, niż byłem przychodząc. I jak załagodzić? Co ja mogę dać temu oberżyscie? Chyba buzi z jednej i drugiej strony. Pieniądzy nie mam. Komuż kiedy mogła przyjść myśl szukać u mnie pieniędzy?! Wziąłem wprawdzie na wstępie do sztabu 500 franków na ekwipowanie... z domu także trochę miałem, ale do domu przyszedłem z niewoli w sukmance, z domu jechałem pocztą, poczta droga, przy tym kolasa Franciszka Skrzyńskiego czy Ludwika Porczyńskiego, z którymi jechałem, psuła się nieustannie - gdyby nie przedłużenie zawieszenia broni, bylibyśmy ugrzęźli w Pradze. W Dreźnie musiałem kupić trzy konie, kulbaki, juki, broń, sprawić mundur z haftowanym kołnierzem, musiałem i witać się z kolegami 11-go pułku ułanów i 5-go strzelców konnych, w których pułkach dawniej służyłem, a w pułkach oficerów niemało - słowem byłem w moim normalnym stanie, tj. w stanie golizny. Nareszcie, jak przystąpić do zgody z oberżystą? Na Speiszetlu jego pafla nie ma. Bóg wie, jakby ją taksował. Jednak nie ma co żartować, mówi generał... i prawda, w Saksonii do króla zawsze niedaleko, a królowi teraz do Cesarza nawet za blisko, jedno słowo i dosyć... Ja wiem, że Cesarz wymierzyć może karę jedynie przez uprzejmość dla króla, jedynie dla przykładu - ale diabliż z tej uprzejmości, jeżeli ma być moim kosztem. I wszystko to przez to nieszczęsne:

"A walże!..." Ale jakże nie walić, Mościa Dobrodziejko! - Taka była treść moich monologów. Chciałem pójść za radą generała, ale po jakimś czasie mogłem o nim powiedzieć to, co Moliere królowi o swoim doktorze mówił: " Il m'ordonne des remedes, je ne les prends point et je guéris". Alias: co padło, przepadło, a Niemiec mógł tylko w swoim dzienniku zapisać fakt, jako casus belli.

Jeżeli Onufry w Dreźnie stał się powodem niepokoju, który krótko opowiedziałem, a długo cierpiałem, to w Lipsku mógł być wtrącić mnie do niewoli, z której dopiero com się był otrząsł, albo mnie umieścić w lazarecie, albo i prosto w raju, gdzie nb. dostać się mam zawsze nadzieję, a przynajmniej skąpać w Elsterze, bo jak wiadomo, most tam nie czekał na wszystkich. Tak jest, mógł być stać się tego wszystkiego przyczyną, gdyby nie ślepe fatum, co tak dziwacznie igra w dymie wznoszącym się ponad pola bitwy.

Dziewiętnastego października, ostatniego dnia czterodniowej, najkrwawszej, jaka może kiedy była i będzie, walki pod Lipskiem, między dziesiątą godziną a południem, staliśmy, oficerowie sztabu księcia Neufchatel, pod drzewami, które ulicą otaczają miasto. Czekaliśmy rozkazów - słuchaliśmy nie wystrzałów, bo tych trudno już było rozróżniać, ale raczej grzmotu mniej więcej ryczącego, który nas wokoło opływał. Już wtenczas i szary koniec wiedział, jak rzeczy stoją. Z upadkiem potęgi francuskiej upadły i nadzieje Polaków. Ale mniemaliśmy, że dopiero pod Lipskiem tracimy powtórnie Ojczyznę, nie wiedzieliśmy, że Napoleon najłatwiej zawsze przyjmował warunek wrócenia jej w potrójne jarzmo niewoli. Piekielna obłudno! Szatańska polityko! Tyle poświęcenia, tyle krwi przyjmować za nadzieje, których w głębi serca nie myśli się spełnić. Skrępował nas tym Księstwem Warszawskim, tym królem saskim i kiedy pozbawił wszelkiej samodzielności, jak martwą swoją własnością był zawsze gotów rozrządzić. Biada człowiekowi, którego los zawisł od drugiego, ale dwakroć biada narodowi, co zawisł od interesu innego narodu. Narody sumienia nie mają. Smutne rozmowy biednych nas, Polaków, w lipskich alejach przerwała kula armatnia, która zaszumiała, jak gdyby kto wentyl samego piekła uchylił, i potem ucięta kozła między nami. Wspomniawszy studenckie czasy, można było zawołać: Kasza, panowie, kasza! Byłać to w rzeczy samej kasza, ale już i ze Szwedami. Wtem Rejtan zawołał: "Cesarz wsiada na koń!" Ruszyliśmy i my, każdy do swojego, ale nasi służący wprowadzili je byli do bliskiego domu; tam biegniemy, a wstępując na dziedziniec widzimy znowu kaszę... tak jest: kaszę, nie w alegorycznej, ale w jej najnaturalniejszej postaci. Komu, komu innemu, jak tylko ciurom mogło przyjść na myśl dziewiętnastego października 1813 r. o dziesiątej rano w Lipsku gotować kaszę!? I ugotowali ją w istocie, ale diabeł zdawał się jakby na psotę dmuchać im ogniem w garnek, bo kasza nie stygła, a łyżka lubo ochuchana, odmuchana, jeżeli wjechała do zgłodniałej paszczy, jeszcze prędzej się cofała. Daremnie wołaliśmy, łajali. - "Zaraz, zaraz" - odpowiadały sparzone języki i bylibyśmy mostu pewnie już nie zastali, gdyby jeden z nas nie był wpadł na myśl szczęśliwą i nie był nogą w garnek uderzył. Kasza jak z bomby w tysiąc promieni bryznięła, a ciury boleśnie jęknęły, ale wkrótce były na koniach. Jeden tylko Onufry nie mógł dać sobie rady, a ja nie chcąc odstąpić koni, czekać musiałem. Miał on wprawdzie do czynienia z klaczą szpakowatą, diabłem wcielonym, której nie w smak były juki, a jeszcze więcej dwie wiązki siana do przedniej kuli siodła przywiązane. Kupiłem ją był w Löbau od oficera polskich huzarów za czterdzieści dukatów. Wsiadałem, zsiadałem, próbowałem do woli, wszystko szło jak najlepiej; ale nazajutrz, gdy przyszło do kulbaczenia, klacz gryzie i bije tyłem i przodem - a do wsiadania jeszcze gorzej. Wczoraj stała jak opoka, dziś tańczy jak Paraszka, boczkiem, boczkiem ode mnie, a ja za nią, za nią na jednej nodze - istna kołomyjka. Dosiadłszy zaś, trzymaj się zrazu choćby i grzywy, bo w okna pierwszego piętra zaglądać będziesz. Nareszcie żadna przemoc ani cierpliwość ludzka nie zdołała zniewolić jej przejść koło martwego konia. W wilią dnia, o którym mówię, pod Lipskiem będąc na służbie, przemierzyłem na niej nieraz całe pole bitwy

w słotę, błoto i o głodzie, a jednak narowy jej nie zmniejszyły się wcale.

Po długich zatem korowodach wyjeżdżam na koniec z dziedzińca, za mną Onufry. Patrzę za kolegami - nie ma już żadnego. Przy sztabie koleżeństwo bez kleju, acz się niby zlepi, trzyma się nietęgo. Nie widać już nawet koni powodnych ostatniego szwadronu służbowego. Ale za to Berezyna stanęła mi przed oczy. Długa procesja, jakby z arki Noego wypuszczona, wolnym i co chwila wstrzymywanym postępowała krokiem. Ludzie i zwierzęta przy sobie, na sobie, pod sobą, jedną masą posuwały się razem, a co by z tych ostatnich nie stało, można było skompletować między ludźmi. - Tak był tam lew straszny i w odwrocie, tygrys rozjuszony, wół pracowity, pies wierny, kot fałszywy, kot saski - był tam i osioł, była i świnia, był i tchórz, Mości Dobrodzieju, a wszystko w ciźbie. Każdy o sobie, a Bóg o wszystkich! Spiałem konia ostrogą i pół siłą, pół zręcznością torowałem drogę sobie i moim koniom powodnym. Wyprzedzałem park artylerii po lewym boku, przesuając się powoli, nareszcie naprzód już nie można, ale z drugiej strony widzę trochę wolnego miejsca. Można było po leżących postronkach na ziemi, między przednimi a dyszłowymi końmi zatrzymanej armaty przejechać, co też mi się udało szczęśliwie. Onufry, mniej głupi, a więcej zręczny, byłby mógł to samo uczynić, ale wjechawszy w ciasny przesmyk, zamiast długo puścić za siebie jucznego konia, wolał zrobić sobie więcej miejsca; uderzył przednie armatnie konie, te postąpiwszy, podniosły postronki, postronki załechtały klacz, klacz zaczęła gryźć, wierzgać, związała się i padła. Kłęb z ludzi i koni zrobił się w okamgnieniu. Ileż to czasu, ile cierpliwości trzeba było, aby go rozplątać, i jakiego szczęścia, aby po tym wszystkim z jaką taką całą głową i z wszystkimi końmi dostać się do Lindenau. Niechże się teraz kto dziwi, że ja strącony w Berezynę, mało w Lipsku nie roztratowany, a to jedynie z powodu ciźby, ciźby nienawidzę. Niech się dziwi, że dostanie ode mnie łokciem w brzuch albo nogą w łydkę, jak mnie w ciasnym miejscu zanadto przyciśnie.

Napoleon miał gdzieś, kiedyś w gniewie wykrzyknąć: "Gdybym miał dwóch Vandammów, kazałbym jednego powiesić!" Ja toż samo ledwie nie codzień mogłem o moim Onufrym powiedzieć. Ale pod Montereau, gdy przyszło zsiąść z konia, nie tylko dwóch, ale i jednego nie było. Szukałem daremnie, nareszcie trzeba było konia uwiązać. Tymczasem batalion starej gwardii złożył broń w kozły, straże otoczyły pałac. Cesarz tam nocować będzie. Poszedłem więc zobaczyć, gdzie nasz salon służbowy (salon de service). Z tego wszystkiego, co miałem honor powiedzieć, Wać Pan Dobrodziej wnosisz zapewne, że byłem zawsze przy Cesarzu Napoleonie... I bardzo trafnie. Nie tylko w moim stanie służby jest wyraźnie, że znajdowałem się w ostatnich kampaniach we wszystkich bitwach, w których był sam Cesarz, ale i grzałem się z nim nieraz; przy jednym, ogniu... prawda, że się to nieczęsto zdarzało. Cesarz rzadko kiedy biwakował... prawda, że ogień dla Cesarza założony o wiele, wiele bywał większy, jak zwykłe ognie biwakowe... prawda, że zawsze po tej stronie stawałem, na którą wiatr dym gonił, nawet najczęściej, mówiąc między nami, Cesarz był tyłem do ognia, a przeto i do mnie obrócony i do tego jeszcze rozkładał czasem poły, aby się wygrzać lepiej. W stosunkach obywatelskich można by to uważać za uchybienie z jego strony, ale w czasie wojny nie jest się tak dalece uważającym na etykietę i ja też urażać się nie widziałem powodu.

Przy jednym z takich biwaków, było to wieczór pierwszego dnia bitwy pod Lipskiem, piękny widok nam się przedstawił, który jako godny pędzla podaję malarzom do wiadomości. Cesarz Napoleon w swoim sieraczkowym surducie stał tyłem obrócony do obszernego ogniska. Ze strony dymu oficerowie różnej broni. Opodal, jakby na czterech rogach, strzelcy konnej gwardii pieszo z karabinkami na ramieniu utrzymywali jakby linię demarkacji cesarskiego biwaku. Ile razy Cesarz zsiadał z konia w polu czy w jakiej wiosce, zaraz czterech gwardzistów stawało na straży wokoło i posuwało się zawsze w równym oddaleniu w miarę ruchów Najjaśniejszego Pana. Stał więc Cesarz Napoleon tyłem do ognia i do mnie obrócony, przed nim o kilka kroków na prawo generał Merfeldt,

ujęty w niewolę, w surducie sinym generalskim austriackim, w kapeluszu z galonem i zielonym pióropuszem. Między nim a Cesarzem generał Caulaincourt bez kapelusza, w suto złotem haftowanym mundurze, nalewał mu wina w srebrny kubek. W małym oddaleniu, w głębi, ale jeszcze w świetle ogniska, zsiadał z konia król neapolitański w swoim malowniczym, żeby nie powiedzieć teatralnym ubiorze. Miał on wówczas na sobie surducik krótki jasnoszafirowy, na piersiach suto złotym haftem okryty, równie jak i pas biały sukienny, na sześć cali albo i więcej szeroki, przy którym wisiał krótki oręż, niby kordelas, pantalony obszerne karmazynowe, w rękę trzcina, na głowie wysoki ugalonowany kapelusz ze strusim pióropuszem i czapłą kitką. Na krawędziach zaś ciemnego horyzontu łyskały jeszcze czasami wystrzały armatnie. Piękny to był obraz, ale wróćmy do naszego przedmiotu. Powiadam, że Wać Pan Dobrodziej bardzo trafnie wnosisz, iż byłem przy Cesarzu, ale jeżelibyś z tego wniosku drugi na pozór bardzo naturalny chciał wyciągnąć, że kto był przy Cesarzu, był przeto w sztabie cesarskim, omyliłbyś się zupełnie. Dlatego pozwolę sobie dać niektóre objaśnienia w nadziei, że jeżeli cię nie będą interesować, to zapewne będziesz dość grzeczny wysłuchać je cierpliwie. Sztab Cesarza Napoleona... Co jest sztab, po francusku état major, wiadomo Wać Panu Dobrodziejowi bez wątpienia. Tym więcej, że z jego dużych wąsów, przechodzących znacznie miarę wąsów obywatelskich, wnosić mogę, że służyłeś w wojsku?... W wojsku Rzeczypospolitej Krakowskiej. - Brawo! - A więc mówię dalej.

Sztab Cesarza Napoleona, nie licząc różnych biur towarzyszących mu wszędzie, był wcale nieliczny. Składali go: Berthier, książę de Neufchatel, Major Général alias Szef Sztabu - generałowie-adiutanci, których obecnych w saskiej i francuskiej kampanii było czterech, i z ośmiu Officiers d'ordonnance. Akselbandy przy szlifach generalskich oznaczały adiutantów. Oficerowie d'ordonnance mieli jasnoszafirowe mundurowe fraki suto srebrem haftowane, kamizelki z pętlcami, spodnie z galonami koloru fraka i węgierskie buty. Kapelusz z czarnym plumażem. Ten mundur zdawał się być więcej dworskim niż wojskowym. Przydzieleni do sztabu byli generał Pac i generał Kossakowski. Wąsowicz, szef szwadronu Lansjerów polskich starej gwardii, został podobno zaraz po powrocie z Moskwy oficerem d'ordonnance, nie zmienił jednak mundur. To był właściwy sztab cesarski, czynny, zawsze na koniu i z pałaszem w rękę. Bo lubo sekretarze, szambelanowie, pazie etc. etc. galopowali wraz z nami i musieli radzi nie radzi zakosztować czasem przysmaków wojennych, należeli oni nie do sztabu, ale do dworu. Nie mogę przypomnieć doktora Larrey de Tamor. Wielce on cenił ten w Egipcie otrzymany predykat i chętnie łączył go z swoim nazwiskiem. Powiadają, że raz wchodził wieczorem do jednego ze swoich pacjentów: ten zapytał z cicha: "Qui es la?" - "L'Arret de ta Mort" (Larrey de Tamor) - odpowiedział doktor grubym swoim głosem. Na to chory westchnął: "Oh, mon Dieu, ayez donc pitié de mon âme". Sztab zaś księcia de Neufchatel, l'Etat Major de la Grande Armée, był bardzo liczny. Składali go znowu: szef sztabu generał Monthyon, nieznośna, długa, dumna, nie lubiąca Polaków figura, pięciu pułkowników, adjutants-commandants, czterech adiutantów i przeszło trzydziestu oficerów sztabowych, Officiers adjoints al'Etat Major de; la Grande Armée, różnego stopnia i broni. My, oficerowie polscy, wstępując do tego sztabu, dostaliśmy patenta na oficerów francuskich, nie wiem więc, dlaczego odsadzono nas jako cudzoziemców od pensji krzyża legii honorowej - może dlatego, że nikt się za nas nie upomniał. Berthier, jako książę udzielny Neufchatelu, miał przy swojej osobie kompanię piechoty i kilkudziesięciu dragonów neufchatelskich. Piechota, w chamois mundurach z czerwonymi wyłogami, składała straż przy pomieszkaniu, a w marszu przy ekwipażach księcia. Dragony zaś w zielonych, z niebieskimi kołnierzami frakach, z białymi szlifami i akselbandami, w hełmach mosiężnych z futrem płowym niskiego włosa wkoło u dołu, a z tyłu ze spadającym końskim ogonem, jak miała cała ciężka jazda francuska. Nazywali się: Les Guides i byli konnymi ordynansami sztabu naszego. Adiutanci księcia odszczególniali się od

innych adiutantów w armii pąsowymi rajtuzami z czarnym lampasem. My równie jak wszyscy oficerowie sztabowi mieliśmy haft złoty na kołnierzu - duże gałązki dębowe jedna nad drugą. Lubo znak widoczny i głównemu sztabowi tylko właściwy, był wielce pożytecznym, wioząc nieraz bardzo pilne i ważne rozkazy, jednak miewaliśmy do zwyciężenia niezmiernie trudności w mijaniu lub wyprzedzaniu maszerującego wojska. Po pierwszym działowym wystrzale, na linii bojowej pod Lipskiem marszałek Marmont, do którego byłem w nocy z misją przybył, rozkazał nam dwóm razem z powierzonymi listami pędzić do Cesarza co koń wystarczy - padnie jeden, dojedzie drugi. Już przy przedmieściu Lipska wpadamy na czwarty korpus tam wchodzący. Żaden rozkaz, choćby i własnoręczny Cesarza, nie byłby naszemu czwałowi drogi otworzył. Szczęście, że znalazł się tam sam komendant korpusu, generał Bertrand, który dając ustne zlecenie, sam nas przeprowadził. Jeżeli przyszło mijać park artylerii, to często, śmiało mogę zapewnić, z niebezpieczeństwem życia. Na ścisłym dopełnieniu rozkazów oficerów sztabowych cały ruch armii zawisł. Nikt z nas nie miał czasu patrzeć, co przed nim... tylko naprzód! naprzód! Co będzie, to będzie. Razu jednego znajduję się nagle obok armaty przy wstępie wysokiego i bez poręczy mostu. Chcę konia zatrzymać, ale ós zadnia działa pcha go naprzód. Widzę przepaść, nie ma co myśleć... wolę konia stracić niż siebie zgubić... spuszcza strzemiona, wznoszę się na siodle i trzymany za kołnierz pewnie przez jakiegoś świętego, do którego westchnąć musiałem, staję, zsunąwszy się po ogonie, na własnych nogach. Koń mój zaś ciągle pchany przeszedł także szczęśliwie, może dlatego, że był wolny, na drugą stronę, gdzie miał rozum, a raczej nie-rozum zaczekać na mnie.

Nie tak niebezpieczne, ale za to zdarzające się bardzo często i dosyć przykre były przeprawy z piechotą. Piechur nie lubi i wprawdzie nie ma co lubić, kiedy mu kto drogę przecina lub zboczyć przymusza, bo zatrzymany - musi potem spieszenie dopędzać kolumny. Ucinki, drwinki, mniej więcej grzeczne i dowcipne, leciały jak grad z pieszych szeregów na każdego, który siedząc na koniu do konnicy miał prawo być policzonym. Konnica śmiała się z tego i oddawała wet za wet, jak mogła najlepiej, ale pojedynczemu jeźdźcowi jakoś to nie uchodziło, a obojętne być nie mogło. Pomnażały się jeszcze dla nas w tym względzie nieprzyjemności z powodu mody, której niektórzy, naśladowując Cesarza i księcia Berthier, ulegli, tj. nienoszenia znaków oficerskich u kapelusza. Ja byłem jednym z tych, ale przyznam się, że nie z innych przyczyn, jak tylko z oszczędności nie kupiłem w Dreźnie złotych kutasików i złotej plecionki do kokardy. Nieraz tego potem żałowałem. Jeżeli przy tym surdut, który w wojsku francuskim był zawsze cywilny, albo płaszcz zakrywał szlify, natenczas żarciki w kłótnie łatwo przechodziły. Pod Hanau kula armatnia, z trzaskiem i łoskotem przetorowawszy sobie drogę przez gałęzie otaczających nas dębów, zaszumiła nad sztabem cesarskim. Miała do wyboru Cesarza, książąt, generałów albo i jakiego z dzielnych rumaków tych wysokich panów, a przecie wybrała sobie moją biedną szkapę... com miał najlepszego. Uderzona w prawą łopatkę, usiadła jak pies na zadzie. Odpiąłem mantelzak, wyjąłem pistolety, oddałem Rejtanowi, ściągnąłem munsztuk i, nie wstydzę się powiedzieć, że łzami w oczach objąłem i przycisnąłem do piersi ten łeb bułany, co się ku mnie zwracał, jak gdyby wzywał pomocy. - Żegnam cię - rzekłem - towarzyszek wierna - i oglądając się wzajemnie na siebie, rozstaliśmy się na zawsze. Z dwóch koni, które mi zostały, jeden był podbity, drugi gałgan. I kiedy nazajutrz przyszło ruszyć z miejsca, wsiałem na gałgana. Była to mała klacz kasztanowata. Wszystko, co z urodzenia mogła mieć dobrego, zostawiła w błocie pod Dreznem... na błocie nigdy nam nie brakło... a teraz dźwigała długiego Onufrego. Jako przyjaciel prawdy, muszę wyznać, że wzięwszy razem mnie i kobyłkę, składaliśmy całość nietęgą. Kobyłka w skutku trudów wojennych nabyła nałogu uderzać hołubca zadnimi nogami, a potem na jednej tylko nodze kończyć taniec, co równie dla niej, jak dla jeźdźca ani powabne, ani zaszczytne nie było. W takich okolicznościach na czele luzaków moich kolegów

musiałem wyprzedzać kolumnę grenadierów starej gwardii. Wczoraj, kiedy szli do ognia, a jeden ze sztabowych oficerów odezwał się do nich; "L'Empereur vous attend" - kilku odrzekło, podrzucając karabiny lub opatrując skałki, jak myśliwi, co zasłyszeli goniące w kniei ogary: "Il ne nous attendra pas longtemps!" - wczoraj byłbym uściskał każdego, a dziś byłbym chętnie z mojej kobyłki każdego chwycił za harcap i łbem jak na mszę dzwonił. Zawsze i wszędzie człowiek z własnego stanowiska sędzi o rzeczach. Nie było podobieństwa przecisnąć się na drugą stronę drogi, gdzie miejsce szersze dozwoliłoby pospieszyć. Nareszcie zniecierpliwiony wspomniałem, że należę do sztabu cesarskiego. - Biada! - "Voyez donc l'Etat Major de l'Empereur!" - krzyknął jeden. - Place pour l'Etat Major de l'Empereur!" - zawołał drugi... i śmiech ogólny. A biorąc mnie, który miałem surdut na mundurze, za jakiego urzędnika administracji, wołano: "He! Monsieur Riz-painsel! - Par ici Monsieur l'Employé au vinaigre! - Bon voyage Monsieur Du Molé... hop, hop, hop!" - i tysiąc, tysiąc podobnych konceptów. W takim razie trzeba udawać głuchego albo śmiać się ze śmiejącymi, ale tak jedno, jak drugie rzadko kiedy dobrze się powiedzie. Minąłem nareszcie szydzącą kolumnę, tak jak mnie minęło przeszło lat trzydzieści od bitwy pod Hanau, jak ty minąłeś luby wieku młodości "mit deinen Schmerzen, mit deinen Freuden". Im dalej od ciebie, tym jaskrawsze zdają mi się twoje; kwiaty, tym grubsza mgła zasłania pomniki smutku i cierpienia. Im dalej od ciebie, tym więcej wzrasta tęsknota za tobą, tak jak wzrasta cień nasz własny na ścianie, gdy się od niej ku światłu cofamy - wzrasta, sięga stropu - na strop występuje i nareszcie opływa nas zupełnie. Gdzież jesteście, zwycięskie rotty? Wodzowie? Gdzie jesteś, potęgo, dla której strumienie krwi lały się lat tyle? Zwycięzcy i Zwyciężeni - Upokorzeni i Triumfatory znikli jak słońce, co zaszło przed chwilą, jak zniknie świeca, co stoi przede mną. Cóżecie po sobie zostawili światu? - Niewiele, niewiele. - A mnie? - Co? - trochę wspomnień, dwa krzyżyki i podagrę. Ale, acz z podagrą, galopuję nie pomału z Lipska do Moskwy, z Moskwy do Montereau - trzydzieści lat w tył, trzydzieści naprzód - ze śmiechu do płaczu... bo na tym, niestety, Polak musi zawsze swoje wspomnienia zakończyć. Hola! więc ty, myślo! i ty łzo!

Wracam do mego sztabu. Było nas tam, Polaków, już przy końcu, podobno dwunastu. Trzymaliśmy się parami, ażeby gdy jeden będzie na misji (tak nazywaliśmy posyłki), drugi miał opiekę nad ludźmi i końmi. Były to małżeństwa koleżeńskie i jak każde małżeństwo, miały swoje pogody, miały i burze. Tak zawsze widziałeś pod jednym dachem albo przy jednym ogniu Rejtana z Suchorzewskim, mnie z Henrykiem Milbergiem, Ludwika Jelskiego z Romanem Sołtykiem, a jak ten był wzięty w niewolę, z Niegolewskim, Grabowskiego Józefa ze Stoffiem Szwajcarem, pułkownikiem-adiutantem-komendantem, Kościelskiego z Krauzem. Kapitan Szercel, którego do Polaków liczę, bo z polskiego wojska, nie wiem, czy nie z legionów, trzymał się pojedynczo... To jest osobno, ale nie pojedynczo, bo miał przy sobie służącego, a ten służący - żonę. Służący zwał się Pular, przeto ona Pulardką. Hrabia Fiufiu mógł być zaśpiewać:

Że po polsku mówić twardo,
Przeto kurę zwą pulardą.

Wstydziliśmy się nieraz tego suplementu, ale kapitan Szercel był dla nas zanadto znaczącą osobą, abyśmy nie starali się utrzymywać z nim najprzyjaźniejszych stosunków. Raczył on czasem na usilne prośby wydobyć jakiego hiszpańskiego numizmata i łaskawie pożyczyć. On przyszedł mi w pomoc, kiedy w Metz, przymuszony słabością nie wychodzić z pokoju, nie miałem już za co kupić wiązki chrustu na komin ani dziesięć maronów na wieczrę. Daj mu Boże zdrowie, jeżeli jeszcze żyje, a wieczny odpoczynek, jeżeli już rozstał się z tym światem i Pulardką swoją.

Nie mogę sobie przypomnieć, z jakiego powodu w St. Denis nie z Milbergiem, ale z Rejtanem mieszkałem za miastem u mielnika, którego wspominam dla dwóch osobliwości. Zwał się bowiem Meurt-de-froid, nie wiem, czy dobrze piszę, ale tak się wymawiało - i miał żonę, która raz na tydzień

brodę sobie goliła. St. Denis - pamiętne miejsce.

Po rozwiązaniu jednego z największych, jeżeli nie największego dramatu historycznego w Fontainebleau, oficerowie sztabowi Polacy udali się z pułkiem polskich ułanów gwardii do St. Denis, gdzie i reszta naszego wojska zgromadziła się pod komendą generała Wincentego Krasińskiego. Tam przeszliśmy z niewymownym wstrętem pod władzę rosyjską. Wielki Książę Konstanty objął naczelne dowództwo wojska polskiego.

Kiedy cesarz Aleksander zjechał z Paryża do St. Denis, aby odbyć rewię, a raczej wziąć w faktyczne posiadanie wojsko reprezentujące Polskę, ubraną jeszcze w nazwę Księstwa Warszawskiego, stanęliśmy w liniach cicho i ponuro. Na prawym skrzydle Les Chevaux legers lanciers de la Garde Impériale, o których można było powiedzieć, że ich łyzy jeszcze nie oschły - tak jest, łyzy. Bo wychodząc z Fontainebleau, kilkanaście dni temu, płakano, a gdzieniegdzie i głośno w szeregach tych weteranów, co od bitwy pod Sommo-Sierra aż do ostatniej pod Paryżem, sans peur et sans reproche, utrzymali wobec całego świata sławę polskiego żołnierza. Dalej brygada ułanów pod komendą generała Kurnatowskiego, piechota, artyleria i krakusy pułkownika Dwernickiego. Wielki Książę, stojący na czele, wysunął się menażowym galopkiem na spotkanie cesarza Aleksandra i z wszelką precyzją zatoczywszy koniem, wręczył mu raport. Na całej linii panowała głucha cisza, a kiedy później generał Krukowiecki krzyknął: Niech żyje cesarz! - słabe tylko obudził echo. Komu tylko prawe serce biło tak pod polskim, jak i rosyjskim mundurem, ten musiał bolesnego doznać uczucia słysząc ten okrzyk, w którym szcerości, Bogu dzięki, być nie mogło. Gdyby był szczerzy, byłby razem i podły. Zrobiliśmy kilka obrotów. Dwernicki, także nie bardzo a propos, kazał obejść oddziałowi swoich krakusów i z okrzykiem natrzeć z tyłu. - Na kogo? - Niby na nieprzyjaciela, ale sztab rosyjski zanadto dobrze jeszcze go udawał, dlatego zdaje mi się, miarkując po twarzach, że ta niespodzianka nienajlepsze na wszystkich zrobiła wrażenie. Niejeden może spytał się w myśli: czy to żart, czy prawda? - Nareszcie ten niby napad był za wyraźnym naśladowaniem Kozaków i z tego także względu nie na swoim miejscu. Potem było śniadanie u generała Krasińskiego.

Duch wojska francuskiego, a zatem i naszego, tak był różny, nawet i w formach objawiania się, od rosyjskiego, że kiedy sobie przypomnę to śniadanie, teraz dopiero wystawiam sobie, jakie było cesarza Aleksandra, Wielkiego Księcia i ich świty zadziwienie, a może i skryte oburzenie na to obozowe brat za brat polskiej Wiary.

W niewielkim saloniku kwatery generała Krasińskiego siedział cesarz przy stole ze swoimi i polskimi generałami. Rozmowa, w której często generał Krukowiecki głos zabierał, zanadto wykraczała z dworskiej etykiety, aby podobać się mogła. Ale co gorzej, w drugim obok pokoju, gdzie bracia szlachta różnych stopni śniadała, nie było przyzwoitej ciszy. Nikt tam nie byłby dostrzegł czołobitnego uszanowania, które nam powinna była narzucić bliskość tak dostojnych osób. Wychyłano kieliszki, aby zalewać niemiłe uczucie, co się z serca parło. Za liczbą kieliszków szła i głośniejsza rozmowa - nareszcie kto chciał, stawał we drzwiach i bez ceremonii przypatrywał się i przysłuchiwał, co się działo przy stole cesarskim.

W kilka dni potem Wielki Książę sprowadził kilka pułków jazdy rosyjskiej do St. Denis - wyraźnie więc dla pokazania tam konsystującemu wojsku polskiemu. Musieliśmy być przytomni manewrom, które miały nam powiedzieć: Patrzcie! to jest wojsko! Nie mogliśmy nie podziwiać postawy żołnierza po tak długiej kampanii, ale nie zmieniliśmy przekonania, że szczątki naszego wojska jako wojsko o wiele wyżej stały. W końcu ostatniej kampanii sam wybór tylko pozostał i nikt pewnie nie widział ułanów tak gwardii, jak i linii odpartych w ataku. Jako świadek bezstronny, a świadek, co wiele widział i wiele myślał, mogę śmiało powiedzieć, że dużo, dużo czasu upłynie, nim taki pułk, jakim był pułk ułanów, czyli polskich Lansjerów Gwardii Cesarskiej - pułk takich

dzielnych żołnierzy, a jeszcze dzielniejszych oficerów, i w takich wojnach wyćwiczone - rozwinię swój sztandar w jakim bądź kraju. Mogłem być do niego należeć i teraz tym się poszczycić, bo w Dreźnie generał Krasieński ofiarował mi w nim miejsce, ale nie mógłbym być wstąpić jak tylko w stopniu porucznika. Z kapitana na porucznika, acz porucznika gwardii, zawsze to był krok wsteczny - dlatego nie przyjąłem i pozostałem w znieawidzonym mi sztabie, gdzie mnie Prôtot dręczył nie po trosze.

Pułkownik Prôtot, później generał, był na czele oficerów sztabu księcia de Neufchatel. Chudy, mały Francuz zadzierał głowy, a przeto i nosa dla nadania sobie większej powagi. Bywał często podobny do pedagoga jakiej wiejskiej szkółki... Ale i my, prawdę mówiąc, zakrawaliśmy czasem na swawolnych, a nawet i krnąbrnych studentów. Prôtot wymagał, aby nie tylko ci, co byli na służbie, ale i wszyscy oficerowie otaczali go zawsze w marszu, co było prawie niepodobieństwem. Cesarz jeździł zwykle jak cesarz, to jest, jak mu się podobało, konno lub kareta, ale zawsze prędko. Chcąc być zawsze ze służbowymi szwadronami, trzeba było konia nie żałować, konia, który jeszcze tej samej doby mógł być być skazany na kilkomiłową wędrówkę. Nie można było także odstępować koni powodnych, bo gdzież ich potem szukać?! W czasie bitwy albo kiedyśmy się jej spodziewali, byliśmy wszyscy na rozkazy, jakby wszyscy na służbie, ale w marszu zwyczajnym ci, co nie byli na służbie, jechali sobie, jak im wypadło... naprzód, z tyłu, wolniej, prędzej, byle na czas stanąć na miejscu oznaczonym. Prôtot tego nie lubił - kręcił się jak mucha w ukropie, wołał, gniewał się, oskarżał nawet, ale wszystko nadaremnie. Ciężko mu było oficerów liniowych przeistoczyć w nadskakujących sztabowców. Dobrze jednak ten z nas wyszedł, co się do dworowania dał nakłonić. Dwa razy pan Prôtot podwoił mi czas służby za karę, a to nie była fraszka dzień po dniu być na służbie. Zjadł on za to parę milionów polskich diabłów, ale jak pierwsze nie pomogło, tak drugie nie zaszkodziło.

Książę najczęściej stawał w jednym domu z Cesarzem, więc jeżeli tylko miejsce dozwalało, i nasz salon tam bywał. Zawsze jeden pułkownik, Adjuvant-Commandant, był na służbie, a pod jego rozkazami dwóch, czterech oficerów sztabowych, czasem i więcej podług spodziewanego ruchu. On oznaczał z listy służbowej, który miał być: premier a marcher, second, troisieme itd. Kiedy z misją już przedostatniego wyprawił, wysyłał razem i Guida po kilku innych oficerów, dając mu kartkę z nazwiskami powołanych. Oficer, jadący z misją, odbierał rozkaz otwarty, podobnej treści: "Kapitan R... uda się na F...G...N... do B... gdzie zastanie marszałka A... któremu wręczy załączoną ekspedycję". Najczęściej sam książę oddawał tę ekspedycję, zwłaszcza kiedy potrzeba było jakiego objaśnienia. Czasem powierzano oficerowi wysłanemu treść listu, czasem wyprawiano dwóch i trzech w pół godziny jednego po drugim z ekspedycją jednej treści i w jedno miejsce, co miało znaczyć, że droga niepewna i że weźmie diabeł dwóch, a czy trzeci dojedzie? Jeżeli w otwartym rozkazie było wyraźnie, że oficer ma pocztą jechać, wtenczas udawał się on do kasjera, ten zaliczył pieniądze, z których wszakże za powrotem trzeba było się wyrachować, podając rachunek na drukowanej kartce wręczonej wraz z pieniędzmi. Pocztą można było jechać albo jednokonnym wózkiem, albo konno (a franc étrier). Wózki te pocztowe we Francji, na dwóch wysokich kołach, zwą gminnie, ale bardzo właściwie Tapecul. W St. Denis w owym czasie, kiedy pani Meurt de-froid brodę goliła, a Wielki Książę manewrował, karetki utrzymujące komunikację z Paryżem nazywano Pot de Chambre. Ci ugrzeczniejsi Francuzi mają często wyrazy, których my, barbarzyńcy, nie śmiemy i wymówić. Otóż tych Tapecul używaliśmy bardzo rzadko. Raz, że strudzonemu trudno nie zatrzymać się czasem, a wtenczas, gdyby koń idący między dwoma dyszlami upadł, czego się zawsze po koniu pocztowym spodziewać należy - można było łatwo sięść na niego, lecz a la Franconi, to jest głową na dół. Po wtóre, że tylko wtenczas można było puszczać się nimi, kiedy droga była dobra i wolna od

maszerującego wojska. Inaczej jechałby kurier głównego sztabu wielkiej armii, jak jeździł czeski student wiedeńskim landkuczerem na koncepcistę do Lwowa. Zawsze więc prawie jeździło się konno. W początkach kampanii były na pocztach we Francji niezłe konie wierzchowe, zwane bidets, i z dobrym okubaczeniem, ale później łaska boska, jeżeli znalazło się na stacji niezbyt zmęczoną szkapę z wszystkimi czterema nogami. Postylion jechał naprzód, wytrzaskiwał harapem albo jęczał i krzyczał, kiedy mu przyszło pędzić jak na złamanie karku, dzień czy noc, błoto czy lód.

Pierwszy raz w życiu odbyłem szlichtadę po gołoledzi na koniu okutym bez ocelów przy samym otwarciu kampanii 1814 roku z Châlons do wsi Islettes. Tam to jest owa sławna position des Islettes, gdzie nieszczęsny Dillon w pięć tysięcy zatrzymał 1792 r. całą armię księcia Brunszwickiego. Stamtąd dogoniłem sztab w Vitry. Te dwa dni zostaną wiecznie w mojej pamięci, lubo z podobnych nie były ostatnie. Noc ciemna powiększała i niebezpieczeństwo, i obawę. Mimo ostrego zimna pot kapał mi z czoła, a każde poślizgnięcie się tępych podków, grożące zdruzgotaniem ręki lub nogi, uderzało jakby siłą elektryczną mrozem i gorącem od stóp do głowy, od głowy do stóp. I cóż stąd za zaszczyt? - pytałem się nieraz, klnąc służbę sztabową. Linia nie lubi sztabu, zazdrości mu tego dachu, pod którym często nocuje, a nie wie, jak on gorzko, bo bez uznania zasługi, opłaca pozorne wygody. Jeżeli postyliony we Francji, gdzie poczta zwykle szybko jeździ, gdzie i w czasie pokoju podróżować konno nie jest nowością, utyskiwały na nasze szalone wyścigi, cóż dopiero w Niemczech, a zwłaszcza w Saksonii. Od dzieciństwa słyszałem zawsze użalania się na niczym nie wzruszoną flegmę saskich postylionów, dlatego następujące zdarzenie było dla mnie wielce ucieszne.

Posłany byłem do generała Latour Mobourg. Wyjechałem kolasą, jakiej już w naszym kraju pod denominacją Skarbnika trudno gdzie znaleźć. Postylion dobrze wykarmiony, w żółtej kurcie, stosowanym kapeluszu, odpowiadając na wszystko: Schön! i jeszcze raz Schön! usiadł poważnie na koziołku, łokcie do siebie jakby do stejera zaokrąglił, batożek na bok spuścił, klasnął językiem i ruszył wolnym truchikiem. Zdziwiło go, gdym mu kazał prędzej jechać, a jeszcze więcej, gdy zniecierpliwiony jego nieposłuszeństwem dałem mu do zrozumienia, aby robił, co każę, bo jego grzbiet blisko, a moje buty kończaste. Zamruczał i mruczał ciągle, ale jechał żwawo. Pod wieczór przyjeżdżamy do miasteczka, gdzie spodziewałem się zastać generała, ale zastałem tylko oficera, który mi oświadczył, że forpoczty swoje w ten moment ściągają na tę stronę miasta. Bliskość niespodziana nieprzyjaciela nie dozwalała mi podróżować kolasą, tym bardziej że trakt trzeba było opuścić i od wsi do wsi szukać tego, którego tu nie zastałem. Kazałem więc wyprząc konie, na jednego włożyć kulbakę, którą przezorny Niemiec miał w kolasie - na drugiego zaś wsiąść oklep Jego postylionowskiej Mości - i ruszyłem żwawo w stronę mi wskazaną. Póki jeszcze było dnia trochę, szło jako tako, ale wkrótce nadeszła noc ciemna, a z nią i wichur w same oczy. Wtenczas mój postylion zaczął powoli i z cicha, a potem coraz prędzej i coraz głośniej jęczeć i zapewne wzywać wszystkich świętych przez dzwoniące zęby. Prawdę mówiąc, nasze obie szkapy, wyniesione niespodzianie i bez najmniejszej kiedy bądź oświadczonej z ich strony pretensji na wierzchowców, trzęsły bez litości, jak gdyby chciały nas przekonać o niedorzeczności postępków naszego. Niejeden z naszych generałów był takim improwizowanym wierzchowcem - trząsał kaducznie, nareszcie potknął się i upadł. Nie tu wszakże koniec cierpień mojego towarzysza kurierowskiej pogoni. Zaczęły go wkrótce straszyć coraz częstsze: "Qui vive!" - których w szumie wiatru nie zawsze od razu można było dosłyszeć. Wiedział on zapewne, czym pachnie koniec pistoletu straży obozowej, bo usłyszawszy parę razy, że odpowiedziałem: "France!" - krzyczał potem ciągle: "Franz! Franz!" - czy się kto pytał, czy nie pytał. Nazajutrz wracaliśmy już powoli i w najlepszej komitywie. Ledwie jednak nie płakał, poprawiając się na Schimlu z boczek na boczek, że taka plaga, w analach saskich poczt nie zapisana, na niego nieszczęsnego paść musiała. Czasem udało się odbyć dobę służby na

miejscu, ale czasem wróciwszy z misji wcześniej, trzeba było i raz drugi ruszyć w drogę. I lubo przysłowie mówi: bis repetita placet, my nie byliśmy tego zdania, dlatego wracając zwłaszcza w nocy, a mając ustne jakieś zlecenie, choćby najmniejszej wagi, staraliśmy się mówić z samym księciem. Obudzony podniósł głowę kolorowym fularem obwiązaną, wysłuchał, potem zwykł mówić: "C'est bien - allez Vous reposer". Ten rozkaz oznajmiwszy pułkownikowi służbowemu, wypełniło się zawsze z największym pośpiechem i wzorową akuracnością.

Z miasta Troyes, które nie wiem czy po polsku można nazwać Troją, byłem wysłany do generała France. Zostałem go na probostwie. Gdy oddałem ekspedycję i powiedziałem, co miałem powiedzieć, napiłem się wina i usiadłem przy kominku. Wtenczas proboszcz staruszek odezwał się do mnie: - "Acian Dobrodzi jesteś Polak?" - Gdyby to nie z księdza, byłbym myślał, że diabeł z niego przemówił. Z dalszej rozmowy, po polsku, dowiedziałem się, że jako emigrant kilka lat przepędził, nie pamiętam w którym domu, w Poznańskiem. Spytałem go się, czy na takiej ustroni nie lęka się rabunku Kozaków? Z uśmiechem odpowiedział mi: - "Nie boję się Kozaków, ja się z nimi rozmówię". - Francuz zawsze Francuzem - że umiał kilka słów po polsku, zdawało mu się, że całą Słowiańszczyznę ma w kieszeni. Wkrótce byłem znowu w tej wiosce - z probostwa tylko dwa kominy stały. Nie wiem, dlaczego Kozaków wystawiają jako uosobienie rabunku. Bardzo mylnie, moim zdaniem. Kozak bierze tylko to, co mu się zdać może. Francuzi więcej jeszcze niszczą, niż biorą lub brać lubią. W domach tłuką, co mogą. W stodołach ogień zakładają. Gdzie łan zboża, wjeżdżają w środek - więcej wytłuką, niż spasą, niepamiętni, że może za parę godzin ich własne wojsko furazę tam szukać będzie. Prusak znieważa osoby, jak tylko może to bezkarnie uczynić - zemsta w nim góruje. Prusacy są ludzie, o których mówią: qu'ils crachent sur le cadavre. Byłem w niewoli u Rosjan, i to w chwili, gdy do zemsty niemało mieli powodów. Moskwa spalona, część kraju w puszcze zamieniona - a wyjąwszy pierwszego zetknięcia się, na złe, ubliżające obchodzenie żalić się nie mogą. Słowianie pastwić się nie umiały, nie znają nieprzyjaciela jak tylko z bronią w ręku. Kozacy, zwłaszcza starsi, obdarłszy pierwej, to się rozumie, i przeciągnawszy raz nahajem, byli potem dla jeńców z tym poszanowaniem, jakiego nieszczęście głośno się domaga, a którego Niemcy zupełnie nie rozumiały, Kozak uderzył i dwa razy nahajem, jeżeli zdobycz nie odpowiedziała jego nadziei. - Co ty za oficer, kiedy nie masz zegarka! - Ale bili bez litości, jeżeli przy wziętym w niewolę znaleźli co z cerkiewnych rzeczy.

W kilkanaście dni po mojej rozmowie z proboszczem, znowu w Troyes, kiedyśmy aż spod Bar-sur-Ornain forsownym marszem zwracali się ku Paryżowi, wszedłem do salonu służbowego, zrobiwszy jednym ciągiem mil dwanaście. Ledwie rozciągnąłem się i to, proszę wierzyć, nie na materacu, pułkownik zawołał: "Premier Officier a marcher!" - a nim był pari Fredro. Zerwał się więc pan Fredro, wszedł do drugiego pokoju i stanął przed księciem, Książę, trzymając list w ręku, spojrzał na mnie i odezwał się jeszcze więcej przez nos niż kiedykolwiek: - "Comment, Vous n'avez pas encore le ruban rouge?" - "Non Monseigneur." - "C'est la seconde campagne, que je fais a l'Etat Major de Votre Altesse etc. etc... Eh bien je Vous la donne a present"- rzekł i zaczął dawać mi objaśnienia, gdzie, jak i do kogo mam jechać. Uradowany nie miałem przytomności zapytać się, czy mogę krzyż nosić albo do kogo mam się udać - później nie śmiałem się naprzykrzać, aż dopiero dany krzyż w Troyes otrzymałem w Fontainebleau. Jeszcze w pułku, a powtórnie w Moguncji, po bitwie pod Hanau, byłem do tego krzyża podany. O! źle wychodzi, kto się nie przypomina i nie upomina.

W głównej kwaterze były zawsze dwa stoły - stół des grands officiers, to jest sztabu i dworu cesarskiego, i stół 'księcia de Neufchatel. Do tego ci z nas siadali, którzy byli na służbie, szef sztabu, adiutanci, sekretarze i przybyli oficerowie w interesie do sztabu. Sam książę jadał zawsze z cesarzem. Nie wszyscy i marszałkowie siadali do stołu ze swoim sztabem, ale ich adiutanci robili

honory i przyjmowali nas zawsze uprzejmie i gościnnie. Niejedną dobrą chwilę mogę wspomnieć na tych mimowolnych odwiedzinach i nieproszonych obiadach. Przed samym rozpoczęciem kampanii jadę z Châlons do Brienne - zimno, gruda, noc nastaje, klęę po polsku i po francusku, a nawet podobno i po węgiersku, nareszcie przybywam i wręczam ekspedycję marszałkowi Mortier. Stół długi, dobrze oświetlony, zupa już rozdana, sam czas. Marszałek przeczytawszy siada do stołu; na jego zapraszające skinienie ruszyliśmy się wszyscy, każdy chwycił za najbliższe krzesło i w mgnieniu oka stół został jakby opasany wieńcem epolet, akselbandów, faworytów i wąsów. Milczenie spadło na towarzystwo, przerywała je tylko łyżka, co jak wiosło gondoliera na weneckich lagunach głąskała z lekkim pluśnięciem kurzącą się zupę. Gdzieniegdzie zaszumiło studzące dmuchanie - albo i mniej przyzwoite głośne wciąganie pożywnego płynu. Złe na świecie zdaje się być potrzebne, ażeby wartość dobra zrobić człowiekowi wydatniejszą. Cóż byłby ten talerz cienkiego rosołu nalanego na bułkę grubo pokrajaną, gdyby nie wiatr, co mnie ziębił dzień cały, gdyby nie gruda, co mi wszystkie zasoby wytrzęsła. Bądź co bądź ta czy owa przyczyna - zupa zniknęła, jak zniknęła poprzedzająca para. Nalano szklanki, postawiono les boudins et le gigot de mouton aux haricots (potrawy sine qua non) i rozmowa wzmagać się zaczęła. Marszałek był w dobrym humorze, kazał dać szampana. Korek puknął z powszechnym zadowoleniem obecnych. Dowcip się roił, śmiech nie ustawał. Ja nawet zapomniałem, że wózek pocztowy czeka przed domem, że na nim resztę nocy będę mój obiad trawił, mój los roztrząsał, mój sen wojował.

Niewiele czasu upłynęło od tej poczty w Brienne, a inni tam znowu znaleźli się goście i inaczej byli częstowani. Potentaty ekskomptowali weksle, które po odtrąceniu namiętności i miłości własnej niewiele podobno korzyści światu przyniosły. Mógłbym wam, moi państwo, obszernie opowiedzieć bitwę pod Brienne, ale sumiennie wolę was odesłać do dzieła pana Thiers - lepiej bez wątpienia na tym wyjdziecie. Muszę bowiem przy tej sposobności ostrzec, że jeżeli jaki oficer subaltern zdaje sprawę z ogólnego ruchu jakiej batalii, jako naoczny świadek i sędzia, ten kłamie niezawodnie; - bo albo powiada to, co później z raportów wyczytał, albo też powtarza to, co mu się udało w górze zasłyszeć. Oficer subaltern liniowy może tylko widzieć, co się dzieje przed nim i na jego często bardzo ciasnym horyzoncie. Oficer nawet sztabowy, który z rozkazami przebiega pole boju w różnym kierunku, nie znając pierwotnej pozycji i szyku, o szczególnych tylko zdarzeniach może otrzymać własne naoczne przekonanie. Niech mi wolno jeszcze będzie wspomnieć, że niejedyn z szanownych agronomów, słuchając o batalii, wystawia ją sobie najczęściej ściśniętą jakby na dziedzińcu albo na pastwisku za sadem. Zdaje mu się, że zawsze być musi jakiś punkt, z którego całą bitwę przejrzeć można, dlaczegóżby i Onufry, stojąc na takim punkcie, nie miał powiedzieć, co się działo. Ale jeżeli uwierzy, że linia bojowa czasem i na milę i więcej się rozciąga, wtenczas już wątpić nie będzie, że ten kłamie, co opisuje batalię podług tego, co niby sam widział i sam doświadczył.

Słuchacie mnie, a ja pletę trzy po trzy, zwyczajnie jak stary, ale jednak nie będę wam dzisiaj powtarzał, co wczoraj wyczytałem. Nie chcę także wyliczać wam wszystkie moje utarczki, ataki i odwroty - cięcia w prawo i w lewo, na koniu i pod koniem, muszę jednak wspomnieć dziwne jakby przeznaczenie, że z czterech razy, w których, o ile sobie przypomnieć mogę, śmierć najbliżej mi w oczy zagłądała, rozumie się od kuli armatniej, bo karabinowych któż spamięta, co brzęczą, gwizdzą, szumią jak chrząszcze na wiosnę, że z czterech razy, mówię, wszystkie miały miejsce nie dalej jak pięćdziesiąt kroków od Napoleona - a jednak w kampaniach 812, 813 i 814 na kulach, granatach, kartaczach nie zbywało wcale.

Pierwszy raz było to 16-go pod Lipskiem. Pędzącemu od marszałka Marmonta, generał Bertrand, jak wspomniałem, dał mi ustne zlecenie. Zastaję Cesarza chodzącego z w tył założonymi rękoma; opodal za nim stał batalion młodej gwardii, trochę dalej na prawo służbowe szwadrony. Zbliżyłem

się do niego i powiedziałem, że mam rozkaz donieść mu, że czoło kolumny czwartego korpusu wchodzi do Lipska. "Czwartego?" - więcej powtórzył, niż zapytał. - "Oui, Sire, du quatrieme corps". - Chciałbym był przeciągnąć rozmowę, ale nie było podobieństwa, tym więcej, że Najjaśniejszy Pan raczył odwrócić się ode mnie. Wracalem więc do konia, którego puściłem za frontem wspomnianego batalionu, ale zaledwie obszedłem lewe skrzydło, kula armatnia kładzie trupem dwóch żołnierzy. Tak jak stali za sobą w drugim i trzecim szeregu, padli na wznak. Jeden krok dalej, a byłbym trzecim. Następnego dnia staliśmy w miejscu. 18-go byłem znowu na służbie. Posłano mnie uwiadomić Króla Neapolitańskiego, że brygada młodej gwardii wzmocniła księcia Poniatowskiego. No, już to wyznać muszę szczerze, że kto w czasie boju szukał Murata, temu zimno być nie mogło. Ten człowiek laził w ogień i szukał guza con amore. Przejechałem poza front artylerii konnej gwardii i jeszcze jakiejś drugiej baterii; z pół godziny stałem przy królu, kul tam więc różnego rodzaju nie brakło, a jednak dopiero minawszy Cesarza, stojącego koło wiatraku, i zwracając konia ku memu bratu Sewerynowi, który komenderował służbowymi szwadronami, mało co nie beknąłem. Kula armatnia obrzuciła mnie błotem. Od tego wiatraku do baterii gwardii, od której dopiero co byłem wrócił, był pewnie dobry wystrzał armatni; jakąż więc ogromną przestrzeń, ledwie do uwierzenia, kula ta przelecieć musiała, aby ze trzydzieści kroków za Napoleonem, pana Fredrę tylko co nie sprzątnąć. Wyraźnie nie służyło mi sąsiedztwo Wielkiego Człowieka.

22-go we Frejbergu, gdzie mówiąc nawiasem, wsadziliśmy z Milbergiem na konia rannego generała Klickiego i z ciężką biedą przeprowadzili przez ciżbą zatarasowany most, co nieraz potem z wdzięcznością wspominał - we Frejbergu więc przeszedłszy Unstrutt cesarz zatrzymał się na małej polance, co od lasu ciągnęła się pochyło na prawo aż w dół do rzeki, zatrzymał się i przez perspektywę obserwował nieprzyjaciela, który nas z boku. kanonowa!, z boku, z prawej strony dyrekcji naszego marszu. Nie byłem bardzo spokojny spostrzegłszy, że mój brat Seweryn ruszył ze swoim szwadronem służbowym za linię bojową. Góra poprzecinana winnicami, obsadzona na szczycie artylerią, niżej piechotą, nie obiecywała zwycięstwa kawalerii. Mówiono wtenczas, że był wysłany dla dostania języka i w samej rzeczy po kilkugodzinnej pukaninie przywiózł kilku jeńców. Zdaje się, że Cesarz był poznany, bo kule zaczęły gęsto padać koło niego, a kiedy zwrócił konia na lewo i jechał powoli, my, stojący pod lasem, uczyniliśmy to samo. Między drożyną popod las a polem była spadzistość niby wysoka miedza; pod tę więc miedzę w pół mego konia pada granat i zaraz pęka. Wiadomo każdemu, że granat padłszy, zakręciwszy się mniej więcej podskakuje i pryska promieniami w górę. Dlatego artylerzyści kładą się, jak padnie blisko, dlatego, im kto wyżej stoi, tym gorzej. W pozycji więc mojej ówczesnej nie dziesięć, ale sto przeciw jednemu - powinienem był ja albo mój koń zginać. A jednak - ani jedno, ani drugie. O! los, Panie, to figlarz, nie można nigdy na niego rachować. Kilka chwil minęło, nim uwierzyłem, że jestem, nie mówię - żywy, ale cały. To był raz trzeci, a nareszcie czwarty, kiedy pod Hanau straciłem moją klacz bułaną. Cesarz wtedy był się zwrócił i jechał ku mnie, a minął mnie, nim mantelzak odpiąłem. Wyraźnie, wyraźnie sąsiedztwo Napoleona nie służyło mi wcale. Kiedy po skończonych wojnach wróciłem w domowe zacisze, wielu, wielu razami uderzone serce, serce zakrwawione, zbolełe, nie dozwalało pamięci rozpowiadać zdarzeń z onego czasu, w którym morze nadziei a sławy kropelka czyniły życie istotnym życiem duszy - czyniły nas ogniwem, aczkolwiek drobniejszym, niż myśl sobie wystawić może, ale jednak ogniwem łańcucha, który wzruszał zardzewiałe zapory świata. Nieraz w rodzinnym kole stokrotne zapytania zbywałem krótką odpowiedzią. Chciałem jakby zamknąć już zapisaną pierwszą księgę mojej przeszłości, a zwracać tylko całą uwagę na tę drugą, co mi jeszcze białymi błyszcząca stronicami. Przeciwnie zupełnie się dzieje po wielu upłynionych latach. Białych stronic niedużo, a zapisane ciągną ku sobie. W podróży życia bywa jak i w każdej innej podróży. Póki idzie się rażno,

ochoczo, póty rzuca się okiem tylko przed siebie. Każdy przedmiot jest celem nowej dążności, zaledwie się go dojdzie, szuka się drugiego i tak dalej, dalej... Naprzód hasłem wędrowca. Ale kiedy siły osłabną, kiedy wyszedłszy na wzgórek odetchnąć trzeba... otrzeć znojone czoło, wtedy zwraca się oko na przestrzeń, którą już się przebyło. Odległość przed nami mierzymy podług tej, co za nami. A owe cieniste gaje, wonne łąki, srebrzyste potoki, których nie uważaliśmy w naszym biegu, jakże są piękne, jak lubie w pamięci naszej wtenczas, kiedy droga coraz ostrzejsza, wiatr coraz chłodniejszy, niebo coraz ciemniejsze. Teraz, zasiadłszy przy kominku, chętnie gwarzę o Cesarzu Napoleonie. Młode pokolenie słucha, jak o Stefanie Batorym albo Janie Sobieskim, bo przeszłość, której pamięć nie sięga, wąskie ma przedziały, stulecia ledwie czasem komat dzieli. Alles zerschmilzt in grosse Massen. Słuchają mnie młodzi, a ja gawędzę i pierwej drugich niż siebie utrudzę. Nieraz, kiedy wracam z polowania, a dojmujące zimno jesienne i dym ścielący się z kartoflanej naci biwak przypomni - zdaje mi się, że mam jeszcze pałasz przy boku, depeszę w zanadrzu. Mimo woli wyciągam szyję i śledzę okiem, czy droga wolna. Wtenczas władza wspomnienia samą nawet dolegliwość nie tylko znośną, ale i przyjemną robi. Może w części i dlatego, że myślę sobie: Jeszcze to zdołam, com zdołał przed laty trzydziestu. Najmilsze jednak budzi wspomnienie obiad późny, myśliwski. Wszystko jak dawniej, tylko że zamiast marszałka siedzi żona, zamiast oficerów sąsiedzi. Gwar jak tam, tak i tu, ale jeżeli mowa o strzałach, to z dubeltówki, jeżeli o zabitych, to o lisach i zającach. A co najlepsze, że na koniec zamiast wózka pocztowego czeka dobre łóżko, łóżko, którego wartość uczyłem się oceniać i za wcześnie, i za długo.

Nie wszystko jednak w przeszłości da się wspomnieć z przyjemnością, a nawet i obojętnie. Bolesne jest wspomnienie nieszczęścia, nie tego, co nas jak rozburzona fala porywa, skręca i o skałę uderza (myśl przebytego niebezpieczeństwa staje się poniekąd pociechą), ale nieszczęścia, co jak stojąca, zatęchła, zielona woda kałuży podtapia powoli. A takim nieszczęściem jest niewola - to nagle strącenie z wyższego stanowiska, to zerwanie nadziei, to upokorzenie, to nareszcie położenie nowe, nieznane, nie przeczute. Nie pierwsze to chwile niewoli wojennej, aczkolwiek najniebezpieczniejsze bywają najprzykrzejsze. Jeżeli w pojedynczej walce zostałem pokonany, zwycięzca staje się moim opiekunem. Jeżeli w szeregu z innymi byłem przemocną siłą ujęty, jestem zawsze samym sobą - - jestem wojskiem, któremu tylko broni nie staje, nareszcie mam z żołnierzem do czynienia, a to wiele znaczy. Ale kiedy zapędzony gdzie w głąb obcego kraju, oddany dowolności lada urzędnictwa, zmuszony jestem przyjmować kawałek chleba rzucony jak jałmużnę nawet od tych, którymi gardzę - albo jeżeli w długim przeciągu czasu starła się wszelka powierzchowna cecha wojskowości, a dziwaczny jaki tandetny strój zbiedzoną okryje postać. O! wtenczas jeniec wojenny staje się niewolnikiem. Tego doświadczyłem w Wilnie, tego niejeden z wojska polskiego doświadczył 1831 r. w Galicji, tego, niestety, doświadcza jeszcze po największej części emigracja nasza we Francji.

Jeżelim wyszedł z wilgotnego pomieszkania, gdzie przez całą noc szczury skakały mi po głowie, jeżelim wstał od stołu, gdzie się pożywiłem ze wstrętem prawie, jeżeli mam na sobie jaką starą kapotę, nie w mój stan skrojoną, i buty, które zwycięzca nie uznał za godne zająć miejsca w snopku swoich wawrzynów - jeżeli więc w takich okolicznościach wejdem w progi domu, gdzie może niedawno w świetnym mundurze, w odblasku zwycięskiej broni, ufny w niejakie zalety, co mnie nad poziom społeczeństwa nieco wznosiły, gościłem - już tam teraz tym nie jestem, czym byłem. I ten, co mnie tam przyjmuje, mój równy w każdym względzie, nie jest już dla mnie tym, czym był. Wstaje z krzesła, w którego miękkich ramionach czytał romans nowy, i po krótkiej gonitwie za szarlotem, co przy kominku wygrzany, rozgniewał się na figurę, która przyniosła z sobą trochę zimnego powietrza, bo przyszła piechotą, w mróz, bez płaszcza. I po krótkiej, mówię, gonitwie, wita mnie serdecznie,

sadza na sofie, której poduszki zagięły się więcej niż zwykle pod dotknięciem egzotycznej kapoty. Sam podaje cygaro, sam nawet zapala, ale on już nie jest dla mnie tym, czym był dawniej. Jego dobre, najlepsze chęci przybierają niejako vernix opiekuńczej wyższości. W jego zdaniu jest jakaś oględność, w żartach wstrzemięźliwość, w grzeczności zbytek. Ja to czuję i coraz więcej cofam się w siebie jak ślimak w swoją skorupę za pierwszym dotknięciem. Rozmowa między nami idzie na szczytach. Obydwom nam ciasno, bo jakaś, że się tak wyrażę, obcość zaległa największą część przestworza. Na koniec, uściskawszy się po przyjacielsku, rozstajemy się i wolniej oddychamy, on w gabinecie, ja na schodach. Odzież, wydatna część powierzchowności, pociąga gwałtem do stosowniejszego sobie świata, jeżeli w dół, to w dole, w obcym żywiole władze umysłowe drętwieją powoli. Doświadczyłem tego na małą skalę, ale zdaje mi się, że nędza, a do tego w niewoli, jest rdzą zjadliwą, która najczystsza stal koniec końców zeżreć musi.

Los jeńców wojennych za Niemnem w 1812 r. był wyjątkowy. Niewola nie była internowaniem rozbrojonych, ale była nędzą głodu, zimna i choroby, posuniętą, szczególnie w Wilnie, do najokropniejszej ostateczności. Tam odegrała się ostatnia scena długiego i bezprzykładnego dramatu.

Zaczawszy od Mało-Jarosławca aż do Berezyny odwrót nasz był odwrotem wojska, otoczonego wprawdzie zbytnią masą pociągów, rannych i trenerów, ale ta niesforna masa, acz zatrzymywana, spierająca się, nawet tratująca się w każdym ciaśniejszym przejściu, miała jednak przed sobą długą, wolną przestrzeń, którą upływała powoli. Ale Berezyna wszystko to skoncentrowała, co się na cztery, sześć, a może i więcej mil szczegółowo rozciągało. Od Berezyny ku Wilnu coraz bardziej szeregi szczuplały, a liczba bezbronych, samopas idących wzrastała. Na kilka mil długa ciągnęła się czarna wstęga po śnieżnej przestrzeni. Nie było może tyle spierania się na mostach, jak z tamtej strony Smoleńska, bo ubyłoby wiele artylerii, wozów i wózków, ale za to widziałeś kilkadziesiąt tysięcy ludzi nie chcących, nie mogących już innego j pojmować wroga, jak głód i zimno. Zimno: wzrastające do dwudziestu stopni nie tylko wytrącało z ręki karabin, ale uderzało już przedśmiertnym uderzeniem. Nie tylko bowiem trzeba było cały dzień maszerować w mundurze okrytym surdudem bez podszewki, ale trzeba było gdzieś i spocząć, zatrzymać się choćby na chwilę. Biada tym, co za wiele zaufali zaświeconemu ognisku. Ogień często gasł, a z nim i życie. Okropnie tam było, okropnie, moi Państwo! Widziałem padających pod koła, a nikt nie pomyślał, aby koła zatrzymać, łamiących lody, tłukących się w otwartych toniach, a nikt ręki nie podał. Widziałem konie gryzące z bólu skamieniałą ziemię, którym jakiś Szylok nowy wykroił z uda parę funtów mięsa - skąpił jednego uderzenia nożem i to właśnie wtenczas, kiedy dobrodziejstwem było. Widziałem, jak uporczywie broniono przystępu do ognia, nie temu, co wpół zmarznięty chciał ogrzać się na chwilę... to się rozumie samo przez się... ogień tam był życiem... życiem nikt się nie dzieli, ale broniono zebrzącemu odrobinę płomienia, który by swoją słomą przeniósł do własnego barłogu. Niejeden na oświeconym tylko śniegu wlepił oczy w ciepło, do którego nie śmiał się zbliżyć, a poranek zastał go bryłą lodu. Widziałem rannych rzuconych na drogę, bo zdrowszy, silniejszy zapragnął jego szkapy i powózki. Widziałem jeńców strzelanych, jeżeli który osłabł i dalej iść nie mógł. Widziałem budynki podpalone ze złości i zawiści, że inni w nich pierwsi znaleźli przytułek. Widziałem... tak widziałem siebie, kiedy kolega, niby przyjaciel, sprzedał futro ze mnie, które mi był pożyczył, bo ich dwa zdobył w Moskwie. I ja głupi myślałem, że cudze oddać trzeba, nie napiętnowałem go przynajmniej hańbą, zmuszając, aby mnie własną obnażył ręką. I teraz nie rzucę jego nazwiska wzgardzie poczciwych ludzi. Nie był zły. Nie wiedział, co czyni. Umarł - niech mu Bóg przebaczy, jak ja mu przebaczam - jak przebaczam z duszy serca i innym, co mnie odstąpili w ciężkiej potrzebie.

Gdyby ta ogromna masa ludu, bo nie powiem - wojska, nie była w swojej drodze trafiła na rozległe miasto, byłaby przynajmniej w połowie przeszła Niemen, a z tej połowy byłaby może odżyła

połowa. Ale wszedłszy do Wilna każdy cisnął się w ogrzane izby, zgłodniały napychał żołądek, a co gorzej - zanadto trunkiem się zasilął. Ci ludzie z rozmarzeniem swoim, że się tak wyrażę, stracili resztę sił swoich. Co się działo w Wilnie w pierwszych kilku tygodniach po 10 grudnia 1812 roku, łatwiej powiedzieć niż uwierzyć, a i powiedzieć trudno.

Jeńcy, spędzeni po największej części do pustych gmachów, marzli dziesiątkami. Mówią, ale ja tego nie widziałem, że przy każdym rozdawaniu żywności, to jest rzucaniu w ciżbę trochę sucharów, kilku zduszonych zawsze bywało - trupy wyrzucano przez okna, czasem jeszcze nie doduszone. Szczególnie w jednym klasztorze okrucieństwo miało być bez granic. Ku wiośnie stos trupów sięgał pierwszego piętra. Żydzi wyszczególniali się srogością, właściwą tylko tchórzom i podłym, wyrzucali chorych na ulicę albo ich zabijali bez wielkiego zachodu, jeżeli spodziewali się jakiej zdobyczy w pieniądzach lub w jakim kosztowniejszym mundurze. Wpół martwe, poczerńiałe mumie snuły się po ulicach od domu do domu - obdarzane czasem kawałkiem chleba, ale najczęściej wytrącane bez litości... bo też prawdę mówiąc, każdy swego mieszkania bronić musiał - ale niejedni z żebrzących za gwałtownie pchnięty padał i konał u progu. Do tego wkrótce tyfus zaczął wielką śmiertelność szerzyć i pomiędzy mieszkańcami - palono gnoje po ulicach - a z dymem zdawało się każdemu, że połyka cząstki zarazy. Nie było kupy śniegu lub stosu śmieci, żeby z niej nie sterczały nogi lub ręce - umundurowane - nikt już i nie obdzierał. Po wąskich ulicach (zaułkami w Wilnie zwanych) przez całą zimę można było widzieć po kilka trupów o ścianę opartych, którym szyderstwo nie szczędziło różnych dodatków. Ten miał wiecheć, niby bukiet, ten w ręku drąg, niby karabin, a tamten w zębach przełamany patyk, niby fajkę. Stali, jak na targach w zimie stoi zamarzła zwierzyna. Na wiosnę dopiero zbierano i wywożono trupy drabiniastymi wozami. Mówiono, co mi się zdaje przesadzone, że w samej guberni wileńskiej pochowano czterdzieści tysięcy.

La vengeance est un morceau de roi, mówią Francuzi. Trzeba przyznać, że spory jej kawał miała Rosja w 1812 r. Ale go też drogo okupiła. Dziwna rzecz, że po skończonych wojnach więcej było chełpliwości i przechwałek, i triumfatorskiej fumi w niemieckim niż w rosyjskim wojsku. Austria zerwała przymierze - dobrze, wydała wojnę - dobrze. Ale inne państwa niemieckie podle, skrytobójczo zdradzały. Zdrada stała się ich siłą i zaletą. Sasy nie tylko że odstępują śród boju, ale i zwracają broń na ufnych w rycerskie słowo wczorajszych swoich towarzyszy. Bawaria ledwie jeszcze nie podle. Pod Lipskiem szło jeszcze o pokonanie wroga, w bliskości Renu już on był wpół pokonany. Zastąpienie więc drogi pod Hanau można nazwać: Le coup de pied de l'âne. Szczęściem, że w zapędzie padło bydłę, padło splugawione, a po nim przeszło wojsko wierne sztandarom, których bronić przysięgło.

Spodziewacie się może, że wam teraz powiem coś o sobie - ale nie, to przechodzi moje siły. Węzeł splątany z tysiąca nitek cierpienia i bóleści rośnie, rośnie przede mną, jak widmo maligny, ile razy chcę wątek uchwycić - każde szarpnięcie boli aż w sercu. I na cóż zresztą tych wspomnień? Strumyk zamacony przy źródle płynie mętny aż do ujścia w inny strumień, w inne życie.

Wspomnieć tylko muszę, że dużo dobrych ludzi znalazłem w Wilnie. Wspomnienia moje składam jak wianki na ich grobach - grobach, bo o wiele byli starsi ode mnie. Wspomnę ich w porządku chronologicznym moich z nimi stosunków.

Właściciel traktierni, S. (ledwie czasem pierwszą literę nazwisk zapamiętam), ofiarował mi stół bezpłatnie. Nie nadużywałem, Bóg widzi, nieograniczonego kredytu do jego kuchni. Gorzki chleb łaski.

Doktor M. dźwignął mnie z ciężkiej choroby. Mówił, że lekarstwa nic nie kosztują, bo doktorom aptekarze darmo je dają. Tak kłamać wolno. Szczęściem, że z takiego kłamstwa serce umie wybrać zdrowe ziarno.

Prezes Łapa zbierał składki i ubrał wszystkich Polaków będących w niewoli w Wilnie. Jędrzej Szumlański, który jechał za armią rosyjską podobno jako urzędnik administracji, przysłał potem po mnie powóz aż z Czarnokoniec z Tarnopolskiego Obwodu. Nie mogę przypomnieć sobie, dlaczego nie korzystałem wtenczas z podanej i łatwej sposobności ujęcia z niewoli. Głowiński czy Gołowiński, dymisjonowany generał rosyjski, był długi czas opiekunem moim. Umieścił mnie w lazarecie Sióstr Miłosierdzia przy ulicy Sawicz. A te Siostry poczciwe! Antoninę i Elżbietę dobrze pamiętam, dziś bym jeszcze poznał, gdyby można cofnąć się w czas ubiegły. Bóg z Wami, anioły cichego poświęcenia się cierpiącej ludzkości! Michał Mineyko, który mnie pokochał miłością ojcowską. Ileż dowodów troskliwej przyjaźni otrzymałem od niego! On skłonił mnie do ucieczki i wyprawił mnie z Wincentym Makomaskim, kapitanem 6-go pułku piechoty, do swojej majątności nad Niemnem. Dał mi na drogę zegarek srebrny. Ceniłem go jak relikwię, ale służący w Bautzen zatracił. Miał Mineyko wówczas dziesięcioletniego syna. Może kiedyś do niego dojdzie mój głos wdzięczności. Do ojca pisałem później, dowiadywałem się o niego, ale nigdy żadnej nie otrzymałem wiadomości.

W mojej zaś ucieczce z niewoli na Augustów, Siedlce, Puławy, Tarnogród do Galicji, wśród zamieci, nowych cierpień i niebezpieczeństw, świeci mi tylko jedna gwiazdka. Godny, poczciwy, gościnny szambelan Kujawski, obywatel pod Augustowem. Ach, Polak też to był z duszą i ciałem - polski był i jego dom, jakich już teraz rzadko widzieć. Dom, o którym Pol tak cudnie powiada, że się zdawał rozszerzać w miarę przybywających gości. Cały tydzień tam wypoczywałem, tam rozstałem się z Makomaskim, któremu jako rannemu odstąpiłem miejsca w powozie czy za powozem, bo przybrał tytuł kucharza pułkownika B. jadącego do Warszawy, gdzie i szczęśliwie zajechał. Ja zaś puściłem się już s a m w dalszą podróż... Dajmy temu pokój... Ósmego lipca przebyłem granicę - kląkłem, ucałowałem ziemię, na której poczułem się wolnym. Wolnym!... to jest oswobodzonym z więzów niewoli. Wędrując w sukmanie granatowej i słomianym kapeluszu, spotkałem w Przemyślu Ignacego Konarskiego, przyjaciela z lat dzieciennych... Ale kogo wspomnę, już nie żyje... Ot, chodźmy spać - Dobranoc.

Byliśmy podobno wczoraj w Montereau. W Montereau więc, a raczej na dziedzińcu pałacu Surville, uwiązawszy konia, wszedłem, sam nie wiem po co, przez jakąś bramę do jakiegoś parku, czyli sadu, gdzie zgromadzono jeńców, po największej części Austriaków. Od czasu jak doświadczyłem, co to niewola, został w moim sercu udział dla tych, których później zdarzyło mi się spotkać w podobnym położeniu. Pieniędzy nie miewałem, aby nimi wesprzeć, ale kawał chleba, łyk z flaszki, a czasem tylko i dobre słowo, którego wartość ten tylko cenić może, co je kiedyś otrzymał, niosłem zawsze tym, których los zdradził. Egoizm Francuzów nie pozwala im czynnego udziału. Żaden nigdy nie znieważy jeńca, ale gotów dać mu umrzeć z głodu. Polacy jedni posuwają dawną szlachetność rycerską ledwie nie do zbytku. W ostatnim naszym powstaniu narodowym pamiętano nieraz kosztem własnego wojska o zwyciężonym nieprzyjacielu. Dla Polaka zwyciężony i bezbronny jest świętą, nietykalną osobą. Zaledwie pierwszy zapal ostygnie, dzieli się żywnością, odzieżą, pieniędzmi, wypiłby z nim "kochajmy się", byle było czym. Pod Vitry ułany polskie z komendy Tomickiego, dawniej mego szefa szwadronu w 11 pułku, zabrali cały podjazd pruski. W mgnieniu oka złożyliśmy kilkadziesiąt franków. Oficer przyjął je z większym zadziwieniem niż wdzięcznością. Prusak na taką czynność nie ma pojęcia. Ja sam, nie chwając się, dałem w Berg-au-bac majorowi rosyjskich huzarów Gagarin (którego nie wiem dlaczego Fain wspomina) moją czarną, jedwabną szlafmycę - wprawdzie nieco podszarzaną, ale on nie miał co włożyć na głowę. Dałem wspaniale, lubo moja garderoba i ruchomości nie zalecały się wielkimi zasobami, lubo długo potem w nieustannych kursach musiałem mój kapelusz na bakier nasuwać na to ucho, w które wicher gorliwie

szeptał.

Kiedy wchodziłem do pałacu w Surville, spotkałem na schodach nowoprzybyłego adiutanta księcia, kapitana Bauffremont, w którym poznałem owego porucznika huzarów, co gdzieś między Freibergiem a Altenburgiem, na rozkaz generała Belliard, szefa sztabu Króla Neapolitańskiego, dał mi białą szkapę spod trębacza, bo przybyłem pieszo z pilną depeszą. Dlaczego pieszo? Bo konia nie miałem - rzecz jasna. Zastałem tam Suchorzewskiego, który mnie uwiadomił o klęsce i wzięciu Vandamma pod Kulmem.

Biały koń trębacki zakrawał na kulawego. Gdyby nie jego wiek sędziwy, myślałbym był, że figle, kiedy nie potknąwszy się wywrócił się pode mną jak długi. Nie zeskoczyłem ja wprawdzie, nawet koń już stał, a ja jeszcze w dół głową wisiałem. Ostrogą krzywą zaczęłem jakby haczykiem za ramię mantelzaka. Szczęściem, że Tezeusz nie wezwał Neptuna i Neptun nie podgonił, bo byłbym niezawodnie zginął jak Hipolit, lubo równie niewinny jak i on. Przy Królu Neapolitańskim trzeba było mieć dobrego konia, bo kiedy kolumna jazdy jak potok sunęła się drogą, on przenosił się czwałem z pagórka na pagórek. Obserwował, pozował chętnie, a czasem i nacierał na czele swojej świty na nieprzyjacielskie forpocztę. Nie mogłem w tych okolicznościach jak tylko być jednym z ostatnich. Wtem głos podany z ust do ust aż do mnie dochodzi: "Le Roi demande l'Officier du Prince de Neufchatel". - Spiałem konia ostrogą - wyraźnie był kulawy - i zbliżyłem się do Króla. Spytał mi się, czy marszałek Marmont jest w N. N. - Nie wiem, odpowiedziałem, bo nie byłem w N. N. - Odpowiedź arcylogiczna, logiczniejsza jak tego Żyda, który zapytany, dlaczego białego psa nazwał Krukiem, odrzekł: "Bo jego ojciec był kasztan. - Na silną moją odpowiedź Król odezwał się: A!... A! - i nic więcej, nic, ani słowa. Cóż u diabła za przeznaczenie, że z żadnym monarchą pogadanki zawiązać nie mogłem. Ale tym razem dobrze się stało, bo byłbym niezawodnie jakie głupstwo powiedział. Jest albowiem rzeczą dowiedzioną, że nikt z kulawego konia nic mądrego powiedzieć, tak jak złym piórem nic dobrego napisać nie może. Niemniej bolał mnie jednak ten brak szczęścia do królów, a nawet do królewien, tak, do królewien, a przynajmniej do jednej, królowej saskiej. Było to w onym czasie, kiedy ktoś w transparencie napisał: "O Sasie, w dobrym czasie, drugi raz walisz, przez Kalisz". W onym czasie, kiedy król saski jako Wielki Książę Warszawski jechał z Krakowa do Warszawy. Diabli wiedzą, na co był księciem warszawskim i po co jechał z Krakowa do Warszawy, ale tak było. Jazda nasza, wzdłuż drogi plutonami rozstawiona, eskortowała królewskie powozy. Na mnie padł ten zaszczyt w Lublinie. Pułkownik jechał przy karecie króla, ja przy królowej. Król i królowa zwykli byli rozmawiać z eskortującymi oficerami. Oborski powiadał, że galopując ciągle zażywał tabaki z papierka w nadziei, że król to spostrzeże i że daruje mu tabakierkę, a tabakierka królewska zawsze złota. Ledwie za miastem królowa wychyla się... ja się nachylam, a wtem bałwan kurzu uderza między nas. Królowa cofnęła się, podniosła taflę, a ja przygotowane na języku "Oui, Madame", wypaliłem w powietrze. Ale aczkolwiek rozmowa moja z królową w cieńszej granicy została niż z Królem Neapolitańskim, jednak w czapce ułańskiej, na dzielnym kasztanie, któremu był przepłacił memu kapitanowi Sulimierskiemu, lepszą miałem minę niż na trębackim koniu, w stosowanym kapeluszu. Co prawda, to prawda.

Powiedziałem, że pod Altenburgiem przybyłem pieszo z depeszą dlatego, że konia nie miałem, argument silny. Ale dlaczego nie miałem konia, to potrzebuje objaśnienia. Wyjechałem z Drezna na własnym koniu, przyjechałem pocztowym w nocy do Freiberga. W Freibergu na poczcie nie mogli mi dać tylko wóz chłopski parą cian kzkimi końmi. Nad ranem jeden ustał. Wsiadłem na drugiego i tym razem bez wszelkiego przyrzędu. Mogłem służyć za model do jakiego posągu. Posąg zawsze oklep siedzi. Różnica tylko byłaby taka, że rycerz brązowy zawsze w płaszczu i bez spodni, a ja bez płaszcza, ale w spodniach, Bogu dzięki. Ale i drugi koń zaczął folgować tak dalece, że chwyciłem

heroiczne przedsięwzięcie kontynuować per pedes Apostolorum moje poselstwo do Najjaśniejszego Pana. Oficer sztabowy, le Juif errant de l'Armée, musiał strzec się nie tylko nieprzyjaciela, ale, zwłaszcza w saskiej kampanii, i aliantów niemieckich, którzy ulegając swojemu Heimweh porzucali nasze szeregi i wędrując lasami zabijali, kogo mogli, nie z patriotyzmu, ale der Reisegelder wegen.

Jednakże małe to jeszcze były przykrości, to jest przykrości samotnych wędrówek w porównaniu nieustających utarczek na każdym noclegu po wsiach. Z maruderami ciągle walka. Ale kiedy już przyszło do starcia się na piękne, pałaszem tylko albo drągiem można było działać. Francuza dobitnym razem trzeba zbić z terminu. Wtenczas dopiero powie "Tiens!" i ustąpi z placu - rozumie się w niesłusznej napaści. Ale i linia, nawet gwardia napadała jak szarańcza domy, przed którymi warty nie było. Z bronią w ręku trzeba było bronić swego schronienia wtenczas, kiedy czas było spocząć. Inaczej wyjęli drzwi, okna, gotowi pałace się polana wyciągnąć spod kociołka, a snopek słomy spod ciebie. Cały dom gotowi byli rozebrać, gdyby to tyle pracy nie kosztowało.

Pierwszy marsz z Drezna do Seerhausen; przychodzimy późno - deszcz leje. Na Rejtana kolej odbierać furaz - ale dystrybucji nie ma. Jazda gwardii przybyła wraz z nami. Trzeba szturmem zdobywać. Każda sterta najeżona ludźmi, zdaje się ogromnym rozbitym mrowiskiem. Snopy bieleją się w środku, jak mrówcze jaja sprzątane przez strwożone matki. Ten ciągnie, ten wrywa tamtemu, ten pada pod ciężarem, a tamten go unosi. Ruch, ścisk, cały kopiec żyje. Do tego dołącz żołnierską wrzawę, ludzką kłótnię, krople deszczowe, kurz zbożowy, a obraz będzie dokładny. Nareszcie Rejtan przybywa; niosą za nim siano i słomę, ale je prawdziwie wywalczył, bo nazajutrz rąbie się z francuskim oficerem.

My tymczasem umiściliśmy się dobrze nad wszelkie spodziewanie. Spoczywaliśmy pod sklepieniem mirtów, granatów i pomarańcz. Śnieżny kwiat padał na kulbaki. Woń godna bogów walczyła zwycięsko z różnorodnym zapachem biwaku. Byliśmy w obszernej oranżerii. Ale niedługa rozkosz, a sen jeszcze krótszy. Piesza gwardia nadeszła. Wyjmują okna, nie ma co mówić, my mamy dach, słusznie, aby oni mieli okna. Ale od łyczka do rzemyczka. Wyjąwszy okna, ciągną ze środka jaką mogą tarcicę, jaki mogą kawał drzewa. Jeszcze nic. Ale nareszcie zaczynają zbijać obręcze z wazonów, wazony brać na opał. Padają oleandry, aloesy, kaktusy i agapantusy. Bierz je lichy - nigdy nie byłem miłośnikiem botaniki, a tym mniej wtenczas, ale można jakim wykorzenionym kaktusem albo cyprysem w łeb dostać. Ziemia się sypie, rusztowania trzeszczą. Koniec końców trzeba było zrejterować się w jeden kąt i tego jeszcze do białego dnia bronić od zupełnego zniszczenia.

Podobne, lecz śmieszne dla nas mieliśmy zdarzenie w Perthe, dużej wsi między Vitry a St. Dizier. W nocy otwierają się drzwi z trzaskiem, hałasem. Jeden z kolegów, co zawsze odosabiać się lubił i nad wygodami przemyśliwał, wpada do naszej izby. Spodnie pod pachą, buty w jednym, pałasz w drugim ręku. Cóż się stało? Co się dzieje? Kozaki czy ogień? - Wcale nie. Nasz kolega wybrał sobie kwaterę na piecu piekarskim, które to piece we Francji opodal od domu przykryte bywają płaskim daszkiem, jak u nas piwnice. Zasnął smacznie, a wtem... trzask! prask! gonty się łamią, krokiew pęka i piechur na kark mu spada. Excusez! Dach rozbierają. Ledwie wyszedł cały, a my musieliśmy pospieszyć, aby resztę rzeczy wyratować z tej zburzonej Troi.

W tej wsi Perthe usłyszałem miejscową anegdotkę, którą pozwolę sobie Państwu powtórzyć. Żył tam przed laty pleban, który tylko wierszami mówił. Razu jednego między nim a biskupem taka nastąpiła rozmowa:

- Vous etes le Curé de Perthe?

- Certes.

- Le fameux rimeur?

- Oui, Monseigneur.

- Descendez de cheval.
- Vous dites mal.
- Comment?
- C'est une jument.

... I mruga! piękna to piosneczka, niedługa.

Przykre bywały te utarczki z rzeszą obozową dla oficerów sztabowych, którzy zmęczeni zawsze jak psy gończe, co dzień cały po trzcinach starego lisa goniły, potrzebowali tak dla siebie, jak i dla koni kilka godzin odpoczynku - odpoczynku, którego każdy inny w jakim takim, ale niekontestowanym biwaku mniej więcej używał. Biwakować zaś także trudno nam było. Jeżeli to czasem się trafiło, leżeliśmy na kwiecistym kobiercu ziemi pod gwieździstym namiotem nieba. Bo nie było komu spiąć jaką taką barakę, przynieść drzewa, słomy, wody. W pułku jedni drugim pomagają, jedni zostają przy koniach, drudzy przy kociołku, a inni idą na łówkę. Ale oficer sztabowy ze swoim służącym nie rozbierze dachu ani też wyjmować będzie okien z oranżerii. Na to trzeba stowarzyszenia nie przez akcje, ale przez pięści. Sama epoleta za słaba w tym razie. Nie mniej przykrymi bywały te noclegi, gdzie gwardia dostawała rozkaz de se loger militairement, to jest - jak kto może. Kilku nas ze swoimi i tych kolegów, którzy się na misji znajdowali, służącymi i końmi zajmujemy jaki domek. W parę godzin kłapanie tysiąca trzewików oznajmia, że piechota przybywa. Wkrótce potwierdza to mniemanie dwukrotne uderzenie kolbą w drzwi - podpira, kto może - rozmowa przez deski - czasem uda się odwrócić ten pierwszy napad - ale niezadługo nastaje drugi, trzeci, a im późniejszy, tym upartszy, bo to ogon kolumny, ten nie ma wyboru ani czasu do stracenia. Drzwi trzeszczą, kapitulować trzeba. - Wielu was? - Trzech. - Dobrze, trzech przyjmujemy. - Otwierasz, wchodzi sześcioro. "Pardon Messieurs! mais que voulez-vous..." "Il faut bien... etc. etc..." Dobrze, dobrze, tylko cicho - wy tam, a my tu. Ale za ledwie utasowano się jako tako, nowy szturm. - "Briquet! Est-tu par là?" - "Ah! C'est toi Colicaut!" - "Allons sacrrr!!... Vous allez faire entrer toute une compagnie!... Dutout!... dutout... un seul, pas plus, natre camarade... Voyons" - I wchodzi jeden, za nim wciska się znowu jeden i niby nie puszczany przez tego, co drzwi uchylił, jeszcze jeden. - "Fermez donc, sacrrr!..." - Oui, Messieurs. Ale już obrócić się trudno. Otóż to nocleg sztabowych oficerów.

Raz wróciwszy z misji, strudzony, zziębnięty, oddaję konia, wchodzę do wskazanej mi izdebki i rzucam się na łóżko bez wszelkiej przemowy. Zasnąłem twardo jak panna po balu albo wikary po stypie. Nad ranem, jeszcze ciemno było, wstaję - potykam się na czemsiś... chwytam się czegoś drugiego... upadam na coś trzeciego... Słowa zagrzmiały, słowa się krzyżują, słowa, których nie ma ani w dykcjonarzu, ani w encyklopedii i których powtórzyć nie mogę. Cóż się to stało w mojej samotnej izdebce podczas mego snu? Oto grenadiery gwardii zaległy ją pokotem. Dziwna rzecz, że żaden nie położył się na mnie. Ale Francuzi tak grzeczni!

W owych szturmach, obronach, walkach o trochę słomy albo kawałek poddasza kto był Ajaxem? Kto Hektorem? Mój Onufry. To przyznać trzeba. O! jak piękny był, kiedy zwabieni hałasem na podwórze, ujrzeliśmy go nad leżącym pod wozem Garde d'honneur'em, z ogromnym drągiem w ręku. Stał jak ów, słynnego dłuta Canovy, Tezeusz nad Minotaurem. Garde d'honneur krzychał i, nieufny zapewne w siłę pałasza, parował obu nogami grożące mu razy. Wiązka siana obok walczących świadczyła, o co poszło. Krzyknąłem - drąg się spuścił - Garde d'honneur wstał - zdjął czako z ziemi mruczając: "Est-il mal-appris, celuil là!" I obcierał sobie mundur... nie na piersiach zwalany.

Pułk huzarów w zielonych dolmanach z białymi sznurami i w pąsowych rajtuzach, nazwany Gardes d'honneur, był to pułk świeżo uformowany po największej części z dzieci paryskich. Bili się z honorem i męstwem, tak jak się Francuzi bić zwykli, ale niemało bawili starszych żołnierzy swoją powierzchownością, również jak i swoim zachowaniem w różnych obozowych okolicznościach.

Jeden z francuskich generałów powiedział: Nie ma się co dziwić, że Polacy są dobrymi lansjerami, bo Polak jeszcze dzieckiem już z lancą w rękę było pasie. - Lubo Francuzi zawsze wszystko najlepiej wiedzą - teraz nawet w Algerii Arabów uczą po arabsku - ja prawdy twierdzeniu szanownego generała przyznać nie mogę. Powiem jednak, że nam, Słowianom, łatwiej niż Francuzom złożyć dobrą jazdę lansjerów czy nie lansjerów, a zwłaszcza złożyć naprędce. U nas chłopak wzrasta między końmi - dosiada szkapy, pędzi po pastwisku, przepływa rzeki, wtenczas kiedy jeszcze po płocie wydrapał się na nią, kiedy między nim a jej grzbietem płótna nawet nie ma. Nie będzie on zapewne od razu zgrabnym kawalerzystą, ale z koniem poradzi sobie zawsze, a do koczowania nawykł od dzieciństwa. Każdy nowy kawalerzysta wzbudza śmiech starego żołnierza, a cóż dopiero Francuz prosto od Comptoiru kawiarni albo od perukarskiego warsztatu na francuskiego konia wsadzony. Proszę mu się przypatrzeć. Najprzód jego punkt dotknięcia z kulbaką jest w ciągłej z nią niezgodzie... zdaje się, że jakaś odpychająca siła zmusza je do oddzielnej grawitacji. Jego łokcie odparte od ciała jak skrzydła młodego gołąbka, co chciałby, a boi się pierwszy lot z gniazda przedsięwziąć. Jego głowa w tył zadarta, a pierś nachylona jak u naszego popa, kiedy o prezentę prosi - brzuch wypięty jak u spalonego karczmarza. W jego ruchach, od pięty aż do czubka paryskiego, zgniecionego teraz rycerskim przykryciem, jest coś nerwowego, coś ostrokątnego, co go czyni podobnym do telegrafu, nie elektrycznego, ale tego, co za naszych czasów z wieży do wieży łamańce wyprawiał. Bądź przy tym pewny, że oba strzemiączka, a przynajmniej jedno urwane - rajtuzy w górę skurczone odkrywają cholewę nie poczernioną albo część płóciennego ubioru, który nigdy słońca widzieć nie powinien. Ostroga młodego rycerza na dół zgięta nadwerżyła obcas; to na pierwszych schodach, z których zstępował jako obrońca ojczyzny, stać się musiało niezawodnie. Czako przestronne ociera uszy albo za ciasne natęża podpinkę, która koniec końców urwana igrac będzie z wiatrem wzdłuż policzków. Cugle długo trzymane zdają się być lejcami czterech koni w rękę stangreta rozpartego na koźle. Nareszcie zawsze coś niepotrzebnego, rzemyk, tasiemka, sznurek wygląda, skąd mu wyglądać nie wolno. Ileż to razy jaki stary wiarus rozkuł w nocy konia Garde d'honneurowi, potrzebując podkowy. Ileż to razy wiozącemu furaż wymknęły się źle związane snopki, a nim konia zatrzymał, nim zlął z niego, już snopków nie było. Jeżeli zaś nauczony w tym względzie doświadczeniem wziął cugle w zęby, a wiązki pod pachę, wtenczas tracił łatwo równowagę i zsuwał się z kulbaki, a nim się z siana wydobył, koń już kawał uszedł. Ileż razy nie śmieliśmy się, patrząc na biednego Paryżanina, jak nie mogąc dać sobie rady w trudnej sztuce przypięcia sobie mantelzaka, siadał twarzą do ogona i tak szamotał się z krnąbrnym rzemieniem i zuchwałą sprzączką. Notabene w okularach na nosie często, a z kroplą u nosa zawsze. Ta kropla, aczkolwiek mniej ważna niż owa, o której Alba wspomniał Don Karlosowi (z wielkim zgorszeniem ultra-klasyków), godna jednak wspomnienia. Zdaje się nie podpadać wątpliwości, że nosy francuskie drażliwsze od nosów innych narodów, bo zacząwszy, nie od Cesarza, u którego nie zdarzyło mi się nigdy ujrzeć owej perełki, ale zacząwszy od mojego szefa generalnego, majora Księcia Neufchatelskiego, aż do porucznika Pascalis, którego (par parenthese) nazywaliśmy Tete de veau bouillée, wszyscy Francuzi, gdy chłodny wietrzyk przeciągał, mieli kropelkę u nosa; niebytność tejże była cechą niemylną obcego Gallom szczepu.

Czasem trafiało się, że w miasteczku, gdzie stanęła główna kwatera, a z nią gwardia, miejsca dla wszystkich nie było, natenczas część sztabu zostawała umieszczoną w bliskiej jakiej włości. Mocnymi marszami dążymy ku zagrożonemu Paryżowi. Ostatniego marca przybywamy do Pont-sur-Yonne. Kwatera nasza o ćwierć mili na prawo w dużej wsi zwanej (czego do śmierci nie zapomnę) Michery. Poprawiliśmy się na kulbakach i dalej, panie koniu, dalej! do stajni jeszcze kawał drogi. To, co w zmroku wieczornym widać jak czarną plamę, jest Michery. Dalej, naprzód! Już się

ściemniło, ba, ciemno było, jak to mówią "oko wykol" albo vulgo "w pysk daj", kiedyśmy dojechali światełka, co z okienka krajnej chaty od dawna mrugało na nas uprzejmie. Ile razy zdarzyło mi się przejeżdżać przed porządną chatę, gdzie ogień w kominie jarzący muskał zarazem światłem białe ściany i niski strop, z którego święcone wianki zdają się wieńczyć zgromadzoną rodzinę, zawsze doznawałem jakiegoś błogiego uczucia. Zdawało mi się, że szczęście widzę. Myślałem sobie: Jak im tam dobrze, jak spokojnie, jak mało trzeba! Nigdy pałac oświetlony nie wzbudzał we mnie zazdrości - chatka z dobrym ogrodzeniem, ze swoim nieodzownym Kruczkiem albo Biłkiem, zawsze prawie. Raz nawet, na kilkudniowym polowaniu w lasach lubartowskich, nocując w domku leśniczego tak byłem zachwycony widokiem rodzinnego, cichego, skromnego życia, że zachwiało się we mnie młodzińcze przedsięwzięcie wojowania aż do śmierci. Takiego, rzekłem, chcę ustronia... prawda, że wtenczas kochałem się po raz pierwszy... nie, po raz drugi. Prawda, że później poznałem, że nie wszystko grzeje, co się świeci, a jednak wrażenie z wiosny mego życia rozciąga swoją bladą lunę i na jesień, co już niejednym żółtym rzuciła mi listkiem. Dwa małe okienka, ale czyste i proste, spod grubej strzechy świecące w noc daleką, przemawiają jeszcze do serca mojego.

Nie tak przyjemne wspomnienie o chatkach i światełkach zachował zapewne jeden z moich kolegów. Jechaliśmy przy sobie na czele kompanii przez jakąś nędzną wioskę; było to jeszcze w czasie pokoju, ale w noc diablo czarną. Wiatr dał i ryczał, niby gniewał się jak demagog, że nie może wszystkiego obalić, co nad poziom wyższe. Fajka w takich chwilach niby rozwesela, niby rozgrzewa. Mój kolega (Bożemi odpuść, nie pamiętam, jak się zowie, czyli jak się zwał) chciał ognia, ale w bliskich rotach nikt nie miał. W chatach ciemno. Na koniec w ostatniej, opodał od drogi, migąło światełko, słabe, blade, więcej podobne do promyka księżyca niż do płomienia kagańca albo łuczywa. Tam zatem konia skręcił. Pięć minut zaledwie uszło - słyszę cwał - kolega mnie dopędza, przegania - biały płaszcz wzdęty wichrem, wznosi się, płacze, układa różne kształty - raz jeździec zdaje się bez głowy, raz w olbrzyma rośnie, raz zdaje się trzymać w objęciu wiarołomną Leonorę, hop! hop! hop! Puszczam konia za nim. - Hola! hej! stój! gdzie pędzisz? - Wstrzymał się nareszcie, spojrzał na mnie, odetchnął i zawołał: - Mnie się zdaje, że zwariowałem. - Nie spodziewam się - odpowiedziałem - ale w świecie wszystko jest podobne. - Nie żartuj - rzekł dalej - bo mnie w samej rzeczy kręci się w głowie. Zrównał swego konia z moim i ujechawszy kawałek, krzyknął: - I fajkę palę! - To wykrzyknięcie przeraziło mnie cokolwiek, bo zacząłem myśleć, że jego rozum w istocie koziołka wywrócił. Spojrzałem na niego z ukosa, ale prócz dymu puszczonego wielkim kłębem, nic więcej nie dojrzałem. - I fajkę palę - powtórzył jakby do siebie, a potem zwracając się ku mnie, rzekł, zaśmiawszy się niby: - To jest rzecz dziwna. Wstydzę się trochę, ale powiem. Kiedy zwróciłem konia ku chatce, musiałem go spinać ostrogami, bo szedł trwożnie i z oporem. Zniecierpliwiony zsiadłem z niego i znalazłszy jakiś kół, ostatni zapewne w wyłamanej płocie, zarzuciłem nań cugle i wszedłem do chaty. W sieni ciemno. Macam po ścianie, nareszcie natrafiam na sznurek u drzwi, ciągnę, otwieram i w pierwszym kroku znajduję się przy twarzy, tuż przy twarzy... umarłego. Leżał białym płótnem przykryty - jedna świeczka przy nim świeciła. Jakaś okropność mnie chwyciła - jakiś mróz przejął - martwym wydałem się sam sobie. A wtem... coś się ruszyło - wszystko i nic... Nic, bo tam prócz umarłego nikogo nie było - wszystko, bo nigdzie jednego stałego punktu oko moje znaleźć nie mogło. Nawet ściany nagie przebiegało coś, co ni cień, ni światło. Co się ze mną dalej stało, nie pamiętam. Musiałem fajkę zapalić, bo palę... - i dmuchnął, aż cały nabój tysiącami iskier wyleciał w górę i spadł potem na grzywę. - Jak wyszedłem, nie wiem... jak się znalazłem na kulbace, nie wiem... jak tu przyjechałem, nie wiem. Twój głos mnie obudził. Powiedz mi, czy nie zwariowałem, bo jużci trupa się nie boję. - I znowu zaczął opowiadać od początku do końca, a gdyśmy się spać pokładli, jeszcze raz powtórzył: - To światełko ciągle świeci mi w oczach.

Śmieję się sam z siebie, ale światółko świeci przecie.

Kiedy byłem poetą, a byłem nim niegdyś, bo pamiętam jeszcze gwiazdy, co mi wtenczas świeciły, głosy, co mi śpiewały, mgły, co swoją wonną gazą łączyły niebo z ziemią, w których pomroku oko gubiło się tak chętnie. Tak jest, pamiętam, byłem poetą, wtenczas więc, kiedy myśl obfita przelewać się zdawała, jak woda przez krawędzie przepelnionej czary, obstawiałem się zwykle krzesłami, ażebym chcąc wstać od stolika trącił się o nie i był zmuszony usiąść znowu nad papierem przed kałamarzem. Inaczej zrywałem się jak osą ucięty, chodziłem wzdłuż i wszerz pokoju, prędko, coraz prędeziej... a myśl ze mną, przede mną, prędko, coraz prędeziej, aż na koniec zadychany usiąść musiałem, aż nareszcie myśl zapędzona gdzieś w manowce, jary, szczyty, nie wiedziała, jak trafić do swojego gniazda i czarną łzą zawisła na ostrzu pióra. Otóż tak należałoby postąpić przy opowiadaniu moim. Należałoby otoczyć mnie jakową poręczą, bo mam brzydki nałóg, a co gorzej, wątpię, abym się kiedy poprawił, zbaczać nieustannie z mojej ścieżki za lada bławatkiem, co gdzie zaświeci. Wjeżdżałem do Michery i jużci skoczyłem trzy lata w bok, sześć lat w tył, jak zajęca, kiedy na ponowie zrzuca przed psami. Nieraz psy rączo goniąc...

"Ale Michery! Michery!"... Prawda, Michery. Wjeżdżamy więc w uliczkę wąską, jedziemy nią dość długo, potem wyjeżdżamy na plac, potem znowu wjeżdżamy w uliczkę, a przejechawszy tak wzdłuż całą wieś, którą u nas nazwano by dobrym miasteczkiem, skręcamy na prawo i stajemy u bramy przeznaczonej nam kwatery. Był to domek niewielki, murowany, okna kratami opatrzone, drzwi były wąskie i jedne tylko, właśnie prosto bramy, i furtki, które także były jedynym otworem w murze wysokim, otaczającym pomieszkanie i stajnię razem, co o kilkadziesiąt kroków na lewym skrzydle formowała z domem kąt prosty. Z tego krótkiego opisu łatwo pojąć, że kto był panem furtki (brama bowiem była zamknięta), był oraz i panem placu. Nie tylko mógł wzbronić wyjścia z dziedzińca, ale nawet i z domu, przecinał przy tym komunikację ze stajnią. Ci zaś, co byli w domie, stajni lub na dziedzińcu, mieli wysokim murem cały świat zasłonięty.

Zsiedliśmy z koni. W dużej izbie prosto z dworu przywitał nas dobry ogień na kominie, nad ogniem wisiół kociołek, a na stole stał już dzbanek pełny. Wieczór przeszedł wesoło, nareszcie masztalercze poszli do stajni, a my rozłożyliśmy się w alkierzu. Nie wiem, dlaczego tej nocy byliśmy mniej ostrożni niż kiedykolwiek. Rozebraliśmy się zupełnie i położyli się spać z wszelką spokojnością umysłu, tak jak się kładzie w Rudkach na noclegu szlachcic z Sanockiego jadący do Lwowa na kontrakty.

Spaliśmy dłużej niż zwykle, a obudziwszy się, wstawaliśmy leniwo. Milberg ubrał się najpierwszy i zrzędził, że się nie zbieramy. Suchorzewski poszedł ze swoim koniem do kowala. Grabowski zaczął się ubierać. Rejtan jeszcze drzymał. Ja przy stoliku w oknie, z którego widziałem bramę i furtkę, przypinałem sobie torbeczkę skórzaną, którą pod mundurem na piersiach nosiłem i w którą chowałem tak własne ważniejsze papiery, jak i powierzone mi depesze. Taki był stan rzeczy, kiedy Stefan, służący Rejtana, wpada blady jak kreda, trzęsący się jak febra in persona i cichym, gasnącym prawie głosem woła: "Kozaki!... Jak Boga kocham, Kozaki!" Jakkolwiek cicho i niekoniecznie wyraźnie wymówił te słowa, głośno wszakże zagrzmiały w uszach naszych. Obudził się, kto drzymał, zerwał się, kto leżał, kto stał, podskoczył. Nie trzeba było pytać: gdzie? jak? co? Bo rzuciwszy okiem w okno, ujrzeliśmy u furtki z tamtej strony muru część zielonego płaszcza, połowę białej juki, łeb koński, a nad nim kozacką brodę. Niebawem ukazała się i druga. Kozak wszedł na dziedziniec; czy to pierwszy, czy dziesiąty, nie wiemy. Co się dzieje w stajni, trudno zgadnąć. Bierzemy odzież, chwytny za broń, ale przy moim boku szpada, pałasz u Onufrego, pistolety, jeżeli który nabity, spoczywają w olstrach, olstra przy siodłach, siodła w stajni. Kiedy w naszym alkierzu alarm, w stajni tymczasem ludzie nasi spokojnie jedni konie chędożą, drudzy kulbaczą, pomimo że

Kozak we drzwiach, ten, którego widzieliśmy wstępującego na dziedziniec.

Zdaje się, że św. Balbina, patronka dnia tego, opiekuje się głupimi, bo trudno wierzyć, aby tyle głupstwa, ile wówczas w Michery, mogło skoncentrować się w jeden punkt i w jedną godzinę. Kozak widzi w stajni ze dwadzieścia koni - nie dostrzega popłochu - przemawia kilka słów i cofa się za furtkę. Kozacy pamiętni zawsze przysłowia: Quis scit co za górą wyje - kto wie, co w domu? co za domem? Między murami kulka z bliska uderza, - lepiej postępować powoli a bezpiecznie. Oni przynajmniej rezonowali... ale my!... Proszę tylko słuchać.

Za Kozakiem na próg furtki wstępuje Milberg. Jeszcze widzę jego mundur, epolety, krzyże odsłonięte, szpadę w pochwie, kapelusz na głowie, fajkę w ręku. Staje przed Kozakiem i mówi do nich z ruska po polsku: "Co wy tu robicie? Tu dużo Francuzów". A na to Kozak trzymając pistolet w jednym ręku, uchyla drugą ręką kaszkieć i z wszelką uprzejmością odpowiada: "My Hrancuzów ne boim sia". Postrzegłem tę scenę z okna. To uszanowanie Kozaka odkrywa mi nagle, co się dzieje za murem. Nie ma ich wiele. ...Boją się nas... pomyślałem, a po łyśnięciu tej myśli uderza piorun czynu. Chwytam jakiś pałasz leżący na stole jeszcze pendentem obwinięty i wypadam z domu krzycząc: "Hurra!" - "Hurra" - powtórzyli nasi z wszystkich kątów... Kozaki w nogi. Grabowski w pół ubrany dopadł przecie pistoletu, strzelił za nimi, kulka świsnęła, Kozunie jeszcze lepiej..." tak dalece, że jeden pikę swoją upuścił. Suchorzewski także narobił hałasu. Uderzono w dzwon (le tocsin), kilku chłopów wybiegło z widłami. Kozaki zaś zebrawszy się, uformowali się za wsią o wystrzał armatni na pagórku i w nieczynnej stali obserwacji. Od naszej furtki widać ich było, a przez to samo i oni widzieli punkt, przez który trzeba nam było defilować wychodząc z opiekuńczych murów. Ośmielony pomyslnym skutkiem mojej wycieczki, wpadłem w błąd, który zwykle za szczęściem krok w krok idzie. Zostałem zuchwałym, zarozumiałym, zdało mi się, że ja tu działać muszę, że tylko taktyczna zręczność wyprowadzić nas zdoła z niebezpiecznego położenia. Włożywszy zatem kapelusz a la Napoleon, to jest rogami nad uszy, rekognoskowałem nieprzyjaciela (nie mając perspektywy) gołym okiem i tak zacząłem rezonować: Jeżeli wyjedziemy z bramy w nieładzie, odsłoniemy nasze słabe siły i zamiar ucieczki. Potrzeba zatem, rezonowałem dalej, zrobić demonstrację, która by nieprzyjaciela w błąd wprowadziła, że my jesteśmy tylko częścią większego oddziału, rozłożonego po wsi, że nie uciekamy, ale że udajemy się spiesznie na plac zbioru, że nareszcie zebrawszy się, nie myślimy ustąpić z naszego stanowiska. Aby więc dopiąć tego celu, zdawało mi się być najstosowniejszym krokiem posunąć naprzód korpus obserwacyjny. Że zaś zawsze podług stawu grobla, więc i nasz korpus obserwacyjny musiał objawić się tylko pod postacią skromnej wedety. Udzieliłem mego planu kolegom i nie czekając ich przyzwolenia, siadłem na konia, wziąłem pałasz w rękę i ruszyłem ku Kozakom w zamiarze zatrzymania się i pozostania na brzegu wsi póty, póki w tyle nie uporządkują się rozstrzelone nasze siły. Ruszyłem, stanąłem... dotąd wszystko pięknie, bo w samej rzeczy zdaje się, iż ukazanie się moje na linii bojowej zajęło uwagę Kozaków i pozbawiło ich przez to potrzebnego, czasu do obejścia wsi i przecięcia nam powrotu do Pont-sur-Yonne, dokąd dążność nasza nie mogła być wątpliwą i z najgłupszych najgłupszemu. Ale stanąwszy na miejscu postrzegam, że droga zaczyna być wąwozem i że wzdłuż tejże po lewej stronie ciągnie się murek na paręset kroków. Skręcam więc konia na prawo z drogi, aby odsunąć się na plac otwarty, bo bliskość murów, płotów lub zarośla zawsze kawalerzyście jest niemiła, oraz aby osiągnąć wyższą pozycję. Tam zacząłem toczyć koniem, jak to zwykle robi się na harcu. Wtenczas to zapewne duch jakiegoś doświadczonego wojownika, którymi w onym czasie zapełniały się obficie wyższe sfery, zawieszony gdzieś, na jakiej chmurze, roześmiał się z mojego przemądrego obrotu. Przez oddalenie się od drogi traciłem możliwość schronienia się między domy - bo jużć o tyle ja tylko byłem tam groźny, o ile moja szarlataneria czyniła mnie strasznym. Mogła ona łatwo stracić swój urok, a wtedy jedynie

ucieczka ratować mnie mogła. Ale razem, a to najgorzej, pozbawiłem się widoku za siebie ku bramie. Bądź co bądź, mądrze czy głupio, harcowałem śmiało. Jeden tylko Kozak, w którym po zielonym płaszczu poznałem Barbarosę od furtki, wyjeżdżał ze swego hufca, złożonego mniej więcej z trzydziestu koni i strzelał do mnie... to jest chciał strzelać, ale ognia mu brakowało, kłapał ciągle. Może ów duch ze swojej chmury, litując się nade mną, plunął mu na panewkę. Nareszcie wytrzymałszy czas jakiś, który zdawał mi się dostatecznym, rozpocząłem odwrót. Przybywam do bramy - dziedziniec pusty jak wymiółt. Koledzy nie opuścili mnie, wiem, z kim mam do czynienia, ale zapewne nie dosłyszeli, nie zrozumieli... niemniej przeto uczułem za nimi głęboką tęsknotę. Nadziei jednak nie tracę. - Na placu - rzekłem - czekają mnie pewnie, organizują obronę. Jadę więc wolno aż do zakrętu ulicy, stamtąd rzuciwszy okiem na hufiec nieprzyjacielski posuwam się jeszcze parę kroków... i nuż w konia!... Rejteruję się w porządku, ale spiesznie. Czoło mojej kolumny debuszuje na plac pożądany... żywej duszy!... A do stu diabłów!... (tu kłąć wolno). To. nie przelewki, ale planu mego odwrotu nie widzę potrzeby zmieniać... Marsz! marsz! pędzę cwałem.. za mną się kurzy, a ja pędzę, pędzę przez wieś, przez pole... widzę grenadiera prowadzonego przez dwóch Kozaków... Bywaj zdrów! o mojej przyjaźni dobrze mów!... Ja pędzę dalej, aż nareszcie postrzegam oddział naszej jazdy spieszący nam z miasta na pomoc. Odetchnęła moja szkapa, odetchnąłem i ja. I jakkolwiek teraz ten popłoch godniejszy śmiechu niż politowania, ja honorem ręcę, że dla mnie był arcynieprzyjemnym. Dobrze wyciągał się koń pode mną, ale myśl moja jeszcze lepiej. Przebiegła całą nędzę i cierpienie niewoli, z której otrząsałem się zaledwie, a potem prawdę mówiąc, być raz w niewoli jest dla człowieka wiele, nawet bardzo wiele, ale dwa razy, raz po raz, to przeszłoby miarę... to już zbytek, a moje żądania były zawsze nader skromne.

Nic nie straciliśmy w tej dziwnej przeprawie, w tym szczególnym Prima Aprilis. Ale w Pont-sur-Yonne czekało nas drugie, boleśniejsze, niszczące całą przyszłość, zabijające wszystkie nadzieje nasze. Paryż kapitulował.

Teraz pozwól, szanowny Obywatelu, zapytać się, czy stałeś kiedy dzień cały w polu na wietrze zimowym bez delii, lisiurki albo i płaszcza? - Nie. Tym lepiej dla ciebie, a gorzej dla mnie, bo nie pojmujesz dobroczynnego uczucia, z którym w Montereau, tysiąc ośmset czternastego po narodzeniu Jezusa Chrystusa, koło szóstej wieczór odpiąłem pałasz, zdjąłem mundur i zasiadłem, gdzie potężny ogień strzelał węglem i lizał płomieniem szerokie podniebienie komina. Już patelnia zaczęła swoją służbę. Już omlet na niej kozła wywracał, tak jest, kozła - i w tym cała sztuka - a ta sztuka właśnie była niedościgniętym dla mnie zadaniem. Kiedy omlet zajmujący całe dno patelni przysmaży się już dostatecznie z jednej strony, trzeba go w górę podrzucić i gdy robi salto mortale podłożyć zrecznie patelnię, aby drugim bokiem: upadł na skwierczące masło. Ileż to ja omletów nie popsulem! Ileż za to gorzkich nie nasłuchałem się wyrzutów! Mój omlet, niezgrabnie zawsze podrzucony, albo spadał na ogień i konał w płomieniach, jak wdowa Malabaru, albo w pół schwycony zwijał się w haniebną trąbkę. Dlatego pomimo wszelkich z mojej strony reklamacji (bo człowiek najgorliwiej chce to robić, co najmniej umie) zostałem unanimiter od patelni odsądzony. Mściłem się krytykując - bo krytykować łatwo, a mścić się przyjemnie - bo zemsta niezdolności bliska krewniaczka.

Podjadłszy nieco i napiwszy się jakiegoś kwaśno-cierpkiego czerwieniaka, rozciągnąłem się na słomie i twardo zasnąłem. Jak długo spałem, nie wiem. Pukanie w okno budzi mnie pierwszego.

- Qui vive? - Guide. - Zjedzcie diabła! - Podniosły się głowy spod płaszców jak kacze łebki na jeziorzku, kiedy bliski szmer zasłyszają. Biorę złowieszczą kartkę, trącam nogą przygasłą kłodę, a dobywszy z niej trochę blasku, schylam się, by odczytać nazwiska powołanych na służbę. Jedno z pierwszych: Capitaine Fredro. -C'est bien - rzekłem do Guida po francusku, a po polsku dodałem: Niech cię piorun trzaśnie! - Trzaśnie czy nie trzaśnie i zapewne nie trzaśnie, bo to luty, ale zbierać

się trzeba. Nigdy zając albo jarząbek na czwartkowym obiedzie u króla Poniatowskiego nie był tak młodą słoniną naszpikowany, jak był diabłami mój monolog ostatniej nocy. Zakończyłem go wykrzyknikiem: Wolałbym być Kundlem, Brysiem albo Kurtą przy młynie albo karczmie gdzie na Podolu, jak oficerem sztabowym. Miałbym albo mniej trudu, albo więcej zasługi.

Przychodzę do salonu służbowego, melduję się adiutantowi komendantowi, przewracam nie tracąc czasu krzesło, tak aby poręcz mogła mi służyć za poduszkę... i obróciwszy się w kółko jak pies, co sobie legowisko wytłacza w barłogu, kładę się jak długi. - Streckt die Glieder und legt siech nieder. Ale wkrótce drzwi się otwierają: - Premier Officier a marcher! - Me voila. - Wchodzę do gabinetu. Stół długi na środku - na jednym końcu rozłożona mapa, przy drugim sekretarz Dupuis pisze, Salomon pieczętuje listy. Książę Jegomość rozłożywszy poły grzeje się przy kominku, a zobaczywszy mnie, powiada przez nos, jak gdyby mu go trzy par babskich okularów ścisnęło: - Ah! c'est Vous! - Ale gdybym był go się zapytał, kto jest ten Vous, byłby odpowiedział niezawodnie: Siukoroski - co miało znaczyć Suchorzewski. Nauczył się tego trudnego nazwiska, a raz zrobiwszy ce tour de force, chrzczył nim potem wszystkich polskich oficerów, będących przy jego sztabie.

Książę przystąpił do stołu i pokazując palcem na mapie rzekł do mnie: - Tu jesteście: Montereau - tu jest Moret - a tu Fontainebleau. Weźmiesz Waćpan trzy ekspedycje. Jedną oddasz generałowi A*** w Moret, drugą generałowi C*** w Fontainebleau, trzecią tamże mairowi alias burmistrzowi. Ale ponieważ lewy brzeg Sekwany między Montereau a Moret jest jeszcze zajęty przez nieprzyjaciela, zatem popłyniesz Waćpan czółnem aż poniżej Moret. Tam doszedłszy, generał A*** ułatwi Waćpanu sposób dostania się dalej. Ten jegomość będzie Waćpanu przewodniczył. - Rzuciłem okiem w stronę wskazaną i zobaczyłem człowieka wysokiego, grubego, w którym po jego siwym ubiorze łatwo mielnika poznałem. Skłonił on się nisko, nie wiem, czy indeksowi książęcemu, czy mojemu badawczemu wejrzeniu. - Rozumiesz Waćpan - mówił dalej Książę do mnie. - Rozumiem. - Powtórz więc, co powiedziałem. - A gdy powtórzyłem: - C'est bien, partez! - Nie ma lepszej rękojmi, że rozkaz został zrozumiany, jak powtórzenie go dosłownie przez odbierającą osobę. Książę miał ten chwalebny zwyczaj, zachowywał go święcie, zwłaszcza w czasie boju dając ustne zlecenia. Teraz, w czasach, kiedy plotę moje trzy po trzy, mój dojeżdżacz powtarza zawsze rozkaz, skąd ma psy puścić i którędy podkładać, a ja mu powiadam: - C'est bien, partez! Nie wyszło kwadransa, już kładłem się wzdłuż czółna na skąpo rozścielonej słomie. - Etes Vous bien, mon Officier? zapytał grubulo. - Parfaitement - odpowiedziałem. - Allons! Vogue la galere! - Noc była ciemna, zefir chłodny, sparłem głowę na kułaku, pałaszem się przykryłem, a kapelusz wziętem w rękę... kapelusz stosowany, piękny wynalazek!... szczególnie do nocy i na czółno! O czemuż ciebie nie miałem w objęciu, mój ty płaszczu biały! Treny nad utratą twoją przeszłę kiedyś potomności trzynastosylabowym wierszem! Oby mogły dojść drugiego pokolenia! Mniej żaden poeta nie żąda. Mój przewodnik usiadł w moich nogach - a dwieście pewnie funtów dobrej wagi zachwiało czółnem, ale stało się dla mnie dostatecznym parapetem przeciw frontowemu ewentualnie natarciu. Na samym zaś przedzie ukląkł majtek, czyli rybak, czy jak tam nazwać indywiduum dzierzące wiosło. Odepchnął łódkę, puścił z biegiem wody Rybak młody etc.

Płynęliśmy. Z mojego stanowiska, a raczej położenia, bo nie stałem, ale leżałem do góry brzuchem, mogłem do woli robić astronomiczne postrzeżenia. Patrzałem na gwiazdy. Mrugały. Nie wiem, czy przez to chciały powiedzieć: Ah! c'est Vous, Siukoroski! czyli też może z utrudzenia, że zawsze muszą patrzeć, a nigdy na coś dobrego. Albo też mrugały jak człowiek, który postrzegłszy coś niespodziewanego nie dowierza oczom swoim. Tak jest, gwiazdy moje, zawołałem w myśli, ja to jestem przy głównym sztabie Wielkiej Armii, ja, który zawsze stroniłem od sztabów, ugrzązłem w najnieznośniejszym. Przy każdym sztabie mniej więcej trzeba nadszakać, dworować, czapką i

papką ujmować, a czasem, Mospanie, i buty uszyć komu. Trzeba swoje zalety kłaść w każde ucho, jakie się nastęrczy, duże czy małe, pod hełmem czy pod kornetem - a uszy podadzą pamięci, pamięć rozumowi i rozum uwierzy, bo powie: Vox populi, Vox Dei. Ja tego wszystkiego nigdy nie umiałem. Moje miejsce było w linii. Los mnie czasem naprzód wypchnął, a jeden Bóg tylko wie, do ilu cierpień duszy bywało nieraz powodem to, co gmin szczęściem nazywał, czego mi nieraz zazdrościł. Ile to goryczy nie wlało w serce moje. I tak wcześnie! I tak późno!

Zostaw, Panie Szlachcicu, twoje czoło na domowym zapiecku, kup sobie wstępując w świat inne, miedziane, dobrze wytarte...

Wierz mi, nieźle na tym wyjdiesz. Wiem, wielkie słowo, powtarzaj śmiało. Mądry ci uwierzy, bo u niego wiedza nic dziwnego. Głupi nie zaprzeczy, bo sam nic nie wie. A nim okoliczności obnażą cię z cudzych piórek, już wtenczas stać będziesz tak wysoko, że od twojej nagości oczy tylko odwracać będą. Jedni ze wstydu, iż się na niej wcześniej nie poznali, drudzy, że z niej korzystać zechcą, a reszta, że się lękać będzie Akteona losu. Możnemu na psych pyskach nigdy nie braknie.

Ale prawda przed wszystkim, moi Państwo, a prawda nie szkodząca nikomu. Nie wszystko ja co do słowa myślałem w czólnie, co teraz przy stoliku. Przebaczcie mi te anachronizmy. Trudno przepiłować się na dwoje i dwie ze siebie zrobić połowy, jedną, jakim się było, a drugą, jakim się jest. Nie ma jednak wątpliwości co do treści rzeczy, że sztabowej służby nienawidziłem, że jej wówczas złorzeczyłem i że mi kaducznie zimno było. Po kiegoż diabła wlałeś Pan do niej?... Ach, mój Mości Księżę Proboszczu! Nie zawsze tam się włazi, gdzie się chce, ani też nie zawsze się nie włazi tam, gdzie się nie chce. Na wiosnę 1812 r. los wysunął mnie naprzód. Miałem lat ośmnaście. Zostałem kapitanem adiutantem majorem w 5-tym pułku strzelców konnych. Nie dość więc, że awansowałem, nie dość, że mnie zdolnym uznano pełnić obowiązki adiutanta pułkowego, co większej czynności i większej znajomości służby wymagało niż dowództwo kompanii, ale jeszcze do tego awansowałem z nowego do starego pułku. Tu potrzeba małego objaśnienia. Muszę nawet dotknąć trochę, bardzo niewiele i polityki, nie rezonując, broń Boże, albo powtarzając, co mądrzy ludzie napisali, aby oświecić przyczyny wówczasowego naszego położenia. Kiedy stanęło zawieszenie broni w Wiedniu 1809 r., Napoleon nie był zdecydowany, co robić z zawojowaną przez Wojska Polskie pod dowództwem Księcia Poniatowskiego częścią Galicji. Niewiele on dbał o nią, wołał był z Niemiec szarpnąć. Austria zaś wołałaby dać więcej z Galicji jak z Niemiec. Napoleon długo nie objawiał swojej woli ze względu na Rosję, która protestowała przeciw powiększeniu Księstwa Warszawskiego, widząc w nim zamaskowaną tylko do pewnego czasu Polskę.

Dlatego podczas wojny zawieszono Orły polskie, formowano Wojsko Polskie[*]; po zawieszeniu broni zdejmowaliśmy w zawojowanym, czyli raczej odebranym przez nas kraju Orły nasze, a zawieszali francuskie. Pozwólcie mi, moi Państwo, przerwać opowiadanie i wspomnieć małe, dość śmieszne zdarzenie, którego byłem świadkiem. Pułkownik Adam Potocki, na czele całego swego sztabu i pierwszej kompanii 11-go pułku (który wtenczas, jeżeli się nie mylę, miał numer 5-ty) wyruszył, skąd nie pamiętam, do Sokala, aby tam solennie zawiesić Orły francuskie. Zastaliśmy już przed urzędem owalną tarczę z wymalowanym na niej dziwotworem koloru żółtego, ceglatego. Te Orły francuskie były niemałym kłopotem dla parafialnych malarzy. W białym polskim Orle, aczkolwiek częstokroć objawiającym się na tarczy w postaci tucznej gęsi, nie można było jednak przy trochę dobrej woli nie odgadnąć orła. Ale co do francuskich, rzecz miała się inaczej - tylko podpis mógł oświecić, co to za dziwotwór, niby kogut, niby sowa. Ale mniejsza z tym. Kazano wierzyć, że to orzeł, i nikt z nas pewnie nie śmiałyby powątpiewać. Trzeba było, podług przyjętego zwyczaju, zacząć od nabożeństwa. Wchodzimy więc do kościoła (zsiadłszy pierwaj z koni, rozumie się), szeregi rozstępują się... w prawo, w lewo front!... I śliczny szpaler proporców rozciągnął się od drzwi aż do

wielkiego ołtarza. Pułkownik poprawia sobie okulary i epolety, uszczęśliwiony tą pierwszą paradą swojego pułku. Po długim oczekiwaniu odezwał się nareszcie dzwon przy drzwiach zakrystii i ksiądz wyszedł ze mszą, ale mija wielki ołtarz i do bocznej udaje się kaplicy. Zdziwienie, oburzenie całego sztabu i całej zbrojnej siły, a nawet i cywilnej władzy - ale z księdzem, i to jeszcze z księdzem w ornacie, trudna sprawa - zagrzmiało więc znowu kościelne sklepienie donośną komendą. Manewrujemy i na koniec jakie takie stosowne zajęliśmy stanowisko. Cóż za powód tego nieprzyzwoitego i zuchwałego wystąpienia proboszcza sokalskiego przeciw woli Napoleona Wielkiego i wojsku galicyjsko-francuskiemu? Oto ten, mały, ale ważny: proboszcz sokalski był kiedyś na probostwie w dobrach Adama Potockiego. Tam, wskutek różnych zatargów i kłótni, szwagier pana Adama, pan Jan Rostworowski, obraził go fizycznie, i to nawet podobno w pewnej liczbie paragrafów. Stąd wynikły proces zmusił był Rostworowskiego kraj opuścić, ale przeto nie odjął księdzu pamięci otrzymanej zniewagi. Teraz zemścił się, jak mógł - ale czy w takim usposobieniu duszy powinien był do ołtarza przystępować, to pytanie, na które nie ułanowi odpowiedzieć wypada. Koniec końców śmiał się długo pułk 11-ty z tego niespodziewanego spotkania. A teraz wracam do wojska galicyjsko-francuskiego w roku 1809.

Wojsko nowoformujące się wzięło kokardy trójkolorowe i nazwę wojska francusko - galicyjskiego, czyli (bo już nie pamiętam) galicyjsko-francuskiego. Zostawało wprowadzić pod dowództwem księcia Józefa, ale nominacje na oficerów do nowych pułków, które podczas wojny zaczęto wydawać, wstrzymano. Największa część nowych oficerów nosiła epoletę tylko na mocy podania pułkowników. Byli więc i nie byli oficerami. Dopiero po zawarciu pokoju, nie domyślając się ani będąc w stanie wierzyć, jak nas i nasze zasługi Wielki Napoleon mało cenił, zostaliśmy znowu wojskiem polskim, a część zajętej Galicji została dołączona do Księstwa Warszawskiego, wyjąwszy Obwodu Tarnopolskiego, który ofiarowano Rosji, jako *douceur*, mało od niej ceniony i z widocznym niezadowoleniem przyjęty. Po złączeniu zaś finalnym wojska polskiego pod jedne orły i jedno dowództwo armia dzieliła się *in petto* na stare i nowe pułki. Stare, które się uformowały od 1807 do 1809 i odbyły dopiero ukończoną kampanię, nowe zaś, które powstawały już po owej krótkiej, świetnej kampanii 1809 r., więcej w Galicji do triumfalnego marszu niż do wojny podobnej. Jeden zwyciężał dziesięciu. Kampanii przypominającej owe wyprawy z czasów Ludwika XIV, gdzie panowie w dworskich plumażach pędzili pocztą na żniwo chlubnych wawrzynów. Ta różnica w armii, którą wkrótce zniszczyło kilka wystrzałów armat rosyjskich, była wówczas wielkiej wagi. Dęli i zadzierali nosa oficerowie starych pułków, z wyjątkiem legionistów, weterany dwuletnie. Lekceważyli i nie szczydzili ucinków równym sobie w randze, a nie znającym jeszcze zapachu prochu.

Żyłem z oficerami z czasów kościuszkowskich. Zacząłem służyć w 1809 r. Byłem świadkiem powstania 1830 r. i muszę wyznać, że w tych trzech epokach, z małą różnicą, formacje wojska tą samą szły drogą i tym samym podlegały błędom. Zamiast żeby istniejące już pułki rozdymały się i w sobie nowy żywioł umieszczały, o ile tego możność dozwalała, nowe pułki zawiązywały się oddzielnie, ledwie po kilku oficerów dawniejszych przyjmując w swoje szeregi. Nieledwie każdy powiat w pierwszym uniesieniu podejmował się wystawić pułk, a czasem i dwa - jak to w Żółkwi - jeden konny, drugi pieszy. Nie chciano wierzyć wielkości podobnego przedsięwzięcia, nikto też niczym nie zapewnione w samym zawiązku. Byli tacy, których znaczny majątek czynił deklarację z ich strony wystawienia pułku do prawdy podobną. Ale dając im epolety pułkownikowskie nie żądano od nich złożenia, a przynajmniej zapewnienia potrzebnych funduszków. Dlatego niejeden z nas pytał się potem, dlaczego ten lub ów bez żadnej zasługi, często bez żadnej zdatności, otrzymał od razu tak wysoką rangę. Pytał się i nie mógł innej wydobyć odpowiedzi: bo miał bezczelność jej żądać. Stąd to

mnożyły się owe fragmenta pułków, a każdy z kompletem oficerów, stąd mały przybytek na linii bojowej, stąd czas stracony na krawieckich manipulacjach, wydatek pieniędzy na niepotrzebne ozdoby i nareszcie brak jedności... Ale potem o tym... a zwłaszcza i szczególnie o roku 1809, o tym ostatnim połysku gasnącej narodowości w Galicji. A teraz wracani do mego awansu. Zazdroszczono mi go, a jednak to mniemane szczęście stało się dla mnie źródłem niezliczonych przykrości, zahamowało mnie, a potem strąciło z murowanej, prostej drogi, którą sobie zamierzyłem i którą tak raźnie zrazu posunąłem się naprzód. W ówczesnej francuskiej organizacji wojska major (Gros Major) był niby drugim pułkownikiem, naczelnikiem administracji pułkowej, ale pułkownicy niechętnie dopuszczali tego podziału swojej władzy. Stąd wieczna wojna. Dążność do samowładztwa - z jednej, opozycja z drugiej strony. Kiedy zakłady dwunastu pułków jazdy pod dowództwem majorów stały w Poznaniu, nazwano ten czas panowaniem Dwunastu Majorów. Teraz, kiedy powiem, że mój brat Maksymilian był majorem w pułku, w którym zostałem adiutantem majorem, więc poniekąd i adiutantem pułkownika, łatwo można pojąć, że byłem palcem między drzwiami. Brat mój był najlepszym, najuprzejmiejszym towarzyszem, zawsze starającym się komuś pomóc, usłużyć, ale z pułkownikiem Kurnatowskim trudno było żyć w zgodzie. Człowiek godny, żołnierz dobry, ale despota z podwładnymi, a niechętny przełożonym. Ciężka praca zachwiała niedościgłe jeszcze moje siły młodzieńcze. Przykrości, zmartwienia, sącząc się kropla po kropli, zaćmiły nareszcie ów świeży połysk duszy, w którym świat odbija się tak pięknie, a tak nietrwale. W każdym pułku jazdy było dwóch adiutantów majorów, jeden niby do pióra, a drugi do korda; do tego dwóch albo czasem trzech adiutantów podoficerów. Ja byłem sam jeden. Zaraz na początku kampanii mój kolega, kapitan Mieroszewski, był wzięty w niewolę. Adiutanta podoficera miałem tylko jednego, i to pół Niemca. Służba zaś adiutanta majora jest tak rozciągnięta i tak różnobarwna, że trzeba się dziwić, jeżeli kto jej wydołał przez kilka miesięcy wojny. Adiutant major komenderuje; całą służbą wewnętrznego porządku i zewnętrznego bezpieczeństwa obozu, stawia placówki, wyprawia patrole, dowodzi często flankierami, rozdziela furaz i żywność, a - co najniebezpieczniejsze - pisze codzienny apel, czyli stan pułku, raporty piętnastodniowe i miesięczne, na koniec wszelkie ekspedycje. Prawdę mówiąc, niedoświadczenie podwajało mi każdą pracę, nade wszystko piśmienną. Całą noc przed dniem bitwy pod Możajskiem (którą Francuzi zowią de la Moscowa, a Rosjanie - pod Borodino) staliśmy w przedniej straży, cugle w rękę - równo za dniem wstąpiliśmy do boju - słońce zachodziło, kiedy cisnąc się krzakami uderzyliśmy na lewe skrzydło nieprzyjaciela - a ciemno już było, kiedy wróciwszy na plac bitwy, zsiadliśmy z koni. Zaświeciły się ognie pomiędzy ciepłymi jeszcze trupami. Spoczął każdy, ja tylko przy świeczce trzymanej pod płaszczem kreśliłem moje raporta. Wtenczas ślubowałem na odległą przyszłość, że wystąpiwszy ze służby przybiję na drzwiach raport i od czasu do czasu strzelać będę do niego, i że pióra nigdy w rękę nie wezmę. Nie dotrzymałem i Bóg widzi, że na tym dobrze nie wyszedł. Uszedłszy z niewoli przybyłem do Drezna. Nie chciałem wrócić do pułku, gdzie mnie czekało adiutantostwo, pomimo że zastałem krzyż wojskowy Virtuti Militari dany mi przez Komisję na wniosek pułkownika i pomimo że mój brat już był awansował i wziął dowództwo 9 pułku Lansjerów francuskich. Starąłem się w innym jakim pułku umieścić, choćby jako nadliczbowy, ale Wojsko Polskie, znacznie zmniejszone, miało o wiele więcej oficerów niż potrzeba wymagała. Zgromadzono więc oficerów zbywających w jeden oddział pod komendą generała *** i generała Niesiołowskiego. Nie wiem, dlaczego ten oddział ochrzczono nazwą Garde d'honneur. Staliśmy, mówiąc nawiasem, w miasteczku w okolicy Görlitz, którego mieszkańców nazywano Gelbfüssler, z powodu, jak niesie ludowe podanie, że niegdyś, dawnymi czasy, gmina owego miasteczka uradziła dać cesarzowi podarunek. Dać, dobrze, ale co? Wielki kłopot! Rada w radę zgodzono się na beczkę jaj. Jak przyszło do pakowania, gorliwi cesarscy stronnicy, chcąc się

okazać szczodrymi, nogami tłoczyli jaja w beczkę, przy czym oczywiście poźłócili sobie nogi. Dlatego nazwano ich żółtonogami (Gelbfüsslerami). Nie mniej ciekawą jest tradycja z tychże okolic dotycząca się wojska saskiego. W roku 1806 jednego dnia na jednym polu padło sześć tysięcy... nie Sasów, ale sześć tysięcy saskich harcapów - niby zadatek przymierza z Francuzami. Był to dzień sądny, jak mówi tradycja. Kampania 1813 i 1814 r. nie wyczerpała tego zasobu polskich oficerów. Znaczna ich liczba udała się potem do Sedan, tam pozostała do końca wojny i dopiero po abdykacji cesarza Napoleona złączyła się ze szczupłym czynnym polskim wojskiem w St. Denis. Wcielony 14 sierpnia w Zittau do tej szczególnej gwardii, podróżującej po największej części wozami, bo oficerów piechoty było najwięcej, dostałem 20-go rozkaz udania się do sztabu Księcia de Neufchatel, a 22-go w Löwenberg wszedłem w czynną służbę d'Officier Adjoint a l'Etat Major de la Grande Armée. Francuz mówi: Le mieux est souvent l'ennemi du bien. Doświadczyłem tego, niestety. Unikając adiutantostwa pułkowego, wpadłem do Sztabu Głównego, jak z deszczu pod rynnę. Otóż to, moi Państwo, przyczyny, dla których po bitwie pod Montereau, zamiast dowództwa szwadronu, co byłbym osiągnął niezawodnie, leżałem jak długi w czólnie, lubo nigdy najmniejszej ani chęci, ani zdatności do marynarki nie miałem.

Płynęliśmy z nurtem Sekwany, którą zwaliśmy zwykle po francusku Seine, co w błąd wprowadzało niejednego z naszych wiarusów od Przemyśla, że to ten sam San, co niegdyś z Nielipkowic nosił polską pszenicę do polskiego Gdańska. Służący pana K., który źle służył, ale pisał dziennik podróży, przyjechawszy do Paryża wciągnął w swoją księgę: "Paryż duże miasto, środkiem płynie San". Pan K. przeczytawszy to, napisał na marginesie: "Seine, durniu, nie San". Przepraszam za wyraz, ale historyczny - styl zaś zwiastował już grzeczność teraźniejszych recenzentów. Płynęliśmy więc nie Sanem, ale Sekwaną. Przebiegłem myślą, co tylko można było za sobą i przed sobą. Nucilem (w myśli rozumie się) ulubione wówczas piosnki, jako to krakowiak, który wtedy robił furorę w 11-ym pułku i który pozwolę sobie powtórzyć:

Jeden mówił z drugim, a jam podsłuchała:

Żeniłbym się z kozą, gdyby posag miała.

- A ja podsłuchałem, żeś rzekła do swaty:

Poszłabym za capa, byle był bogaty.

Równie jak ten drugi, zawistny miłostek i sławy żołnierskiej:

Płynie łódka, płynie, po głębokiej strudze,

Ożenię się z tobą, jak z wojny powrócę.

- Nie będę ja czekać, bo kto z wojny wraca,

- Nie zawżdy wszystkiego w sobie się domaca.

Wszystkie te wspomnienia niewiele pomagały, zacząłem słabnąć widocznie w walce z snem, co mnie oskrzydlał coraz, coraz ciaśniej. Daremnie głowę podnosiłem, oczy otwierałem, głowa spadała, oczy się zamykały. Gwiazdy to mi gasły, to mi błyskały, a zawsze dalej, coraz dalej, coraz ciemniej. Wtem lekkie wstrząśnienie mojej nogi i przeciągnięte: Pst!... wraca mnie w świat, z któregom się był już na pół wysliznął. Podnoszę głowę. Mój przewodnik wyciągnął rękę na lewo, trochę przed siebie, ale milczał jak kamień. Pojął on, w ciemność nie bity, że milczenie nam jak kamedułow do zbawienia było koniecznie potrzebne. Nie mógł zapomnieć i o swoim brzuchu: ten niewiele miejsca zajmował, aby mógł być zupełnie bezpieczny w razie, gdyby jaki szelest ściągnął strzały w naszą stronę. Prawda, że w nocy trudno trafić, ale diabeł nie śpi i chybnej kuli można w drogę wjechać. Spojrzałem w stronę wskazaną i postrzegłem w znacznym jeszcze oddaleniu ognie biwaków. Co chwila zmieniało się ich położenie względem nas. To nam się zdawało, że są na lewym, to, że na prawym brzegu, to, że prosto w sam ich środek płyniemy, to znowu, że nas nie powinny niepokoić, bo

to jakiś obóz daleki od naszych brzegów... że nawet już niby za nami. Potem czas jakiś - wszystko znikło, ciemno - aż nareszcie skręcając nagle ujrzeliśmy rzekę niby słup przed sobą. Lewy brzeg oświetlony, a prawy czarny leżał przed nami, jak dzień i noc, jak życie i śmierć. Niektóre ognie nie były daleko od wody, bo ich odbłask padał na rzekę jak poprzeczne szczelby, co się kurczyły albo przeciągały, w miarę jak się płomień wznosił albo opadał. Zbliżyliśmy się jeszcze więcej do prawego brzegu. Wiosła spoczęły. Prąd nas posuwał. Słyszałem oddech grubuła. Nie było wprawdzie podobieństwa, aby nas zasłyszano - tym więcej, że ognie jeszcze świeże, cienie przesuwające się poprzecznymi, pluśnięcia wody, nareszcie i szmer dochodzący na nasze spotkanie, wszystko kazało wnosić, że obóz był w pierwszych chwilach roztasowania, a wtenczas każdy jak w młynie własnego głosu nie słyszy. Zbliżyliśmy się - zrównali - w obozie coraz głośniejszy - w czółnie coraz ciszej. Że zaś obóz stał, a my płynęli, musieliśmy najnaturalniejszym sposobem minąć go na koniec. Niknęły za nami powoli światełka, jak owe iskry ze spalonego papieru, na które mówiono mi w dzieciństwie, że to zakonnice spać idą. Kręcą się... biegną... jedna po drugiej gasną... wszystkie zgasły... śpią wszystkie. Ileż to drogich iskierek już nam nie zgasło!... sercu tylko świecą, świecić nie przestaną.

Noc znowu czarna zaległa świat nad nami i przed nami. Cośmy widzieli, snem się zdało. Mój urzędnik pytła zaczął głośniejszą sapać, przemówił nawet parę razy, ale jeszcze szepcząc, zapewne przez uszanowanie dla niedawnej przeszłości. Podobny w tym do dworaka, co za zamkniętymi już drzwiami jeszcze się kłania albo co uśmiech fałszywy aż do domu przynosi. - Jestżeś Waćpan pewny - zapytałem go stawiając nogę na lądzie - żeśmy Moret nie minęli? - Ah, par exemple! - odrzekł. - No, kiedy: par exemple, idźmy dalej. - Szliśmy obydwaj, on naprzód, a ja za nim, nie bardzo spieszenie, bo ślisko i ciemno. Nareszcie światło z okna i chrapliwe: - "Qui vive?" - uderzyło nas razem w oczy i uszy.

Dla oficera sztabowego, pędzonego ciągle jakby złym duchem po drogach, ścieżkach, manowcach, dniem i nocą, zapytanie: "Qui vive?" - jest zanadto wielkiej wagi, aby mógł nie znać wszystkich tegoż odcieni. Pędząc z nocnym wichrem jak Der wilde Jäger, częstokroć przez nie wychłódkę jeszcze pola bitwy, woła: "Qui vive?" - do konia, co się o trzech nogach dowłóknął do drogi, woła do drzewa, co się opodał czerni, woła czasem do niczego. Ciekawość nieustanna, ale do przebaczenia - i lis po kniei goniony pytałby się: "Qui vive?" niezawodnie, gdyby mógł przemówić. Jeżeli nawet wjedzie (oficer rozumie się) na nieprzyjacielską placówkę, jego "Qui vive!" staje mu się chwilową tarczą. Alarmuje nim drugich, kiedy sam tymczasem cofa się podług metody zwanej: "W nogi!" Dlatego "Qui vive" zawsze ma na języku, dlatego i sposób, w jakim je usłyszy, odkrywa mu wyraźnie, z kim ma do czynienia. I tak: "Qui vive!" głośnie, przeciągłe, jakby echa wyzywające, oznacza dobrego żołnierza - zdaje się mówić: "Stój, bo ci w łeb strzelę". Wrzaskliwe, ale prędko, krótko wyrzucone zdradza rekruta - mówi: "Odpowiadaj czym prędzej, bo mnie tu samemu długo stać niemiło" - albo też: "Uciekaj! bo ja ucieknę!" Chrapliwe nareszcie, a grubym głosem wyrzeczone, znamionuje indywiduum, które niespodziewanymi okolicznościami zostało pchnięte w zawód rycerski, podobne jest do śpiewu dziecka, kiedy musi przez ciemny pokój przechodzić. Na "Qui vive!" pierwszej kategorii, nim odpowiesz, możesz zażyć tabaki. Na drugiej zaś i trzeciej odpowiadaj jak najspieszniej, bo gdzie dusza na ramieniu, tam palec na cynglu. Krzyknąłem też: "France!" - aż się wzdrygnął, aż się straż cofnęła. Otwieram drzwi, wchodzę do małej, słabo oświetlonej izdebki i obraz nieraz dawniej na płótnie widziany, przedstawiający jaką scenę z rewolucji francuskiej, stanął mi żywy przed oczy. Kilkunastu chłopów w bluzach, sabotach, ładownicę przez plecy, karabiny w rękach składało malownicze grupy. Gdzieniegdzie i kapelusz stosowany odznaczał się powagą wieku i ogromną trójkolorową kokardą. Nie dostawało tam tylko

wyrazu w uśmiech: Citoyen i napisu na drzwiach: Ici on se tutoye. - Fermez, s'il Vous plait. Pikieta czerwieniła się w szklankach i na nosach, a język jak w pantoflach skłonniejszym zdawał się wymówić: Vive la République! jak: Vive l'Empereur! Omyłka wszakże, którą w onym czasie można było drogo przepłacić. Może i nieszczęsny Gonaut omylił się krzycząc w Troyes: Vive le Roi! a jednak rozstrzelano go na piękne. To było za ostro, wyznać trzeba, bo już cię każdemu wolno życzyć zdrowia, komu się podoba, kichnie czy nie kichnie. Jeżeli za słowo zabijać będziemy, jakaż kara za czyn pozostanie? Ten, co zabił, i ten, co o tym wiedział, nie są przecie równo karani... dlaczegoż?... Ja tego zrozumieć nie mogę... bo to podobno polityka.

Po krótkiej rozmowie ze siłą zbrojną, pożegnałem mego przewodnika i eskortowany przez kilku podpitych obywateli, przeszedłem wkrótce warownie i obudziłem generała komenderującego w Moret. Jeszcze komunikacja między Moret a Fontainebleau nie była pewną, dlatego generał uznał potrzebę dać mi pół kompanii piechoty, a na moje zapewnienie, że nigdy w piechocie nie służyłem i że pieszo podróżować ani umiem, ani chcę, konia spod żandarma. Cofnąłem się dwa kroki w tył zobaczywszy przed frontem mojego oddziału dromadera raczej niż konia przeznaczonego dla mnie, którego żandarm, na drugim podobnym siedzący, płaszczem granatowym wyżej nosa obwinięty, trzymał za cugle. - Quelle diable de rosse me donnez-vous la? - zawołałem rozgniewany. - C'est ce qu'il y a de mieux, mon Officier - odpowiedział żandarm. Stałem nie wiedząc, co począć. Ale prędko trzeba działać, gdzie nie ma czasu do namysłu. Westchnąwszy zatem głęboko i wypuściwszy parę słów, które tylko życie obozowe uniewinnić może, rzuciłem się na kulbakę. Obadwa niekontenci z naszego wzajemnego stosunku, nie spieszyliśmy się rozpocząć ruchu nic nam dobrego nie wróżącego i kiedy oficer dowodzący oddziałem piechoty spytał mi się, czy można ruszać, kiwnąłem tylko głową z wysokości mojej, jak komandor, kiedy przyjmuje zaproszenie Don Juana. Mój towarzysz podrzędny przyjął pierwszą odezwę mojej ostrogi z wszelką obojętnością. Ale ledwie kilka kroków uszedł, już pot na mnie uderzył. Zdrajca! podkowy miał scheltane albo może od urodzenia bez ocylów...

Dziwna rzecz, że tak wiele myślą o sposobach niszczenia sił nieprzyjacielskich, a tak mało o zachowaniu swoich własnych; nie mówię w boju, ale w wojnie, i szczególnie co do kawalerii. Dla pułkownika jazdy wszystko jedno stracić człowieka czy konia - strata tak jednego, jak drugiego uszczupla szeregi. Człowiek z koniem, niby centaur, jest dopiero jednostką w kawalerii. Konie, moim zdaniem, nie dosyć doznają starania i opieki. Więcej koni ginie w czasie wojny z powodu okulbaczenia i okucia niż od kuli. Jak są rezerwy i lazarety dla ludzi, tak powinny być i dla koni. Koń uszkodzony jakim bądź sposobem z powodu okucia, mógłby ozdrowieć w kilku, a odsedniony w kilkunastu dniach. Zaniedbany zaś, nie usunięty z pracy, musi wkrótce stać się nieużytecznym i później marnie zginąć. Po kilku miesiącach kampanii zgroza zajrzeć pod kulbaki. Smród z jątrzących się pod nieustającym naciskiem ran ciągnie się wzdłuż maszerującej kolumny. Trzeba się tylko dziwić, jak zwierzę może znosić, i to czas długi, takie męczarnie. Ale wszystko ma swoje granice - koń cierpi, chudnie, słabnie i koniec końców ginie. Dostarczają amunicji, dlaczegoż nie dostarczają od czasu do czasu derek i kulbak na miejsce zużytych i popsutych? Trafia się niedbały żołnierz i nie wie, że terlica pękła, a przeto konia naciska. Terlice powinny być ze stosownego i suchego materiału, równie jak i umiejętnie zrobione. Przy nowych formacjach, gdzie dawnych terlic magazyny dostarczyć nie mogą, lepsze są siodła. Oficerowie mało zwracają uwagi na okulbaczenie. W wojsku polskim w 1812 r. było niedobre. Nie mniej ważną jest rzeczą okucie. Im więcej koń strudzony, tym lepszemu wymaga okucia. Im słabszy, tym łatwiej się ślizga, tym ciężiej upada. Widziałem konie Grenadierów Konnych Gwardii Cesarskiej, karmione lepiej i więcej szanowane niż konie jazdy liniowej, które padłszy, jakby piorunem uderzone, już więcej nie wstały. Podkowy z hufnalami powinny by mieć swój osobny wóz, zawsze być pod ręką. Prócz tego każdy żołnierz jedną podkową

w torbie trzeba, aby zawsze miał. Każdy powinien umieć przymocować podkowę. W czasie pokoju byłoby bardzo łatwo pomnożyć liczbę, nie mówię dobrych kowali, ale umiejących w potrzebie róg wybrać i podkowę przybić. Doświadczaliśmy, jaki był zawsze ścisk przed miejscowymi, równie jak i wojskowymi kuźniami. Złotem trzeba było czasem opłacić podkowę, która naprędce sklejona, naprędce przybita długo trwać nie mogła, a zwłaszcza wtenczas, kiedy była najpotrzebniejsza, bo na kamienistej albo grudzistej drodze. Parę dni przed bitwą pod Hanau jestem posłany do generała Bertrand. Dojeżdżam do ariergardy, do ostatnich jej tyralierów, nikt o nim nic nie wie. Znaleźć go nie mogę. Nareszcie po całodziennej gonitwie za lada białym dymem wracam na kulawej klaczy; podkowę zgubiła. Nie dość, okuć nie mogę aż w Frankfurcie. Róg obłamany kowal zagwaźdza. W kilka tygodni później, wychodząc z Moguncji, musiałem tę klacz, ową szpakowatą chimeryczkę, ale zresztą bardzo dobrą, zostawić w opiece oficera Polaka będącego przy sztabie marszałka Kellermana. Tyle też widziałem moją klacz i mego kolegę.

Wszystkie te uwagi na moim, żandarmskim dromaderze niewiele mi pomagały. Jak na łyżwach wsuwałem się coraz głębiej w rozciągly bór między Moret a Fontainebleau. Wiatr grał po żebrach, a zęby dzwoniły. Ani pomyślałem, gdzie byłem. Szum drzew nie przynosił fantazji mojej ani lubieżnych westchnień dworzanek królów francuskich, ani odgłosu myśliwskiego rogu, ani radosnego Halali, którymi niegdyś żyły te sławne lasy, miejsca ulubione królewskich łowów. Kłąłem tylko i nie ma się czemu dziwić. Wojna czyni prozaicznym. Przeszłość jest to pole, po którym żołnierz nie lubi harcować, i przyszłość - prawdę mówiąc - niechętnie zmierza: kurtyna za blisko, jutro nie jego - trzeba się czasem i z diabłem podzielić. Czas więc obecny żywiołem żołnierza - jak ryba, co się w ziemię nie spuszcza ani wznosi w powietrze, ale płąsa po wodzie, w nim on się zwija i w nim żyje. Co mam, trzymam, czego nie mam, biorę - co było, to było - co będzie, to będzie... A ty ruszaj, szkapo, bo mi zimno kaducznie, bo już noc na schyłku, bo już widzę i cel mojej podróży. Generał komenderujący już nie spał - może wyszedł ze szkoły mojego niegdyś pułkownika Kurnatowskiego, który mi mawiał: Ech! adiutant-major nigdy spać nie powinien. - Przyjął mnie uprzejmie, poczęstował winem i prędko wyprawił. Potem obudziłem burmistrza. Zerwał się od żony szczękiem pałasza przestraszony, a mnie niegodne uczucie głasnęło po sercu, że mogłem kogo z wygodnego wyciągnąć łóżka. Wyszedł do kancelarii, otworzył ekspedycję, którą mu wręczyłem, włożył okulary i cicho, a potem głośno przeczytał: L'Ennemi a été culbuté... douze canons... cinq mille prisonniers... etc. etc... O, czcigodny burmistrzu! Jak pięknym byłeś w tej chwili! Pamiętam twój nos, pamiętam kwiaty twego szlafroka. Widzę cię, kiedy sparty jedną ręką na urzędowym stole, spuściłeś drugą z listem aż do kolana i wzniosłwym szy oczy ponad okulary zapłakałeś z radości. Aktuariusz także zaczął mrugać, a czy tam czego nie wyciśnie - a ja, rozparty w wolterowskim krześle, twardo zasnąłem.

Już to zapewne domyśliliście się, łaskawi moi słuchacze, z niejednego miejsca mego opowiadania, że spać lubiłem. Tak jest, nie zaprzeczam, lubiłem. Głód i pragnienie były dla mnie mniej przykre jak bezsenność. Proszę jednak nie wnosić z tego, że byłem ospały - wcale nie. Ja byłem w tym względzie podobny do pijaka, co lubi pić dużo, ale się nie zapija. Dwa razy tylko przekroczyłem granice i ciężko skarany zostałem. Pierwszy raz, kiedy straciłem mój płaszcz biały, o którym już wspominałem i którego utrata ściągnęła na mnie najdotkliwsze cierpienia, cierpienia zimna. Drugi raz (który właściwie powinien bym nazwać pierwszym, bo ma chronologiczne pierwszeństwo), kiedy w samych początkach mojej służby wojskowej jechałem kurierem z Krystynopola do głównej kwatery Księcia Poniatowskiego. O płaszczu muszę zacząć z samego początku, podobnie jak się zaczyna śpiew o Krzywoustym: Jeszcze Bolesław był małym dziecięciem... Ale nie Bolesław ani też płaszcz, ale ja byłem jeszcze dziecięciem, kiedy do mojej

ciotki Ruckiej, mieszkającej w Mały, przyjechał pan Bogusz, gwardzista galicyjski, będący na urlopie w sąsiedztwie. Przyjechał konno w stosowanym kapeluszu z kitką i w kolistym płaszczu. Od tego czasu kapelusz z kitką i płaszcz kolisty uczepliły się mojej głowie i stały się celem gorących życzeń. Po wszystkich kopertach i na każdym świstku rysowałem siebie jako wojskowego, ale czy to atakującego, czy triumfującego - zawsze z kitką, zawsze w płaszczu. Z dzieciństwa więc uniosłem miłość do kolistego płaszcza i zachowałem ją po części i w późniejszym wieku. Zbliżyłem się wprawdzie do ideału mego, wstępując do 5-go pułku Strzelców konnych, ale przecie nie osiągnąłem. Przyniosłem ze sobą z pułku ułanów płaszcz granatowy z długim kołnierzem, który przemienić na biały kolisty stan finansów nie dozwolił. Dopiero wróciwszy z niewoli sprawiłem sobie we Lwowie płaszcz biały, kolisty, z zielonym stojącym kołnierzem i pomarańczową podszewką z przodu. Został on dla mnie zupełnie niestosownym, kiedy przeszedłem do sztabu, ale nie miałem serca rozstać się z nim, tak był ciepły, tak wygodny. A teraz katastrofa. W odwrocie wojsk francuskich po bitwie pod Lipskiem przybywamy do Gotha. Jestem na służbie, zdejmuję płaszcz, składam w salonie służbowym i idę zobaczyć, co się dzieje z moimi końmi, gdzie umieszczone i czy mają wygodę. Wracając spotykam kapitana Jankowskiego ze szwadronu służbowego Chevauxlegerów gwardii, komenderowanego przez mego brata Seweryna.

Jankowski był wówczas (lubo to nic nie ma do rzeczy, ale o Jankowskim przemilczeć nie mogę) jednym z najdzielniejszych subalternów pułku. Przy końcu ostatniej kampanii 1814 r. został szefem szwadronu razem z Zielonką w uformowanym polskim pułku pod nazwiskiem Eclaireurs de la Vieille Garde. Po abdykacji cesarza Napoleona i kiedy szczątki wojska polskiego pod opieką cesarza Aleksandra odeszły z Francji, Jankowski pozostał w Paryżu, aby wszystkich Polaków rozrzuconych po pułkach i lazaretach francuskich zebrać i do kraju odprowadzić. Powrót Napoleona z Elby przerwał to zlecenie i jak nie miał przerwać, kiedy i Kongres Wiedeński placu nie dotrzymał. Polacy ubóstwiali Napoleona. Żaden nie pomyślał nawet, aby można nie wstąpić w nowozbierające się hufce pod odrodzonym cesarskim orłem, orłem, do którego zawsze mieli tyle pociągu, ile wstępu do moskiewskiej opieki. Jankowski jeden wymawiał się słowem danym cesarzowi Aleksandrowi i sam żądał paszportu do Polski. Nie odmówił mu go Napoleon, ale mniemał, że może zaufać oficerowi swojej gwardii i Polakowi - powierzył mu więc list do Marii Ludwiki. Jankowski przyjął list i oddał... cesarzowi Aleksandrowi. Czy to prawda, ręczyć nie mogę, ale takie było wówczas ogólne mniemanie. Założył sobie tym czynem silny szczebel do przyszłych awansów. Dostał wkrótce pułk jazdy, ale stracił w szacunku współkolegów. Wojna powstania narodowego 1831 r. zastała go generałem brygady. Osłabiony jego stan zdrowia, a może niezdolność do znacznieszego dowództwa spowodowały błędy, które zniweczyły wyprawę przeciw Rydygerowi, a które, niesłusznie za zdradę poczytane, stały się przyczyną okropnej jego śmierci z rąk rozuzdanego motłochu 15 sierpnia w Warszawie.

Nim więc Napoleon abdykował, nim monarchowie dernęli z Kongresu, nim Jankowski umęczony skonał, spotkałem go w Gotha na ulicy i taka rozmowa wszczęła się między nami: - Jak się masz? - Jak się masz. - Dziwne też to polskie powitanie, złożone z dwóch pytań, a żadnej odpowiedzi. Jest ono podobne do rozmowy na królewskich pokojach. Najjaśniejszy Pan robi parę kroć sto tysięcy zapytań nie dbając i o jedną odpowiedź. A jednak lud polski tak piękne ma wyrażenie przy powitaniu: Daj Wam Boże dobry dzień; albo: Bóg z Wami. I czyż może być piękniejsze, czyliż nie zawiera w sobie wszystkiego, czego życzyć można? Ale my wolimy formę bez duszy - poczwarkę z motyla albo cudzoziemskie Bonjour. Po przywitaniu się z Jankowskim mówiliśmy dalej. - Gdzie idziesz, zapytał. - Na służbę - odrzekłem - a ty? - Ja do obozu, ale twój brat - mówił - lepszej niż my użyje wygody - rozciągnął się jak położnica pod zieloną kotarą na szerokim łożu. - Westchnąłem

głęboko na ten obraz, a on, jakby zły duch kusiciel wstąpił w niego, wskazał mi bliski dom i dodał: - Jest tam i drugie łóżko, jakby dla ciebie.- - Pójdę przynajmniej popatrzeć się - rzekłem. - Bądź zdrow. - W istocie poszedłem, pomacałem posłanie, tak jak głodny, kiedy pieczeń wacha, i nie mogąc oprzeć się pokusie, biegnę czym prędzej do salonu, melduję adiutantowi komenderującemu, że mi koń uciekł, że go szukać muszę, i idę, lecz nie szukać, bo znalazłem, i nie konia, ale łóżko takie, jakiego od kilku tygodni nawet widzieć mi się nie zdarzyło. Zanurzyłem się wkrótce w puchu, nos mi tylko spłynął. Śpij zdrow, panie kapitanie, a my tymczasem powiemy, jaką była pod ten czas ogólna postać rzeczy.

Zgon księcia Poniatowskiego pod Lipskiem osierocił wojsko polskie w całym znaczeniu tego słowa. Zarzucają Polakom, że są niesforni, że trudno nimi rządzić. Mnie się zdaje, że bardzo łatwo, byle rządzić z konia i z szablą w ręku. Więcej natchnienia niż rozważli zwykliśmy służyć. Zgromadzamy w jedną osobę wszystkie nasze wymagania, całe nadzieje nasze, w niej zamykamy całą sprawę - czynimy ją poniekąd fatum naszym. Nim był Kościuszko, Poniatowski i charakteru tylko Chłopickiemu, a talentu Skrzyneckiemu niedostawało, aby się utrzymać na szczycie, na który ich barkami narodu parło przeznaczenie. Dlatego to każdy upadek podobnej gwiazdy roztapia do razu łączący nas cement, ogół rozkłada się w cząstki, rozumowania wyradzają się w zatargi i trwają, póki jaka nowa iskra nowego entuzjazmu nie zapali i na nowo nie zacznie lutować. Nie mamy w sobie wielkiej wzajemnie przyciągającej się siły - przeciwnie, antylączne usposobienie jest główną naszą wadą. Każdy chce robić swoją głowę - pracuje często w krwawym pocie czoła, ale póki sam. Zaledwie jaka zawiąże się asocjacja, już wiedznie w zawiązku. Jeden spuszcza się na drugiego, a co więcej, jego zapal stygnie w miarę wzmagającej się gorliwości drugiego. Dlatego gwałtowny tylko wir może łączyć rozstrzelone siły. Ale natenczas neutralizuje się indywidualna działalność, energia. Duch władzy ubóstwionej porywa nas, ale nas nie przenika wskroś, stoi poniekąd zawsze osobno. Raz w prądzie, niech nas prąd niesie, my ręce zakładamy. Nie przegrana pod Maciejowicami, ale wzięcie Kościuszki, pomimo że on nie miał znakomitych zdolności wodza, zadało śmiertelny cios ówczesnej sprawie. Książę Józef byłby na koniec świata szedł za Napoleonem, a wojsko polskie za nim. Zginął, a z nim i duch jego. Każdy wrócił do siebie samego i nie mógł się zrozumieć. W ostatniej walce niepodległości narodowej zamknęliśmy cały byt Ojczyzny w Warszawie. Warszawa upadła, a wojsko niezwyciężone rozchodzić się zaczęło. Bo nie z własnego przekonania przedziemy istotę rzeczy, ducha sprawy - ale przyjmujemy go za pomocą chwilowego uniesienia, za pomocą jednej indywidualności albo przedmiotu, którym to uniesienie zaufać kazało.

Książę Antoni Sułkowski objął tymczasowo dowództwo wojska polskiego. Nie posiadał on ani ufności, ani przywiązania podkomendnych. Nie miał przymiotów ani na wodza, ani na Naczelnika Narodu. Te dwie władze zlewały się już bowiem po trosze w jedne. Na ostrzu szabli unosili już wtenczas Polacy po raz drugi byt swojej Ojczyzny. W roku 1806 został Sułkowski pułkownikiem 9-go pułku piechoty, czyli raczej dozwolono mu go formować, bo się nazywał Sułkowski, tak jak adiutant Napoleona, poległy w Egipcie. Pod Ocaud w Hiszpanii, kiedy przełamane linie francuskie ustępowały w nieładzie, młody Sułkowski chwycił sztandar 4-go pułku polskiej piechoty, zawołał: "Kto Polak, za mną!" I tak dzielnie natarł na czele zgromadzonego oddziału, że odzyskał stracone stanowisko i w bitwie tego dnia wyjednał zwycięstwo. Opromieniony sławą tego świetnego czynu, dostał w 1812 r. dowództwo brygady jazdy, złożonej z 5-go pułku Strzelców konnych Kurnatowskiego i 13-go Huzarów Tolińskiego. Ta brygada z drugą pod komendą generała Tyszkiewicza złożoną z 4- go Strzelców konnych Dulfusa i 12-go Ułanów Ryszczewskiego składały dywizję jazdy 5-go korpusu. Komenderował nią z początku generał Kamiński, później generał Sebastiani, a na koniec generał Lefebvre-Desnouettes.

Sułkowski, jakkolwiek uprzejmy, pełen honoru, odznaczającej się odwagi, nie umiał pozyskać ufności podwładnych jako dowódca brygady. Oficer piechoty zapominał często, że jazdą dowodzi. Nieraz płaciliśmy krwawo infanteryjskie jego obroty. Kiedy zaś, już generałem dywizji, otrzymał tymczasowo dowództwo szczątków ósmego korpusu z ubliżeniem starszeństwa wielu generałów, nie pojął, jak świetną drogę szczęście mu otwierało. Cement w szeregach topił się coraz to bardziej. Wojsko sejmikować zaczęło... Gdzie idziemy? Po co? król saski jest naszym księciem, któż nas upoważnił iść z Francuzami, z Francuzami, którzy wtenczas jeszcze, kiedy mogli, okazali się tak skąpymi nawet w udzielaniu nadziei Polsce?... Czy znowu będziemy formować legiony, aby potem od ręki do ręki jak najemnicy przechodzić? Czy znowu w St. Domingo szukać będziemy Ojczyzny naszej? Zawsze opuszczani przez Francuzów, zawsze jednak ciśniemy się do nich. Księstwo nasze istnieć przestanie samo przez się, jeżeli jego wojsko pod obcym niebem, za obcą sprawę wyginie do szczętu. Takie były zdania, rezonowania, a wielu nie czekając, na co się ogół zgodzi, zostawało po drodze... dali się brać w niewolę.

Najboleśniej razem dla dobrze myślących, a najgorszym przykładem dla chwiejących się było rozejście się (by właściwiej nie powiedzieć) batalionu piechoty, który w Dreźnie z wojska polskiego wybrany, został wcielony do Starej Gwardii. Komenderował nim pułkownik Kurcyusz i jeden z pierwszych z adiutantem batalionu Łęckim czy Łackim dostali się w niewolę. W 1811 r. Kurcyusz był szefem batalionu 3-go pułku piechoty Żółtowskiego, a Łacki ze złamanym nosem - adiutantem Stasia Potockiego. Sułkowski, chcąc, jak się zdaje, powściągnąć częściowe uszczuplenie się szeregów, zachęcał jeszcze do wytrwałości przyrzekając, że za Ren nie przejdzie i w samej rzeczy podali dymisję i został w Gotha. Co Sułkowski chciał osiągnąć tym swoim czynem, trudno zgadnąć, ale można z pewnością powiedzieć, że jeżeli zbłądził, to pewnie nie z osobistego interesu. Mówiono nam, że miał pierwiej długą rozmowę z Cesarzem i że Cesarz, zniecierpliwiony niewczesnymi uwagami, pożegnał go słowami, za które i ukłon był zbytkiem grzeczności. Po rozmowie ze Sułkowskim Napoleon zgromadził oficerów korpusu polskiego i następującej mniej więcej treści miał do nich przemowę: "Nie idzie mi o waszą pomoc. Kilka tysięcy Polaków nie przeważy szali losów. Nie myślcie, że sprawa Francji stracona. Fortuna jest to frajerka... dziś temu, jutro tamtemu użycza swoich pieścizot. Czy mnie widzicie zmienionego? Czy nie jestem mężczyzną? Jeżeli mnie odstąpicie, rozwiążecie przez to od razu sprawę Polski, i może na zawsze. Jeżeli zaś zostanieie wierni orłom francuskim, natenczas przy zawieraniu pokoju obecność wasza zmuszać będzie, aby was nie zapomniano".

Jakkolwiek dla wojska polskiego rzadkim było zjawieniem przemowa ubóstwianego bohatera, trzeba przyznać, że tym razem przyjęta została dość ozięble. Może dlatego, że Napoleon używał wyrazów wylęgłych w najbrudniejszej kordegardzie. Zdawało się, jak gdyby chciał zniżyć do najgłębszego poziomu, aby być zrozumianym. Dlatego nie zostaliśmy ani zaszczyceni, ani rozweseleni i nie bardzo przekonani, ale po największej części upokorzeni. Cesarz nie mówił do wojska, ale do narodu, o tym zapomniał. Nie porywcze więc zapewnienie Sułkowskiego, które wszakże za poświęcenie się policzyć mu trzeba, ani też Napoleona arcyrubaszna mowa, ale li instykt honoru wkorzeniony w serce polskie nie dozwalał opuszczać sprzymierzeńców w złej dobie i utrzymał pod sztandarem szczątki naszego wojska.

Książę Józef Poniatowski nie miał wprawdzie znamienitych zdolności jako wódz - wiedzieliśmy o tym, a jednak pociągał ku sobie silnie serce żołnierza. Może w części i dlatego, że to, co Polaka zawsze zachwyca: odwaga, postawa, ruch, sposób wyrażania się - były czysto narodowe, przeciągnięte wszakże połyskiem zachodniego rycerstwa. Na dzielnym koniu, dzielny jeździec, nieugiętego męstwa, świetnego honoru, pięknej postaci, wąs czarny, czapka na bakier, był ideałem

polskiego wodza. Gdyby był nad brzegiem piekła krzyknął: za mną dzieci! w piekło skoczono by za nim. W innych zaś chwilach życia urzeczywistniał wyobrażenie wyniosłych, czystych i pięknych cnót rycerstwa. Kwileckiemu, który paszkwil napisał na całe towarzystwo warszawskie, rzekł: "Masz szczęście, żeś mnie w nim umieścił, bo bym tej niegodnej czynności pewnie nie przebaczył". Wejrzenie jego było nad wszelkie pojęcie ujmujące, głos przyjemny, uśmiech pełen duszy, pełen wymowy - ten, kogo nim obdarzył, zdawał się słyszeć słowa pociechy i zachęty: Znam cię... dobrze, bracie... Honor i Ojczyzna! - Poznałem go w Trześni pod Sandomierzem.

Granatowy półfraczek na jeden rząd płaskimi metalowymi guzikami zapięty. Pałasz na czarnym rzemieniu przez plecy przewieszony. Łeb rudy, a na łbie kapelusz stosowany składany, zwany Claque, z ogromną białą kokardą... Takim byłem, tak mnie maluj, kiedy 1809 r. pierwszych dni czerwca wysłano mnie ze Lwowa, abym zamawiał konie dla deputacji galicyjskiej jadącej do Księcia Józefa, którego główna kwatera była podówczas w Trześni pod Sandomierzem. Figura moja musiała być ucieszną, trudno temu zaprzeczyć, zwłaszcza ten przekłety kapelusz balowy dotychczas jak zgryzota sumienia męci sny moje swobodne. Z tym wszystkim, honorem mogę zaręczyć, że z wielu kurierów, posłów, ambasadorów, których w późniejszym życiu widzieć mi się zdarzyło, żaden nie miał tak buńczucznej, tak szeroko triumfalnej miny, jak ja, aspirant podporucznikostwa na chłopskim wózku rozparty. Żaden nie gromił wejrzeniem wszystkiego, co niemiecczyną trąciło. Żaden tak głośno jak ja nie przemawiał, powtarzając co mil kilka rozkaz, aby dwanaście koni stało w pogotowiu dla deputacji galicyjskiej... Pod karą śmierci... rozumie się... (formułka naonczas w modzie). Wój ci, burmistrze, ekonomowie słuchali w pokorze, ale nie wszyscy dany rozkaz wykonali, a przez to żyli potem długie lata, mieli dużo dzieci i dobrze im się działo.

Było też to wtenczas i z czego rosnać... czym puszyć. Była to wiosna roku, wiosna mego życia, wiosna chlubnego zawodu, wiosna odradzającej się Ojczyzny. Jechałem po trzaskach dwuźbistych Orłów. W Jarosławiu nawet ujrzałem już nad odwachem naprędce wymalowanego Orła białego. Mógł być wprawdzie i za gęś być wziętym - ale któż na to zważa. Sercem, a nie oczyma patrzyłem na ten obraz droższy, miłszy niż wszystkie dzieła Rafaela. Jechałem, wszędzie szlachta patriotyzmem rozgorzała. Żydzi: Wiwat! krzyczący - spodziewali się świeczkowego nie płacić. Chłopsstwo obojętne. Wszędzie Niemcy pochowali czerwone krymki i po polsku witali, po polsku żegnali, a co trzecie słowo: "Moczi Doprodzeju". W żadnym wieku Germany tyle słów słowiańskich nie wyekspensowali, ile w kilku miesiącach 1809 roku. Polacy byli za szczęśliwi, aby mogli myśleć o zemście, lubo nie brakło powodów za doznane uciski i zniewagi. Najwięcej, jeżeli który kazał Szwabowi kańczug powąchać. Tylko Szumlański, były major polski, kazał w Tarnopolu wykroić z tarcic konia i na grzbiet dwucalowy wsadzał urzędników cyrkularnych, a Żydzi zbiegali się z sianem "dla kobyłki pana Kreiskomisera, aby pan Kreiskomiser zdrów jechał". Za przywróceniem rządów austriackich Niemcy galicyjscy domagali się zemsty. Między innymi niejaki Weinroter krzyczał na sesji gubernialnej, aby dla przykładu choć jednego Polaka powieszono. A na zapytanie, kogo wybrać z tylu winnych - Den Ersten Besten - rzekł. - Zum Beispiel... I wzniosłszy się na krześle, spojrzął w okno... - Zum Beispiel den Antoniewicz - bo właśnie Antoniewicz poprzed okna przechodził.

Nie mścili się Polacy, bo byli wówczas szczęśliwi obecnością, a nadzieją bogaci. Nie mścili się, bo dla Polaka nieprzyjaciel zwyciężony, rozbrojony, bezsilny, przestaje być nieprzyjacielem. Nie mścili się i Niemcy galicyjscy...

Nota: Niemiec galicyjski zajmuje wprawdzie w historii naturalnej miejsce jak wyłączna rasa, czyli zawód, jak to na przykład rasa pudłów albo tybetańskich capów, ale właściwie jest to rasa zwiedziona. Nienawiść do Słowiańszczyzny, do krajów, których sokami żyją, daje prędszy bieg ich krwi i przemienia Ur-flegmę teutońską w innego rodzaju męty. Koniec Noty. Nie mścili się, mówię, i

Niemcy galicyjscy, bo wiedeńscy stali jeszcze pod wpływem europejskiego Oberprofesora i Arcybatożnika. Austriacy nie lubili i nie lubią Francuzów... bo za cóż by ich lubili? Boją ich się i bardzo słusznie, a jednak ich narodowość przyjęła odcisk znieawidzonej francuszczyzny. Mieszczanie uczą dzieci po francusku, mody francuskie wyrugowały die goldene Haube. Co francuskie, to dobre, to piękne, to poszukiwane tak od wyższych, jak i średnich klas towarzystwa. Po szynkach wiedeńskich tańczą kadryle francuskie, teatru przedstawiają najczęściej powykrzywiane francuskie wodewile.. Kiedy w pięć lat po ostatnich odwiedzinach Francuzów jechałem przez Austrię, spytałem postyliona, dlaczego nie trąbi. Odpowiedział: Die Franzosen haben es nicht gerne. - I teraz zwłaszcza w Styrii trzaskanie z biczów zastąpiło urzędowe trąbienie z niemałą dolegliwością podróżnych. Na koźle trudno usiedzieć i ledwie z pistoletem w rękę trzeba bronić twarzy od francuskiej, a niezgrabnie naśladowanej trzaskomanii.

Bali się Austriacy Francuzów, ale zdaje mi się, że nie tyle, ile się teraz Moskali boją - a co najgorzej, że najwięcej boi się wojsko.

Burza 1809 roku przeszła Galicję bez wielkiego wstrząśnienia dawnego stanu rzeczy. Kilka tylko krwawych śladów zostawiła po sobie. Siedliski, obywatel w Przemyskiem, chciał w swoim domu stawić odpór wracającemu nieprzyjacielowi. Zamknął bramę, spoza płotu strzelił do huzarów. Ale że brama zamknięta nie zmienia, dlatego iż w Polsce zwykle bywa otwarta, domek szlachecki w nieprzystyriipny Gibraltar... że jeden wystrzał choćby z kremlńskiego móżdżerza, w którym sypiali francuscy grenadierowie z bronią, bermycą i harcapem razem, nie może zabić i pogrzebać wszystkich nieprzyjaciół, otworzono bramę i zbyt zuchwałego patriotę rozsiekano na miejscu. Na Podolu zaś Kopystyński, brat Wincentego, tłumacza Fedry i Andromaki, wzięty z bronią w rękę, jako dawniejszy oficer w służbie austriackiej został przez sąd wojenny skazany i rozstrzelany. Oficerowie bowiem austriaccy występując ze służby podpisują zobowiązanie się, że nigdy przeciw Austrii służyć nie będą. Te więzy dożywotnie włożone na człowieka za to, że z własnej woli wstąpiwszy w szeregi, zasłużył stopień oficera, są nie do pojęcia. Jest to nawet bezskutecznym nadużyciem władzy.

Był także na śmierć skazany Kajetan Horodyski, otrzymał jednak ułaskawienie, ale na miejscu egzekucji. Wzruszenie jednak doznane spowodowało później obłąkanie, w którym życia dokonał. Żona jego, z domu Krasieńska, zaślubiła potem mego brata Juliana i wkrótce owdowiała powtórnie. Dziwnym na tym świecie zjawiskiem, jej dusza, w którą los przez pół wieku sączył najzjadliwsze gorycze, nie zachowała ich ani kropli. Żyje tylko dla drugich, niezmordowana w udzielaniu pomocy, nie pojmuje nawet, aby to mogło być zaletą. Za tyle cnoty, a tak skromnej, a tak cichej, tak plennej, Bóg tylko jeden może mieć w rękę stosowną nagrodę.

Co spotkało Horodyskiego, mogło być i mnie spotkać w moim balowym kapeluszu, wszystkich nas bowiem łączących się z wojskiem polskim uważano za powstańców i jako takich karać miano przedsięwzięcie. Ale któż o tym myślał?! A ja najmniej między Rozwadowem a Sandomierzem.

Jednego poranku nie pił Zefir rosę z rumianku, jak powiada Pajgert, ale ja, pan Fredro, strudzony pierwszą bezsenną nocą na wózku, folgowałem w obrazach bojów, sławy, wolności i niepodległości Ojczyzny, które myśl wywijiała z nieskończonego kłębka. Cisza lasów otaczająca mnie wkoło i ruch kurierskiego pośpiechu dwóch szkap brnących w piasku ulułały nareszcie wrzące moje nadzieje w spokojny i głęboki sen szesnastoletniego młodzieńca. Sparłem głowę na półdrabku, a nogi, zbrojne w srebrne przypinane ostrogi, wzięte z Beńkowo-Wiszniańskiego lamusu i które pewnie zdobyły niegdyś szeroką piętę jakiego rotmistrza kawalerii narodowej, wyglądały spod łokci mojego woźnicy. Spałem, spaliśmy nawet oba, jak się później wykazało. I kto wie, czy sny nasze wyparte z przeciwnego, a przynajmniej z nierównego usposobienia duszy, z tak odległych od siebie uczuć nie spływały w świecie uludy w jaki jeden wspólny zakres. Może mnie się śniło, że sparłem się na

chłopku jak na bracie. Może on marzył, że jał mnie w objęcia jak brata, że z ufnością w łączne siły spoglądaliśmy spokojnie na jutrzeńkę, co ponad odłogi, zwaliska, cmentarze ozłacała nowe, nowego kształtu budowy. Może to był sen, a może kiedyś stanie się rzeczywistością, a ja tymczasem jak dziecko, gdy piastunka zadrzymie i kolebka stanie jak mielnik, kiedy pytel zamilczy, przebudziłem się nagle ustaniem wszelkiego ruchu. Otworzyłem jedno, potem drugie oko, wyciągnąłem w górę prawicę z moim ukokardowanym kapeluszem, jak gdybym chciał krzyzczeć: "Wiwat!" i spojrzałem po sobie i wkoło siebie. Mój auriga leżał na moich kolanach wygodniej niż ja na półdrabku. Szkapy w kurierskiej pogoni zeszły z prawej drogi i nim losy Ojczyzny rozstrzygną się pod Sandomierzem, pasły się spokojnie nad rowem. - A no! - krzyknąłem ja. - Wio! - krzyknął on i ruszyliśmy, nie powiem z kopyta, ale rozsądnym truchtem. Jedziemy, jedziemy... Wtem dalekie armat wystrzały szybko powtórzone i po kilku minutach ciszy znowu powtórzone... i znowu, i znowu, obwionęły mnie jakby świeżym życiem.

Jakie ten odgłos sprawił na mnie wrażenie, jakie obudził uczucia, trudno lepiej jak gminnym wyrazem wysłowić, to jest, że uros, trem na trzy piędzi. Jakkolwiek strzały głos mi tylko przesyłały, były to jednak strzały śmierć niosące i jako takie pierwszy raz przeze mnie słyszane. Stawały się poniekąd pierwszym chrztem studenta na żołnierza. Wkrótce i białe bałwany dymu pod miastem, w którym łatwo było odgadnąć Sandomierz, powtórzyły oczom, co już słuch wiedział: Jestem na wojnie!

Wojnę więc mając przed sobą, trochę na prawo dojechałem do Trześni i stanąłem tam, gdzie prosto wyrżnięta droga w prawo pod pagórek wiodła ze sandomierskiego gościńca do niewielkiego, białego, dużymi drzewami otoczonego dworka. Na dziedzińcu koczował pułk drugi piechoty Stasia Potockiego.

Stanisław Potocki, staroście halicki, w młodości swojej stał się wzorem Bogusławskiemu do Studenta w Krakowiakach. Nie był inaczej znanym w Warszawie jak pod nazwiskiem Stasia. Dobry Polak, dobry żołnierz, dobry kolega był powszechnie lubiany. Śmierć jego 29 listopada 1830 r., okropna, bo z rąk tych, których od lat tylu zwykł swymi dziećmi nazywać, jeśli była koniecznością, to nie mniej bolesno dotknęła jego kolegów. Był wzrostu małego, trochę łysy, twarzy ładnej, a zwłaszcza bardzo przyjemnej. Ostatni raz widząc się ze mną w Warszawie, mówił: "Mam honory, krzyże, pieniądze, ale diabli z tego, kiedym już stary". Dzień był pogodny. Strój grenadierów świeży i czysty. Ich rozmowy, śpiewki, nawet swawolne gonitwy, czyniły obraz tak wesołym, tak powabnym, że trzeba było widoku kilkunastu jeńców z piechoty węgierskiej, na których twarzach krew ledwie w ranach zaskrzepła, aby mieć przekonanie, że jestem na wojnie. Wskoczyłem w nią jak młody sarniuk na kwiecistą łąkę.

Cała kampania 1809 roku w porównaniu z późniejszymi była kwiecistą, była triumfalną przechadzką dzieci wracających w rodzinne zagrody. Była łatwym żniwem wawrzynów, epolet i krzyżów.

Pułk 2-gi piechoty należał do dywizji Księcia Józefa, miał przeto u granatowych mundurów pąsowe kołnierze, a żółte wyłogi. Dywizja zaś Dąbrowskiego miała amarantowe, a Zajączka kołnierze amarantowe, a wyłogi białe. Polska armia wówczas składała się z trzech rzeczonych dywizji, razem z 8 pułków piechoty, a siedmiu jazdy. Moi bracia zaczęli służbę swoją w tym 2-gim pułku piechoty.

Pamiętam dobrze, późna jesień była (1806). W niebieskim gabineciku ogień szemrał na kominku. Mój ojciec i Biegański grali w lombra, Ludwisia haftowała. Ja jako najstarszy, już nie dziecko, jeszcze nie młokos, komenderowałem, w sali zielonej zabawą młodszego rodzeństwa, Cesi, Julcia, Henryczka i Edwardka... Wtem drzwi otwierają się nagle i wchodzi Józef Szumlański z moimi

braćmi Maksymilianem i Sewerynem. Pierwszy od dawna bawił w Puławach, drugi od śmierci naszej matki, więc jeszcze niespełna roku. Maksymilian oddał list ojcu. Starsi długo półgłosem rozmawiali. Dzieci poszły spać. Nazajutrz zaprzągnięto do brodzkiej bryki cztery konie srokate, Szumlański kupił od słowa, a w południe już naszych gości nie było. Znowu cisza osiadła na jednostajnych dniach, na wlokących się jesiennych wieczorach. Nikt w domu nie zgadywał przyczyny tych krótkich odwiedzin. Dopiero w kilka miesięcy powierzono mi w największym sekrecie, że bracia są w Warszawie... w polskim wojsku... oficerami...

Maksymilian, równie jak i Seweryn zaczęli służyć w 2-gim pułku piechoty Stasia Potockiego. Seweryn przeszedł wkrótce do pułku Gwardii Cesarskiej - pułku des Chevauxlegers, formującego się pod dowództwem Wincentego Krasińskiego. W tym pułku dosłużył się stopnia szefa szwadronu[**] i trzech krzyżów. Odbył wszystkie ówczesne kampanie hiszpańskie i niemieckie. Wystąpił ze służby w 1814 roku. Wielce ceniony jako oficer, kochany jako kolega.

Maksymilian został adiutantem Księcia Józefa. Będąc potem szefem szwadronu 2-go pułku ułanów Tyszkiewicza, robił kampanię 1809 r. Później został majorem (Gros-Major) w 5-tym pułku Strzelców konnych Kurnatowskiego. Że zaś ja awansowałem na kapitana adiutanta majora do tegoż samego pułku, odbyliśmy razem obok siebie kampanię 1812 r. W 1813 roku dano Maksymilianowi 9-ty pułk lansjerów francuskich. Pod Kulmen kilka razy ranny dostał się do rosyjskiej niewoli. Po skończonych wojnach został fliegel-adiutantem cesarza Aleksandra, potem generałem majorem przy głównym sztabie. 1824 r. wystąpił ze służby. W 1807 ozdobiony krzyżem kawalerskim Virtuti Militari, pod Smoleńskiem krzyżem Legii honorowej, w 1820 r. wielką wstęgą Ś-go Stanisława.

Uciekwszy z Wilna z niewoli, przybyłem 10 sierpnia 1813 r. do Drezna, zostałem, jak to już wspomniałem, przyłączony do głównego sztabu Wielkiej Armii. Że zaś mój brat Seweryn komenderował służbowymi szwadronami, odbyłem z nim razem, tak jak z Maksymilianem 1812-go, kampanię 1813 r. Pod Peterswaldem na czele swego szwadronu rozbił pułk jazdy pruskiej i swoją ręką schwycił dowódcę, syna generała Blüchera.

O, bracia moi! Maksymilianie, opiekunie pierwszych w świat kroków moich - towarzyszu broni - kolego na tym krótkim i wąskim polu autorstwa, któreśmy bez zawiści przebiegli razem.. I ty, Sewerynie, z którym uczyłem się, kolegowałem i nareszcie w sąsiedztwie przeszło lat trzydzieści nieodstępnie prawie przeżyłem, jakże mi Was niedostaje!... Jak trudno samemu w przeszłość spoglądać... Nie mam już do kogo powiedzieć: Te souviens-tu? Bo większa część przeszłości była wyłącznie naszą, obcą młodszemu rodzeństwu. Kiedy Was wspomniałem, pytam się sam siebie, po co puszczam pióro za błakającą się pamięcią. Na co rozpowiadam o sobie, o stosunkach rodzinnych? O osobach, co nas otaczały w dzieciństwie? Osoby, co nic po sobie nie zostawiły prócz mego wspomnienia, jak kwiaty rozwinięte na wiosnę, a rozwiane bez śladu wiatrem jesiennym! Po co?... Na co?... Dla kogo? - Zacząłem pisać myśląc, że się kiedyś zejdziemy, że wam czytać będę, co dobrze wiecie, tak jak to zwykło się mówić: Pamiętasz?... A dawno znajomy dobrze pamięta, jednak słucha chętnie jakie wspomnienie z lat młodych, z lat dalekich, słucha jakby własnego serca. Kiedy teraz wstąpię do tej oficyny, gdzie rodzice mieszkali, gdzie teraz z bawialnego pokoju spiżarnia, ze sypialnego kuchnia - kiedy ujrzę gdzie jaki koniuszek arabesku, co się pod późniejszym obiciem przechował - kiedy spojrzę na ów piec, niegdyś w złocone rzeźby, dziś gliną polepiony, serce mi się ściska. Obok obrazu przeszłości widzę razem jej oddalenie... Czas ubiegły objawia mi się zniszczeniem. Szczęśliwy, kto zamieszka komnaty, co - pierwszym jego były światem, gdzie te same obicia, malowidła, sprzęty, a nade wszystko ciemne zakątki, co to się tak silnie wyciskają w umyśle dziecinny. Gdzie jednym słowem wszystko zatrzymało jeszcze jakby dotknięcie kochanych Rodziców, jakby cząstkę ich drogiego życia. Wtenczas zdaje nam się, że wszystko niedawno. Nie ma

szorstkiego przedziału między tym, co było, a tym, co jest. Gdybym do Was mówił, bracia moi, nie potrzebowałbym objaśniać każdego szczegółu. Jeżelibym wspomniał gabinet, stanąłby Warn zaraz przed oczy pokoik niebieski, zajęty prawie w połowie dwiema sofami w białe i karmazynowe atlasowe pasy - biureczko wysadzone naszej matki. Na jednej ścianie w mahoniowych ramach landszafty podług Ruisdala - na drugiej widoki Tivoli i fontanny Egerii. I ten kominek w kącie, dzieło architektury Aignera, którego gzymsy i gzymsiki stały się nigdy nie dościgniętym wzorem dla wszystkich kominków w sąsiedztwie. Spostrzeżlibyście zaraz na szczycie tegoż statwę gipsową Wenery de Medicis - niżej między złożonymi filizankami na marmurowych podstawach brązowe popiersie Henryka IV i Sullego. Wazon porfirowy, świeczniki alabastrowe i tysiąc jeszcze fraszek, które byłyby dla mnie dzisiaj nieoszacowanym skarbem, a które może leżą gdzie na strychu jako staroświeckie graty. Gdybym Wam wspomniał altankę, nazwaną Szopką, uczulibyście zapach róż i nasturcji, co się wiły po brzozowych ganeczkach aż pod strzechę. A też oficynka, której ja już jeden podobno tylko miejsce pamiętam (tam, gdzie teraz skrzydło pałacu), gdzieśmy nad książką łby smażyli, ale, niestety, nie dosmażyli, gdzieśmy się wyśmiali na całe życie, i tak szczerze, i tak bez końca, i tak sztucznie, aby pan Trawiński z drugiego nie zasłyszał pokoju. A owe zwaliska pałacu, wybudowanego, podług powieści starego Jakuba mularza, przez referendarza Siemieńskiego, z ich czarnymi sterczącymi i wśród południa straszącymi kominami - z ich piwnicami, skarbcem, lamusem, gdzie echo po sklepieniach brzęczące biło. Wszystko, wszystko przypominalibyście sobie, bracia moi - przypomnieli z rozkoszą... Ale Was już nie ma, a ja nie mam do kogo powiedzieć: Czy pamiętasz? Dam więc spokój tym wspomnieniom... Wróćmy do Trześni. I tam nie wiem po co... ale kto siwieje, bajdurzy chętnie.

Wszedłem na dziedziniec... Wszak prawda? A że szedłem, przeszedłem go prędko i znalazłem się u progu dworka między kilkunastoma oficerami w zielonych frakach mundurów z pąsowymi kołnierzami, złotymi szlifami i akselbandami, w bermycach na głowie. Były to Guidy. Oddział formujący się, niby przybocznej straży naczelnego dowódcy. Każdy miał rangę podporucznika i w tej po skończonej kampanii wszyscy zostali umieszczeni w nowych pułkach.

Spytałem się o Józefa Szumlańskiego, adiutanta Księcia. Obudzono go śpiącego w sieni. Wyciągnął się, ziewnął, uściskał mnie i wziął pod swoją opiekę, tak że wkrótce, jakby w kole krewnych lub sąsiadów, odpowiadałem na tysiączne zapytania o tym, co się dzieje we Lwowie.

Zdaje mi się, że w dniach, o których tu wspominam, Sandomierz był w naszym ręku. Wystrzały, które rano słyszałem, musiały być do nieprzyjacielskiego rozpoznania (reconnaissance), bo ledwie siedliśmy do stołu, przybył generał Sokolnicki komenderujący na linii bojowej i Żółtowski, pułkownik 3-go pułku piechoty.

Wieczorem nadjechała zwyż wspomniana Deputacja Galicyjska: Ludwik książę Jabłonowski, którego jedynym wyskokiem patriotyzmu, i to nb. mimowolnym, było to poselstwo. Nielepiej mu się i na późniejszych powiodło. - Adam Potocki, który starał się o pozwolenie formowania pułku - i Kajetan Uruski, który... który miał pieniądze i nos duży, ale i odrętwiałe serce w sprawie Ojczyzny. I ranga bez zasługi, i nos duży - wszystko to są boskie dary i muszą mieć swoją przyczynę. Wiara w konieczność przyczyny jest to jedna z najmocniejszych podpór w podróży życia.

Deputacja złożyła Księżciu mnóstwo komplementów i kilka tureckich sztandarów znalezionych w arsenale lwowskim...

Przed stodółką, koło mostu na rzeczce płynącej do Wisły, stał wóz długi przykryty, zielono malowany, z dużym wzdłuż wieka napisem: Furgon 2-go pułku piechoty. Furgon w obozie jest zawsze celem zazdrości, bo staje się domem, pałacem. Pod nim między kołami obszerna sypialnia, bezpieczna od słoty i gorąca - przy boku sala jadalna, ale że z nią razem i kuchnia, przeto raz z

jednej, a raz z drugiej strony, podług wiatru. Z tyłu lada derka w górze wiekiem przyciśnięta, a w dole dwoma patykami podparta wygodną staje się komnata. Pod dyszlem zaś, ile na nim rozwieszonych płaszczów i koców, tyle gabinetów, w których siodła, juki, sakwy służą za stoły, sofy i wezglowia. O kilka kroków naprzód, przed karabinami złożonymi w kozły, grenadier na straży brał za broń przed przechodzącymi oficerami albo sparty na niej odzywał się do rozmowy przerywanej głośnym śmiechem, co się dobywała z różnych punktów furgonu, jakby z trojańskiego konia.

W tej stodole była kwatera pułkownika Stasia Potockiego. Tam w kole wojskowych, z których każdego uważałem za Wice-Napoleona, słuchałem całą duszą świetnych czynów naszej armii. Słuchałem i różnych dykteryjek garnizonowych i obozowych zupełnie dla mnie nowej treści, a jeszcze nowszego sposobu wysłowienia. Słuchałem z wielkim upodobaniem, jak gdybym pisał noty w pamięci: Do naśladowania. Do powtórzenia. Do przerobienia. Nie spuszczałem przy tym z oka Artura Potockiego. Artur był to człowiek pełen honoru, dowcipu i dobroci - a przy tym zajmującej piękności. Ale dość było spojrzeć na jego rozpięty mundur, chustkę lekko zawiązaną, ładownicę przekręconą, pendent nie na miejscu, aby w nim poznać popsute dziecko towarzystwa warszawskiego, a razem i armii, bo Wódz naczelny był członkiem tego towarzystwa. Zachował on był w postawie i ruchu ową anglomanię, co wówczas ustępowała przed rubasnością obozową. 1809 roku był adiutantem Roźnieckiego. W 1812 szefem saperów - w 1813 adiutantem Księcia Józefa. Parę godzin przed tegoż zgonem wysłany do Cesarza, uniknął podobnego losu. Nareszcie z moim bratem Maksymilianem był fliegel-adiutantem cesarza Aleksandra. Nie spuszczałem, powiadam, z oka Artura, który, dla nieznośnego upału, rozciągnął się jak długi na wiązce słomy, ale całkiem nagi.

Wzgarda wszelkiej osłony, tak w czynnościach, jak i mowie, tam nawet, gdzie ta zdawała się być nieoddzielną częścią samej rzeczy - jakiś, by się tak wyrazić, cynizm fizyczny, były *Conditio sine qua non* do osiągnięcia nazwy: Birbanta. Kto nim nie był w istocie, musiał udawać, inaczej trącił Cywilistą. Taki mógł być wprawdzie szanowany, ale nigdy lubiany. Patrzałem więc z zadziwieniem na te *Sans-façons* Artura wobec nawet całej Deputacji Galicyjskiej i zapisałem w notach do naśladowania. Ten strój Ojca Adama, bez liścia figowego, nb. nazwaliśmy potem szlafrokiem i często w upały po mustrze był w używaniu. Wszedł do stodółki wysoki, piękny mężczyzna, szef szwadronu 2-go pułku ułanów. Mundur granatowy, kołnierz pąsowy, wyłogi żółte. Na głowie kołpak z czarnego baranka, w górze szerszy, z tyłu jak cholewa palonego buta wykrojony, z pąsowym płomieniem naprzód wywieszonym i złotym kordonem przyciśniętym, oznaczał, że był szefem pierwszego szwadronu, a przeto i kompanii wyborczej, czyli Grenadierów.

Kompania pierwsza od prawego w każdym pułku jazdy, a w każdym batalionie piechoty była kompanią wyborczą, odznaczała się pąsowymi szlifami i niedźwiedziami lub innego rodzaju kołpakami od innych kompanii.

Wszedł więc szef szwadronu, a wszystkie oczy zwróciły się od niego na mnie i wykrzykniki z różnych stron zdawały się chcieć obudzić naszą wzajemną uwagę. Bracia stali przed sobą nie poznając się wcale. Ja od trzech lat urosłem - Maksymiliana zaś, eleganta puławskiego, zawsze wypudrowanego, wystrojonego, pachnidłami tchnącego, nie mogłem odgadnąć w tej opalanej twarzy, zakrytej do połowy rudymi wąsami i faworytami... w tej postawie żołnierskiej, okrytej znojem i kurzem bojowym.

Maksymilian chciał mnie przedstawić Księżciu, poszliśmy więc do białego dworku. Na dziedzińcu, w sieni, w pierwszych pokojach prezentował mnie w prawo i lewo. Szastałem się jak cywilista, dzwoniłem ostrogami jak rycerz, byłem grzeczny i wspaniały. Tam poznałem żółtego Rautenstraucha w żółtej peruce. Trudno być szpetniejszym. Był to człowiek wielkich biurowych zdolności. Sługa każdej władzy, skończył na komendzie warszawskiego baletu. Był on synem garbarza, dlatego Kwilecki w paszkwiłowym swoim katalogu napisał był: "L'Etat-Major, relié en maroquin jaune par Mr. Rautenstrauch". Poznałem generała Fiszera, byłego adiutanta Kościuszki, teraz szefa sztabu. Był on osobistym przyjacielem i prawą ręką Księcia Józefa. Naśladował Księcia jak Berthier Napoleona. Mały, ułomny, w czapce ułańskiej, z krótką fajką w ustach, na dużej bułanej kobyle, był zanadto dziwną kopią obok pięknego oryginału, aby nie wzbudzał często szyderskiego śmiechu. Zginął pod Tarutinem w 1812 r.

Nareszcie weszliśmy do Księcia. Siedział sam na ganeczku, z którego widok na Sandomierz, i palił tytoń ze stambułki oprawionej na krótkim prostym bukszpanowym cybuszku. Miał na sobie kurtkę granatową z wyłogami tegoż koloru, z francuska na przedzie wyciętą - haft generalski u kołnierza. Na piersiach gwiazda krzyża wojskowego polskiego i krzyż Legii honorowej (jej Wielką Wstęgę otrzymał dopiero po kampanii 1809 r.). Chustka czarna, grubo na szyi zawiązana, z białą wypustką - kamizelka biała - spodnie granatowe opięte i buty węgierskie z czarnymi kutasikami i srebrnymi ostrogami uzupełniały strój, który zarywał trochę munduru ułanów austriackich z czasów, kiedy Księżę u nich, Bóg wie po co, służył, który przechodził nieco w francuszczyznę i który teraz niezawodnie wydałby się arcyśmiesznym.

Widywałem później w 1812 roku Księcia Józefa czasem w mundurowym fraku, ale zawsze w czapce ułańskiej. Frak z czapką nie bardzo się zgadzał i w całej armii on jeden i drugi Fiszer pozwalał sobie tego stroju. Wielki zaś mundur generalski był: ułańskim krojem granatowa kurtka, amarantowe wyłogi i rajtuzy - srebrny haft, szlify i lampasy. Wojsko polskie Księstwa Warszawskiego od 1806 do 1812 r. było w ciągłej formacji. Na oficerów przybywała ciągle młodzież majątna. Dlatego oficerowie, acz nie płatni po kilka miesięcy, zbytkowali nie tylko w przepisowych mundurach, ale i w fantastycznych półmundurach, których sobie każdy pułk jazdy mnożył bez liku. Tak na przykład weźmy pułk 2-gi ułanów. Pierwsze ubranie: wielki mundur, kurtka granatowa, kołnierz pąsowy, żółte wyłogi, rajtuzy granatowe obcisłe z żółtym podwójnym lampasem. Drugie ubranie: taż sama kurtka z zapiętymi wyłogami, rajtuzy szerokie sieraczkowe ze skórą. Trzecie ubranie: kurtka z wyłogami granatowymi, z francuska z przodu wykrojona do białej kamizelki. Czwarte ubranie: frak granatowy albo z francuska jak powyż wspomniana kurtka do kamizelki wykrojony, albo na jeden rząd guzików zapinany, spodnie opięte granatowe, buty węgierskie ze złotym u góry obszyciem i złotym kutasikiem. Do tego ubrania stosowany kapelusz. Na jednym balu w Warszawie widziałem pułkownika Tyszkiewicza i mego brata w granatowych frakach z żółtymi wypustkami z francuska wyciętych - kamizelka żółta pokryta pętlcami złotymi, spodnie opięte pąsowe suto z huzarska szamerowane, buty kozłowe. W pułku 11-ym ułanów oficer musiał mieć kurtkę granatową z amarantowym kołnierzem i białymi wyłogami, u kołnierza biała, a u wyłogów amarantowa wypustka. Kurtkę z granatowymi wyłogami tylko z wypustką albo Spencer - frak - czamarkę - kurtkę balową na przedzie wyciętą do amarantowej złotymi pętlcami okrytej kamizelki, Rajtuzy granatowe obcisłe z białym podwójnym lampasem, granatowe i sieraczkowe szersze z jednym amarantowym lampasem. Sieraczkowe rajtuzy z guzikami półokrągłymi od dołu do góry - sieraczkowe szerokie ze skórą - spodnie granatowe do fraka - białe ze złotym galonem do balowej kurtki. Buty węgierskie ze złotym obszyciem i kutasikiem, a do balowego stroju czerwone. W zimie, kogo stać było, surdut z wykładem siwych baranków, na piersiach w zioberka ze złotego

galonu. Tak czasem przesadzano galonami, że Oborski o kapitanie Bie... powiedział: "Bie... ma i w kieszeni parę sztuczek galonu". Do tego wszystkiego i cywilny frak, a przynajmniej surdut był ledwie nieodzownie potrzebny, zwłaszcza dla oficerów garnizonujących po większych miastach. Brano do cywilnego fraka wojskowe spodnie, kamizelkę, buty, czapkę lub kapelusz stosowany. Ten strój semicywilny uwalniał od pałasza i upoważniał poniekąd do wejścia tam, gdzie mundurowi nie zawsze przystoi. Co kraj, to obyczaj, mówią, ale gdyby nie rym, częściej jeszcze można by powtarzać: co czas, to obyczaj. A nowszy zawsze piękniejszy, zawsze mędrszy, ale za to dawne czasy były od początku świata zawsze wiekiem złotym, wiekiem prostoty i cnoty. I ja teraz muszę powiedzieć: był to wiek złoty ten czas, kiedy byłem młody, kiedy stanąłem przed Księciem Józefem w trzeciej pozycji, jak do menueta albo raczej do matelota, tańca, którym robiłem zaszczyt memu nauczycielowi Kurcowi, a Kurc był z baletu króla Stanisława, a król Stanisław znał się lepiej na tańcu niż na sztuce rządzenia. Księżę przyjął mnie uprzejmie. Rozmawialiśmy pięknie a niedługo. Nazajutrz, 8-go czerwca, dostałem nominację na podporucznika.

Jedynie zapewne przez grzeczność nie pytacie mi się, Szanowni Państwo, za co zostałem oficerem. A ja na to odpowiem, niech Was to nie dziwi, bo nowe formując pułki, niedostatek oficerów przymusza nominować i nowo w szeregi przybyłych, odznaczających się trochę lepszym wychowaniem. W owym czasie wyrastały podporuczniki jak grzyby i nie do jednego można było powiedzieć z Plautem: A więc, panie oficerze, co nie jesteś żołnierzem etc. Nie to było moim szczęściem, że zostałem podporucznikiem, ale to, że miałem w ręku nominację. Moje słowa trąca niby zagadką, sam to wiem... zatem, aby być zrozumianym, muszę trochę obszerniej opowiedzieć, co się działo w Galicji 1809 roku. Byłbym wprawdzie uniknął wielu niezrozumiałości, gdybym był zaczął, jak Bóg przykazał, od początku. Na przykład: Był to Pan i Pani... mieli syna, nazwali go Aleksandrem... Albo też urodziłem się w Surochowie w Ziemi Przemyskiej, z Jacka z Pleszowic i Marii z Dembińskich Fredrów małżonków - Kiedy? - Nie wiem dokładnie, bo w owym czasie proboszcze na mokro oficjowali, a na sucho pisali. Metryki więc odszukać nie mogłem, może i dlatego, że plebania w Jarosławiu zgorzała. Uczyłem się krótko i nietęgo, a w szesnastym roku życia, podług rachuby mojej piastunki, wstąpiłem do wojska etc. etc. etc... Tak pewnie byłoby było najlepiej, ale tak się nie stało, czego bardzo żałuję. Aby więc trafić jako tako do końca, pozwólcie, bym pierwaj skończył, com już zaczął, abym mówiąc kwiecistym stylem gubernialnym, wyrobił moje restancje - a potem wrócimy do pamiętnego roku 1809.

Byłem więc, nisi fallor, w Lipsku - nie, myślę się, dalej, w Moguncji, i to nie, bo bliżej, w Gotha. Tak jest, w Gotha byłem na służbie w niemieckim zanurzony łożu. Budzimy się, dzień jasny! Seweryn woła... (a jak Seweryn wołał, szyby brzęczały) ordynans się zrywa, wychodzi, wraca i przestrasza nas nie po trosze wiadomością, że Cesarz już dawno wyjechał, że już nikogo z naszych w mieście nie widać.

Proszę teraz przypomnieć sobie, jaki był stan rzeczy, jak niektórzy oficerowie, zostając po drodze, dali się brać w niewolę, proszę przypomnieć sobie (bo ja nie powtórzę) i wystawić sobie razem, jaką szef szwadronu, komenderujący szwadronem służbowym niczym dotąd nie zachwianego korpusu, byłby na siebie, a nawet na pułk cały ściągnął plamę, gdyby był wpadł w ręce nieprzyjaciela. A że to z winy ordynansa, który zbudzony przez podoficera wysłanego ze szwadronu zasnął sobie był na nowo - któż byłby dał wiarę? Któż by kiedy chciał i wysłuchać uniewinnienia?... Kto mógł zawyrokować? Zerwaliśmy się, jak to mówią, ptaszkiem. Seweryn dopadł konia i cwałem pogonił. Ja zaś jako indywiduum nic nie znaczące w europejskiej równowadze, uważałem zdarzenie z własnego tylko stanowiska, a którym tym razem było błoto przed progiem zaklętego domu o zielonych kotarach, błoto sięgające wyżej ostróg. Myślałem, co począć, bo jak nie myśleć, i podniósłszy głowę

patrzyłem w górę jak gracz wistowy, który chce przypomnieć sobie, czy siódemka jest Carte-forta albo nie. A że ile razy spojrzę w niebo, tyle razy kichnąć muszę, więc kichnąłem raz jeden i drugi i wpadając w odwrotną ostateczność wlepiłem oczy w ziemię... Nie powiem, jak gdybym chciał ziarenka piasku przeliczyć, bo było błoto, ale raczej jak gdybym, niby ów Narcyz zakochany w sobie, przeglądać się w kałuży. Wtem połysk nadziei budzi mnie z odrętwienia: Może Onufry czeka z końmi! Pędzę szukać koni i tym razem naprawdę... O jakże bolesna, i bliska kara za moje kłamstwo!... Szukam i nie znajduję... nie było się więc dłużej czego wahać - przechodzę bez zwłoki i awansu do piechoty i ruszam w drogę.

Kto by mnie był widział, jak pałasz pod lewym ramieniem, kapelusz na bakier, skakałem zrazu z kamyka na kamyk, byłby mógł myśleć, że ja w Lublinie idę na wieczór do generałowej Kamienieckiej, gdzie mnie czekał przyjazny uśmiech panny Anieli i pantofel... Nie pantofel turecki, a mniej jeszcze żydowski ani też figurycznie wzięty jako matrymonialne jarzmo, ale pantofel - gra w karty, niezbyt dowcipna, ale nieoceniona dla zakochanych, lepsza nawet niż mruczek, ba i talarek. U nas, w Samborskiem, między Gródkiem a Rudkami, zwano dawniej tę grę Gapiem albo Kasztelanem, co było niezawodnie dla kasztelanów arcyubliżające i zapewne senat postanowił niewinną nazwę Pantofel.

Były to dobre czasy w tym Lublinie. Generał Kamieniecki komenderował dywizją - miał miłą, godną żonę i miłe, lube pasierbice, pannę Pelagię i pannę Anielę Trębickie. Pułkownik Nowicki, który potem został zastrzelony w karecie owej pamiętnej nocy 29-go listopada w Warszawie. Jakał on się. Będąc zatrzymany niewyraźnie wymówił swoje nazwisko, usłyszano zamiast Nowicki - Lewicki i tak zginął niewinnie za znieawidzonego komendanta miasta, Lewickiego. Pułkownik więc Nowicki, szef sztabu, przyjaciel domu i wesołego życia, nominował do sądów wojskowych po największej części oficerów, których towarzystwo mogło warszawiankom znośnymi uczynić zimowe lubelskie wieczory. Zostałem reporterem sądu wtórego, bo dobrze tańcowałem. Bardzo dobrze. Później mazurem podbiłem serce panny Benigny, ale to inna historia. Nie śmiećcie się, moje panny, patrząc na moje sukienne buty. Gdybym był i najstarszym z galicyjskich Landstandów, młodość kiedyś miałem, tak jak Wy, drogie kwiateczki, starość mieć będziecie. Dzieci najczęściej nie słuchają rozsądku rodziców, bo mówią: to starych widzimi się, a zapominają, że ten rozsądek zebrany z doświadczenia wieku młodego. Zdaje im się, że ojciec zawsze był siwy i pochylony, dlatego dobrze, aby każdy miał swój portret malowany w wiosennych chwilach życia, wtenczas będzie mógł powiedzieć: Oto ten młody człowiek przez moje usta daje wam przestrogi.

Zostałem więc reporterem, ale w sądzie wtórym, zatem w jedynej sprawie, którą sąd po karnawale osądził, powtarzałem tylko pytania sądu pierwszego. Może ktoś mędrszy byłby umiał dać inny obrót rzeczy, ale jeżeli nie byłem mądry, mniej jeszcze bez wątpienia był nim ten, co siedemnastoletniego chłopca nominował reporterem. Prawda, zem zasięgnął rady, ale to wszystko było małej wartości. Nasze sądy w owym czasie były prawdziwie zgrozą. Prawa francuskie wykute dla długimi wojnami rozhukanego żołnierstwa nie mogły być stosowne dla młodej, na paskach jeszcze prawie postępującej armii.

Był w 11-ym pułku jazdy, w samych początkach formacji tegoż, jakiś, jeżeli się nie mylę, pan Imański. Więcej zarywał na syndyka niż na ułana. Śpiewał tenorem i lubił kminkówkę. Kiedy mu kazano jechać na placówkę, krzyknął: Ja przyszedłem bronić Ojczyzny, a nie na placówki jeździć! Pan Imański nie był więc ani bardzo posłusznym, ani miłym kolegą. Razu jednego rozciągnął się w stajni na derce, głowę przykrył czerwoną chustką w kraty i zasnął twardo, jak to się śpi w upał po obiedzie. Sierżant budzi go raz i drugi, nareszcie zniecierpliwiony uderza nogą tam, gdzie się zwykle nogą bije - pozycja tylko stosowna mogła go do tego gwałtownego aktu pociągnąć. Pan Imański zaś,

jak ów sztuczny diabełek w tabakierce, jednym szusem stał na derce. Zbudzony nagle ze snu, który go może na sto koni wsadzał, zapomniawszy Ojczyznę, ułaństwo i artykuły trzykroć mu czytane, pamiętny tylko klejnotu swego szlachectwa i bolącej części swojej osoby... odwinął się... machnął... klasło! Sierżant dostał policzka... Zbrodnia!... A więc i sąd niezwłoczny. Pan Adam Potocki, nowy pułkownik nowego pułku, poprawia sobie to szlify, to okulary, co u niego było oznaką nadzwyczajnego wzruszenia... Nie wiedzieć jednak, czy się smuci zgorzeniem, czy się cieszy wyprawieniem solennego aktu, który powiększy anale i pułku, i jego dowództwa. - Nota. Pan Adam Potocki był szlafmycą. Koniec noty. - Sąd zwołany - ale co tu sądzić - przestępstwo jawne - prawo jasne: "Za targnięcie się na przełożonego kara śmierci". Piszą dekret... Imańsiu, oddaj się Bogu! Działo się to w Tyszowcach... Znacie, Państwo, Tyszowce?... Nie... I lepiej! Jest to ni duże, ni piękne miasteczko w Bełżkiem. Cały pułk występuje, ale dla równości pieszo, bo tylko jedna kompania miała konie - z lancami, bo pałaszy niedostawało. Na prawym skrzydle stanęła kompania wyborcza w szlifach i akselbandach pąsowych, a przy niej, w drugiej kompanii, nazwanej ptaszników, w drugim szeregu wielu było i bez ostróg, bo butów nie miało. Ta druga kompania była złożona z samych dzieci lwowskich, po największej części latarników. Starsi żołnierze, nie służbą, ale wiekiem, przezwali ich ptasznikami co później dziennym rozkazem zostało zakazane. Dalej stały kompanie rekrutów, czapeczki tylko granatowe z paskiem pąsowym świadczyły, że będą kiedyś wojskiem. Przed frontem stał jako pryncypalny aktor kapitan Żurowski z komendą swoją, to jest z kilkunastoma tak zwanymi żandarmami samborskimi czy sanockimi, w zielonych mundurach z czarnymi wyłogami. Karabiny nabite (przynajmniej powinny były być nabite). Wyprowadzono delikwenta i gdy mu dekret przeczytano, gdy się jeszcze ceremoniował zając miejsce honorowe... wypada spoza stodoły niby zadychany adiutant... kiwa chustką... woła, krzyczy: Pardon! pardon! Ile sobie przypominam, pan Imański, miarkując z jego twarzy, nie zdawał się wierzyć w prawdę tej sceny, jednak wkrótce potem wystąpił z wojska. W rok później sądziłszy podobnie jakieś wojskowe przestępstwo w Krasnymstawie. Pułk już był starszy, miał kilku dawniejszych oficerów - jednym słowem był już pułkiem. Szef szwadronu, Tomicki, przydował. Między innymi zasiadał kapitan Orzelski, legionista. Dopiero co był przyjechał ze starą żoną i dwoma mułami, co było zjawiskiem uciesznym wówczas dla wszystkich, tak w Krasnymstawie, jak i w całej Lubelskiej Ziemi. Zasiadł także pięćdziesięciokilkoletni Brzozowski, porucznik Kościuszkowski; tego nie zdołał zmusić pułkownik z całą radą gospodarczą do podcięcia pół kurtki i do podniesienia stanu. Zamiast pasa z klamrą, ledwie nie pod pachą, jakeśmy wtenczas nosili, nosił go niżej brzucha... zamiast pałasza spuszczanego aż do kolana nosił swój tak krótko, że w tył podany ledwie ostróg sięgał. Przedrwiwano z Kościuszkowskich, że się nie dość francuszczyli, przedrwiwano później Napoleończyków, że nie mieli dość Konstanyńowskiej lalkowatości - mutantur tempora etc.

Feliks Boznański był reporterem, a kiedy Orzelski na swojej karteczce, skurczywszy indeks na piórze, jak Turek nogę na kulbace, zaczął pisać z zadziwieniem i rozweseleniem razem czytających mu przez ramię: Kara śmierci, Boznański zwrócił ku niemu krucyfiks i rzekł: "Na rany tego, pisz lepiej!" Wtenczas powstał śmiech, jak pewnie nigdy w żadnym sądzie nie słyszano, a winowajcy nie otrzymali i połowy kary, na którą zasłużyli. Nie tak uciesznie skończyła się sprawa w Lublinie, o której moim zwyczajem zacząłem mówić i nie skończyłem.

Jako reporter nie wetowałem w sądzie, Bogu dzięki, a jednak przykre to dla mnie przypomnienie.

Kapral 13 pułku piechoty stojącego w Zamościu wyszedł w nocy z ośmiu żołnierzami na łówkę kartofli. Wracając koło karczmy, pociągnięci wonią anyżu, pukają do drzwi, a gdy Żyd niegłupi otworzyć nie chciał, odbijają okiennicę siekierą, włazą przez okno, piją do woli, a na końcu (tu sęk!) żądają pieniędzy. Dostało się każdemu, dobrze pamiętam, po 5 zł gr kilka. Oskarżeni o kradzież z

wyłamaniem zamknięcia, czyli mówiąc po polsku, o rabunek, stanęli przed sądem. Winę kaprala powiększała ta okoliczność, że był zbiegiem rosyjskim, nie można go było za nowego żołnierza uważać, że podkomendnych namówił do marudy, że nareszcie postawił jednego na straży, nim się do karczmy zbliżył, co dowodziło wcześniej z namysłem chwycone przedsięwzięcie. Na jego zaś uniewinnienie można było powiedzieć, że wyszedł z wojska rosyjskiego, gdzie złodziejstwo jest piątym żywiołem, że był przesiąknięty, żeby się tak wyrazić, innym pojęciem cudzej własności, zwłaszcza kartofli, niż to, jakiego teraz od niego wymagano, że nareszcie on, kapral, pamiętny słów Hipolita do Tezeusza: *Ainsi que la Vertu le Crime a ses degres* (co par parenthese, z przeproszeniem pana Rasyna, jest nonsensem, bo występki kroczy po szczeblach, ale nie cnota), mógł być wnioskować z niejaką pewnością, że i kara *a ses degres*, a nie widząc w wojsku polskim pałek, nie mógł wierzyć słuchając o karze śmierci. *Que la Charte soit une verité*.

Mniej jeszcze winnymi byli współoskarżeni, młodzi ludzie, nowi żołnierze, z równie pustym najczęściej żołądkiem, jak i kieszenią, bo płaca rzadko kiedy kapnęła. Dlatego też nielegalne wycieczki za żywnością bywały karane tylko na zaskarżenie uszkodzonego. Patrzano przez szpary, a każdy, jak ów dzban, nosił wodę, póki ucha stało. Książę Józef potwierdził wyrok pierwszego i wtórego sądu. Miał on wiele powodów do rozwinięcia całej surowości prawa. Wojskowość panowała w Księstwie Warszawskim żelaznym berłem. Mało znaczył obywatel, a jego własność jeszcze mniej. Pod rządem militarnym, jeżeli obywatel więcej znaczy od konia szeregowego, za to o wiele mniej od każdego szeregowca. Nie dość kwaterek napełniający dwory i zajezdne domy nieproszonymi gośćmi - nie dość rekwizycje otwierające spichlerze, a czasem obory i stajnie, jeszcze nikt nie był w stanie ustrzec od napaści swoich owoców w sadzie, swoich stert w polu. Do wszystkiego współka, częstokroć nawet i do... Pani zgadujesz, więc zamilczę. Po wsiach oficerowie, chcąc koncentrować swoje oddziały, wyłamywać kazali ściany, przerabiali na stajnie chłopskie stodoły. Ja sam w Sołeckiej Woli cieszyłem się z moich rozporządzeń i przeistoczeń, nie pomyślawszy ani razu, czy nie niszcę gospodarza zajmując całe jego obejście. Wina to była właściwie starszych. Żołnierz rolnikowi zaglądał głęboko do garnka i do brogu, a wszelki opór pociągał za sobą niebezpieczeństwo osobiste. Ekscesa żołnierskie powtarzały się często, coraz częściej. W Hrubieszowie obywatel z sąsiedztwa, Guzowski, dostał od ułanów obszerną etymologię swojego nazwiska... Natenczas pan Guzowski jak ów leśniczy... ale to inna historia... że zaś niedługa, więc powiem.

Oto tak było: Pewien leśniczy, przedwczesnym pochwycony patriotyzmem, w zielonej kurcie z siwymi barankami i w czapce z kutasem dosiadł żrebną kobyłę i widząc harcujących ułanów 3-go pułku przyłączył się do nich. Kiedy się zwijał, jak mógł najlepiej, jeden z wiarusów, czy krótkiego wzroku, czy podпиты, czy nie mogąc wstrzymać zamachu, czyli też nareszcie biorąc patriotę w nieznanym stroju za jakiego wice-huzara, wałnął go w łeb drzewcem, a grotem.. w udo ugodził... Wtenczas leśniczy, z tym uczuciem, z jakim Brutus pod Filipami wyrzekł; "Cnoto, jesteś niczym!" - zawołał chwytając się za część uszkodzoną: "A niech diabli biorą z taką Ojczyzną!..."

Otóż i pan Guzowski mógł być wykrzyknąć toż samo... i pewnie wykrzyknął, kiedy ściągnięty z bryczki wziął w skórę za to, że przed paru dniami złapał w swoim grochu kilku żołnierzy. Okropna zniewaga, straszna swawola, a jednak prawdę mówiąc, lubo winni zostali ukarani, nie wzbudzał ich występki między oficerami należytego oburzenia. Pod Warszawą zaś Kuszell, kapitan huzarów, pijany, przeczuł metodę Prischnitza, kiedy szlachcica jadącego w dzień ciepły w futrze, kazał z futrem wciągnąć do Wisły, aby się z nim razem kąpał. W Chełmie wobec oficera, a co więcej jednego z mnichów, kapral Czerkieski kapralowi Bilińskiemu dał ślub w zakrystii.

Inni pułkownicy, żyjąc w przyjaznych stosunkach z obywatelami, przytłumiali na miejscu

zdarzające się wybryki swoich podkomendnych, ale pan Adam Potocki, jak to wyżej w historycznej nocy miałem honor powiedzieć, był szlafmycą. Miał żonę, a żona siostry... supreme bon ton! Elegancja wielka, fuma wielka, większe nawet niż dochody. Te damy, otoczone najświetniejszą młodzieżą ich towarzystwa lwowskiego przemienioną nagle w korpus oficerów 11-go pułku, nie dbały o parafiańskie znajomości. Traktowały z góry i cięży bez litości, co się nawinęło, do czego im nie brakło na ostrych żądełkach. Obywatelki zatem, jeżeli lubiły korpus oficerów, nie lubiły sztabu, obywatele zaś nie lubili ani sztabu, ani zbyt czasem grzecznych oficerów. Każda więc skarga szła prosto do ministra wojny, księcia Józefa. W kilka dni po zawieszeniu broni, oddawszy depeşe generałowi Fiszer w Krakowie, usłyszałem od niego ogromną burę. Łajał we mnie, skromnym podporuczniku, pułkownika i pułk cały. Ślusarz przewinił, a kowala powieszono. Zbity z terminu niespodziewaną, a mniej jeszcze zasłużoną naganą, zostałem potem wniwecz obrócony przycinkami oficerów w głównej kwaterze względem mniemanego dowództwa pani pułkownikowej, tak dalece, że już wtenczas chciałem z pułku wystąpić. Za wstawieniem się mego brata, którego zastałem w Krakowie, ofiarowano mi miejsce w mającym formować się pułku kirasjerów Stanisława Małachowskiego, ale wróciwszy do pułku, zakochałem się i zostałem na miejscu. Przestałem już jednak lubić swój mundur, co jest bardzo źle, i dlatego też później przeszedłem chętnie do 5-go pułku strzelców konnych.

Idąc po nitce do kłębka, owa bura Fiszera była więc pierwszym powodem wszystkich nieprzyjemności, a raczej przykrości, których w dalszej mojej służbie wojskowej doznałem, a przeto i powodem do tej goryczy, co tak wczesnie zaczęła wsiąkać w duszę moją. Prawdę mówiąc, nie brakło w naszym pułkowym sztabie dworujących intrygantów i kobiecego wpływu, ale by miała pani Adamowa rządzić pułkiem samowładnie, aby wydawała bony na poziomki, kurczęta albo śmietankę, to bajki wierutne, bezczelne. A jednak te bajki obiegały całą armię i pułk 11-ty, po części może przez zawiść, bo żaden pułk tak świetnego nie miał korpusu oficerów, był powszechnie nielubiony[***].

Wojsko polskie wówczas było piękne, świetne, pełne honoru i odwagi, ale jego życie młode, za obfite, za wiele fermentujących cząstek zawierające, występowało często z krawędzi obywatelskiego porządku. Nie brakło praw surowych, nie brakło i na zastosowaniu tychże, ale brakowało, że się tak wyrażę, policyjnej karności w szwadronach (zbyt trudnej wprawdzie, gdzie żołnierz niepłatny). Nie było szczebli kary i szczebli zastosowanych do ówczasowych okoliczności. Kara ociągała się często, aby w końcu uderzyć surowo, nad miarę. Bądź co bądź, przykład stawał się potrzebnym. Księżę Józef potwierdził wyrok sądów wojskowych lubelskich w sprawie żołnierzy 13-go pułku piechoty. Nie spałem noc całą, trawiony dreszczem i gorączką na przemian. Rano wzięłem na siebie wielki mundur, na głowę czapkę z kitą i udałem się z wyrokiem do uwięzionych winowajców. Więzienie, gdzie musiałem wstąpić, było takie, jakie sobie młodzież czytająca romanse zwykle wystawia. W części zachowanej opustoszałego jezuickiego klasztoru, po ciemnych schodach, a raczej szczątkach schodów, między murami czarnymi wiekiem a mokrymi wilgocią, wszedłem do korytarza, gdzie ni okien, ni stropu, a światło wciskało się tylko dziurami o dwa piętra wyższego dachu. W głębi korytarza w izbie sklepionej, silnymi kratami opatrzonej, stał na środku stół, na stole krucyfiks. Przy drzwiach dwóch grenadierów cicho usunęło w krzyż sparte karabiny, bo i ja cicho postępowałem ku nim, jak gdybym się bał kogo obudzić, jak gdybym chciał stłumić złowieszczy odgłos mych kroków. W alkierzu na lewo pacierze mówiono. Dopiero po przeczytaniu wyroku przeprowadzają więźnia w inne miejsce i księdza przywołują. Ja jednak tak zastałem, jak powiadam. Może z niedoświadczenia uchybiono zwykłym formalnościom.

W alkierzu na tapczanie siedział więzień, głowa na piersi zwieszona, ręce na kolanach złożone, obok niego kapucyn. Wstali obadwa. Mnie głosu zabrakło - ale i w całym gmachu jakby wszelki ruch

zastygł - życie cofnęło się w serca - postawy były jak z kamienia. - "Przynoszę ci wyrok sądu" - odezwałem się nareszcie i lubo cicho przemówiłem, głos mój tak przykro się rozległ, że groźnie wkoło spojrziałem, jak gdybym chciał milczenie nakazać. "Przynoszę ci wyrok sądu" - powtórzyłem. - "Wiem, wiem, panie poruczniku... ale cóż ja tak wielkiego zrobiłem. Zlituj się nade mną. Ratuj mnie". - Ukląkł, objął moje kolano i zaczął głośno płakać. - "Nie lękaj się - rzekłem - wiem, że dostaniesz pardon na placu... Jesteś na śmierć skazany". - Potem rozwinąłem długi wyrok i tylko potwierdzenie ministra wojny przeczytałem. Bo każdy podobny słuchacz może powiedzieć jak Książę Moskwy: "Na co tych frazesów, Michał Ney i garść prochu". Preczytałem więc prędko i kazałem mu przynieść wódki. Stamtąd poszedłem do wąskiej, długiej izby na drugim końcu korytarza, gdzie od kilku miesięcy reszta winowajców czekała wyroku. Tam z wybladłych i zarośniętych twarzy wytrzeszczone oczy wlepiły się we mnie, jakby własny słuch wyprzedzić chciały. Preczytałem: Ośm lat więzienia w kajdanach. Jeden tylko jęk odpowiedział, jęk głęboki, przeciągły, którego nie zapomnę, póki żyć będę.

Nazajutrz na placu przed Kapucynami, tam gdzie teraz pałac komisji wojewódzkiej, czyli raczej, niestety, guberskiej, odczytałem raz jeszcze wyrok z konia wobec oddziałów z różnych pułków zgromadzonych na tę okropną uroczystość. A gdy konia zwróciłem, huknęły wystrzały jakby jeden. Wyrok został spełniony.

Głodny za kartofle... biedny za pięć złotych!... Śmierć! Więzienie!... Konieczność! Konieczność konieczna wyparta zbiegiem okoliczności. Okoliczności zatem jak kostki... jak padną, taka liczba... Ale kostkami gracz ciska, a okolicznościami niewidoma ręka... i dopiero wtedy dowiadujemy się o grze, kiedy już za nią płacić trzeba. Drugiego dnia po tej przeprawie byłem blady, nic nie jadłem... trzeciego byłem smutny, nic nie jadłem, a czwartego wieczór grałem u generałowej Kamienieckiej w Pantofla, Jakubka i Ciuciubabkę.

Ach, Ciuciubabka! Któż z nas nie grał w Ciuciubabkę? Bo któż nie był młodym? Ileż to w niej wspomnień, od kolebki prawie, swawoli, guzów, śmiechu i płaczu!? W Ciuciubabce byłem bieglejszy niż niegdyś w gramatyce, niż potem w reporterstwie... i to o bardzo wiele. Ale ta biegłość wzbudzała oklaski, oklaski miłość własną, miłość własna zuchwalstwo, a zuchwalstwo ściągnęło katastrofę, o której przemilczeć nie mogę.

Co prawda, to prawda, byłem wspaniały, kiedy na środku salonu, z zawiązanymi oczyma, rozciągnąłem ramiona jak orzeł zawieszony w powietrzu, nim na poziome ptactwo uderzy... Cisza wokoło... ani mru mru... puszczam się nareszcie jak z procy... Szmer, krzyk, pisk przede mną i za mną - krzesła się walą, a ja pędzę, gonię i chwytam... piec. Nic nie szkodzi - śmieście się!... Zwracam się niby na łyżwach, posuwisto, pochyło a szeroko ruszam w inną stronę. - Okno! - krzyczą... ja na prawo. - Świece! - wołają... ja na lewo. Potem nagle, niespodzianie, bo w tym sztuka, skręcam od prawego ku lewemu i jak gdybym kosę w trawie zapuszczał, macham w półkola, garnę spłoszoną zgrają... od kąta, do kąta... bliżej, coraz bliżej... aż nareszcie uchwyce w objęcie jaką kitajeczkę, jaki muszlinek - uchwyce i uścisnę - im słabsze, tym silniej...

Ale nie tu jeszcze mój triumf. Ściganym będąc wyzywać, dopuścić niebezpieczeństwo do samej ostateczności, a dopiero wtedy śmiałym skokiem albo zwrotem wymknąć się gładko, to było moim zadaniem, to zaletą posuniętą oklaskami, a nade wszystko uśmiechem panny Anieli, do najwyższego szczytu chwały.

Widok pomyślności jest przyjemny, pomaga do strawności, jeżeli zawiść nie zawieje. Widok walki człowieka z przeciwnościami, czyli, jak mówią poeci, z nieprzyjaznym losem, jest podług tychże widokiem godnym bogów. Byłem tym widokiem, jeśli nie bogów godnym, to godnym generała Kamienieckiego w peruce i nieco kulejącego i nieco jękającego się szefa sztabu. Ale każda walka

ma, jak kij, dwa końce. Slisko zawsze pod nogami. Im wyżej się stoi, tym ciężiej się pada. Tak się ze mną stało.

Razu jednego ścigany od zawziętego przeciwnika, mego rywala, któremu nos ogromny wznosił na oczach przepaskę, byłem przyciśnięty, zamknięty w kącie, jak księżna Berry w kominie. Już czuję nie dym, lecz oddech wroga na mojej twarzy... Już poddać się trzeba... Ale nie... Schylam się, zginam w kłębek i horyzontalny ponad ziemię biorąc zapęd szalony, wysuwam się na środek. Bravo! bravo! - zagrzmiało wkoło, ale jeszcze nie przegrzmiało, kiedy tracąc równowagę... nie powiem: padam... bo to wyraz za słaby, ale rzucam, ciskam sobą pod fortepian aż mi sto świeczek zaświeciło! Leżę jak długi... leżę i nie wstaję... bo czuję, że na lewym kolanie nie ciało, nie kość, ale sukno pękło. W istocie rzeczy przypadek ten względem świata był mało znaczący i nie krzywdzący mnie bynajmniej... i Salomon, jeżeli go nigdy nie doświadczył, to nie dlatego, że był mądry, ale dlatego, że spodni nie nosił. Nie nosił pewnie i znane przysłowie jest jednym z najzuchwalszych anachronizmów. Względem świata nic nie szkodziło, ale względem mojej osoby nad miarę wiele, bo to były moje jedne i jedyne spodnie do wice-munduru, to jest do fraka.

Powinien bym może przeprosić, że używam wyrazu będącego pod klątwą w naszych salonach, jednak nie przeproszę, bo kasty uważam za śmieszność wszędzie, a tym bardziej w odzieży. Dlaczego suknie wierzchnie mają być coś szlachetniejszego od sukni spodnich? Dlaczego w rodzinie tych ostatnich rodzaj żeński cały honor pod siebie garnie? Mówię o spódnicach. Dlaczego nazwę jednej najpotrzebniejszej rzeczy wypędzać z języka, a w koniecznym razie szukać figur bez sensu, aby ją oznaczyć. Jak gdyby nazwa zmieniała istotę wspomnianego przedmiotu, jak gdyby na migi nie można wskazać coś nieprzyzwoitego. Zapewne, spodni nie wezmę za przedmiot ballady ani też je, jak Napoleon swoje N, wcielę w porządek architektoniczny, ani je umieszczę w pierścionku lub medalionie z napisem:

Souvenir, ale mówiąc z francuskim satyrykiem:

Je ne puis rien nommer si ce n'est par son nom,

J'appelle un chat, un chat et Rolet im fripon.

A zatem spodnie nazywać będę: spodnie... Ach! fi! Nieprzyzwoitość - krzykną kongregantki, za którymi wszelkie wspomnienie daleko już leży. Ależ, moje Szanowne Panie, chciejcie się zastanowić, że tam, gdzie absencja jest nieprzyzwoitością, tam obecność musi być przyzwoitością i nazwać ją - hańbą być nie może. Po tej krótkiej rozprawie, która aczkolwiek za rozprawami Towarzystwa Rolniczego Lwowskiego i trzewików nosić niegodna, ma jednak swoją zaletę, bo oczyścić usiłuje język z niepotrzebnych minoderii, wracam do mojej szkody.

Naprawił ją wprawdzie misternym ścięciem krawiec Majorko tak dalece, że strój rzeczony służył mi jeszcze czas jakiś na wieczory niezbyt jaskrawo oświetlone, zwłaszcza że mój giermek zawsze świeżo atramentem bliznę zapuszczał, głęę pamiętałem pałasz trzymać wzdłuż nogi i że zawsze tyłem do światła starałem się stawać, ale rozerwane a sklezione nie trzyma się długo... nawet małżeństwo, a cóż dopiero...! Folgować więc zaczęły, na piękne, tak że koniec końców, obliczywszy i długi, musiałem konia sprzedać... bo łatwiej się obejść bez jednego konia, jak bez jednych spodni, a nie wiem, czy już powiedziałem, że byłem zawsze goły jak święty turecki.

W pułku jazdy zbyt ubranym, a rzadko kiedy płatnym, miałem z domu wszystkiego sto dwadzieścia dukatów rocznie. Kiedy nadeszła półroczna rata, spłaciwszy z niej dłużki, pożyczony nieco kolegom i potraktowawszy trochę, niewiele się zostawało. Było to właściwością owych czasów prawdziwego koleżeństwa, że nikt się nie troszczył, jeżeli grosza nie miał w kieszeni. Nikomu na myśl nie przyszło odmówić koledze obiadu, sukni, nawet butów w nagłej potrzebie.

O dwóch złotych przyjechałem do Lublina jako członek sądu wtórego, ale ledwie wyszedł na

miasto, spotkałem kolegę, który po zwykłym przywitaniu zaraz zapytał: "A ty pewnie goły?" -- "A jużci", odpowiedziałem. - "Przychodźże do mnie na obiad". - "Dobrze".

- Tym kolegą był Franciszek Komorowski, najlepszy człowiek, ale najgorszy żołnierz. Będąc wujem pani Adamowej, został kapitanem od razu w pułku jej męża. Kiedy się rozgniewał na żołnierza, co się rzadko zdarzało, nazywał go Gamułą, nazwano go też i jego samego Gamułą. Żadnej komendy nigdy nie mógł pojąć. Stojąc odwrócony do frontu swojej kompanii, komenderował podług swojej ręki w prawo albo w lewo, dlatego kiedy zwrócił konia, kompania maszerowała prosto na dom, a on drogą w przeciwną stronę. Śmiano się z Gamułka, ale go lubiono, bo wszystkim się podzielił. Daj ci Boże niebo, poczciwy Komorowski, za twoje dobre serce, za twój barszcz i pieczeń, które lepiej smakowały niż później przysmaki Verego albo Beauvillego. Ale i Gamułka nie spoczywał na pieniądzach i był znacznie niższy ode mnie, nie mógł więc pokryć mego deficytu. Zatem, obliczywszy nieodzowne potrzeby, konia trzeba było sprzedać. Kapitan Lemański z 3-go pułku piechoty dobijał targu u Kowalewskiej, przy kielbaskach z kwaśnym sosem. Chytry piechur czytał w mojej myśli, a raczej kieszeni, bo zaciął się w cenie, jak się w mowie zacinał, i kupił tanio. Wątpię jednak, aby miał pociechę, bo to był koń dziwnego charakteru. Szpakowaty, duży, niezgrabny, szedł zwykle jako tako, ale czasem, kiedy, jak mówi Rusin, przystąpiło do neho, zadzierał głowę, jakby chciał gwiazdy na niebie liczyć śród południa, i z największą flegmą kroczył przed siebie, niebacznym na wszelkie szarpanie albo razy swojego jeźdźcy, szedł stępem póty, póki nie walnął łbem w mur lub jakie drzewo, albo póki się nie potknął na rowie lub płocie i pyskiem ziemi nie uderzył. Znałem ja i ludzi podobnego charakteru. Nie zbłąkani ani pędzeni namiętnością, ale z wszelką zimną krwią, rozumując jak najpiękniej, a działając inaczej, idą pomimo napomnień przyjaciół drogą niewłaściwą, aż póki kozła nie wywrócą. Trzeba przyznać, że mnóstwo skłonności i narowów końskich napotykaemy w ludziach. Nie jestże ten podobny do płochliwego konia, zwanego po niemiecku Bodenscheu? Wszystkiego się lęka, własnego cienia, ciągle w zimnym pocie trwogi, rzuca się często w bok z dobrej ścieżki w kałużę i nie dość, że sam się zabłoci, jeszcze drugich obryzga. Albo ten, co jak narowista szkapka nie chce z miejsca kroku zrobić, sam nie wie dlaczego. Albo ten, co zbyt drażliwy na najmniejsze dotknięcie, cofa się, cofa i cofa, choćby za nim i przepaść była. Ten, co wierzga i gryzie dlatego tylko, aby gryzł i wierzgał, więcej wprawdzie do osła albo do muła niż do konia podobny. Ten, co ledwie uczuje łagodną rękę, już ci na kiel bierze. Ten, który póty dobry, póki batog nad nim. Albo nareszcie i ten, co nie hamując swoich dobrych chęci potrzebną rozwagą, ciągnie, dźwiga ciężar nad siły, co się nie ogląda na drugich, bo nie zgaduje, nie pojmuje innej natury, jak tę, którą czuje w sobie.

Szlachetny szaleńcze! Smutny twój zawód, smutny koniec! Idącego naprzód ścigać będą kamienie zawiści, ustającego drwiny schłoszczą, upadłego oszczerstwo pogrzebie.

Ale kiedy mowa o koniach, powiedz, Księżę Proboszczu, albo ty, kochany Doktorze, czy nosił was kiedy wierzchowiec, wzięwszy na kiel? Nie tak jak ów szpakowaty kapitana Lemańskiego, ale na piękne, co się zowie, cwałem, co może wyskoczyć? - Nie - nigdy? -

Szkoda, bo przyznalibyście mi niezawodnie, że gdyby najgenialniejszy człowiek dawniejszych albo nowszych czasów, Aleksander Wielki czy Napoleon, Mojżesz czy Marcin Luter siedział na unoszącym koniu, musiałby mieć arcygłupią minę, tak jak ja nieraz miałem, a szczególnie razu jednego w Warszawie. A to tak się stało:

Księżna Generałowa Czartoryska wyjeżdżała z Warszawy do Puław. Całe jej towarzystwo odprowadzało ją do Wilanowa. Mężczyźni, po największej części wojskowi, konno. Staś i Artur Potoccy, Franciszek Morawski, Skrzynecki, Krukowiecki, książę Konstanty Czartoryski, Raczyński Edward i Atanazy, Kicki, książę Sułkowski, Roźniecki, mój brat Maksymilian i wielu innych. Byłem

wówczas w Warszawie na urlopie, swoich koni nie miałem. Maksymilian dał mi więc swoją klacz angielską - bodajby była nigdy polskiego owsa nie jadła! Nim jeszcze pojazdy ruszyły, ja, a raczej klacz moja już wpadła między przekupki pod Świętym Krzyżem. Gracko rozbiłem babski czworobok, nie ma co mówić. Krzyk, gwałt, kozły na prawo i na lewo, ale byłbym w końcu i siebie rozbił, gdyby jakiś przechodzący ułan nie był wariatką zatrzymał. Złowieszczy był to znak, trzeba było w domu zostać, jednak pojechałem. Przez Łazienki aż do Szolca szło nie bardzo gładko, ale przynajmniej uczciwie. Mojej angielski grzbiet zgarbiony, uszy po sobie położone, szyja ciągle pracująca, jak gdyby przedłużyć się chciała, oznajmiały niejaką wewnętrzną niespokojność, która powoli i mnie udzielać się zaczęła. A wtem... ni z tego, ni z owego, jak się nie kopnie!... Strzała, wiatr! Pędzi jak gdyby zły duch przydujący na wszystkich łamikarkach angielskich ćwiczył jej boki. Trzymam, ciągnę, szarpię, a widząc, że wszystko nadaremnie, pochylam się naprzód i puszczam jej cugle. Udaję, że to nic... że ja tak chcę... że się spieszę. Ale próżne udawanie! Nikt, kogo koń unosi, nie zwiedzie drugich, że dobrowolnie pędzi. Jeno się spojrzysz na jego w tył podaną głowę - w tył podane łokcie - ruch ciała nierówny - oczy ciekawie patrzące, co tam będzie na drodze, czego spodziewać się należy, skoku albo dwakroć niebezpieczniejszego zatrzymania w miejscu - jeno się spojrzysz, mówię, a łatwo poznasz, że bezwładne indywiduum jest igrzyskiem szalonego losu alias szkapy. Poznano pewnie i moje mimowolne wyścigi - ale cóż robić... Pędzę, Farys nowy... Konnica z drogi... karety z drogi... a kiedy już wyminąłem wszystko, co się ruszało, moja Lady zatrzymała się i ja na niej. Jechałem kawał drogi naprzód całego konwoju, jak kozak, co niegdyś w niebieskim kontusiku przodował sześcikonnej karecie Siemianowskiego, starosty korabiowskiego z Koniuszek na sumę do Rudek. Jechałem powoli i po trosze kłąłem, a po trosze poprawiałem, co mi się naruszyło w mym nagłym marszu. Ale nie tu koniec. Ledwie pierwszy pojazd równał się ze mną, moja angielska znowu w nogi i znowu stanęła. Tak pędząc i stając, jakby przy Kalwaryjskich Stacjach, dojechałem przecie Wilanowa, gdzie zsiadłem czym prędzej, aby do Puław nie zajechać. Generał Roźniecki, inspektor kawalerii, którego baliśmy się podówczas, jak się później bano Wielkiego Księcia albo jak się boi diabeł święconej wody, zbliżył się do mnie i zapytał: "Cóż to Wać Pan za sztuki pokazywałeś?" - "Nie mogłem konia zatrzymać" - odrzekłem cienkim głosem. - "Nie trzeba tego mówić - zawołał generał i postawił marsa, w którym był mocniejszy niż w czymkolwiek innym - oficer kawalerii powinien być zawsze panem swego konia - inaczej koń oficerem, a oficer staje się koniem". - Na ten komplement pomyślałem sobie i niejedno, ale nic nie powiedziałem. Bo inne myśleć, a inne mówić, rzekłby ś. p. Wojewoda Podolski, mój antenat.

Roźniecki był generałem inspektorem kawalerii, która tylko tradycyjny miała regulamin. Zachodziły więc czasem małe różnice między pułkami, tak w komendzie, jak i pomniejszych obrotach. Miał zatem zawsze pan inspektor, sam doskonały kawalerzysta, obszerne pole do poprawy i do nagany. Sadził się on na koncepta, z których nieraz i ten, co był napominany, musiał się roześmiać.

Najwięcej to się zdarzało, kiedy kazał wystąpić oficerom w szereg do pokonnych obrotów. Konie dzielne, przyzwyczajone do ostrego zażycia, nie zawsze odpowiadały wymaganej dokładności. Powtarzane więc były w całej kawalerii koncepta Roźnieckiego i niemało śmiechu wzbudzały, bo przyznać trzeba, że były równie trafne, jak dowcipne, a wyrzeczone zawsze z najsurowszym marszem na czole. Nikt pewnie w armii nie byłby wówczas przeczuł jego haniebnego końca.

Wróciłem do Warszawy z dłuższym nosem, niż wyjechałem. - Dlaczego? - Bo mnie koń nosił. Ach jakżeby mi się zdała owa twardousta angielska między Gotha i Eisenach! Niechby przydrwiwano, niechby jaki Roźniecki i przyciął dowcipnie, ja nie brodziłbym po błocie, bo między Gotha i Eisenach w czasie odwrotu wojska francuskiego spod Lipska było błoto. Strudzony już nie skakałem

z kamyka na kamyk, jak zrazu, ale szedłem środkiem drogi obok markietanki, z której rąk skromne łyknąłem śniadanie. Szedłem ze wstydem w hurmie trainardów, których rój zwykł bezpośrednio poprzedzać ariergardę. Ich pstra, swarliwa, rozwlekła kolumna rozszerza się i niknie prawie wstępując do wsi, jeżeli się jaka trafi na samej drodze. Każdy jak pszczoła, a raczej jak szerszeń, szuka, gdzieby mógł jeszcze swój dziób zapuścić, aby czego zaczerpnąć, a za zbliżeniem się bębnow albo wystrzałów kolumna wysuwa się ze wsi kończato i znowu jak leniwy strumień płynie dalej drogą. Kiedy tak idziemy, moitié promenant, moitié chassant, jakiś szmer, jakieś poruszenie od czoła wzdłuż przechodzi. Słowo elektrycznej siły budzi i kurczy kolumnę w jedną dziesiątą część jej pierwotnej rozciągłości - tym słowem było: Cosaques! A raczej podług wymowy konskrypcjonistów francuskich - Cousaques!

Żołnierz francuski, dzielny w boju, rzadko kiedy wypełnia rozkazy jako ślepa część całości, ale zawsze jak myślące indywiduum. Nikt nie zgadnie, w ilu francuskich tornistrach leży patent na pułkownika, generała albo i marszałka. W armii francuskiej nie ma żołnierza, który by tak jak w rosyjskiej lub austriackiej uważał rangę oficerską za niepodobną do osiągnięcia. Ale ta sama indywidualność chwalebna w boju, gdzie zwykle więcej dusza niż ręka zwycięża, staje się w obozie i w marszu, a zwłaszcza odwrotnym, trudną do ujęcia w karby dyscypliny, zapewniającej trwałość szeregom. Wojsko francuskie trzeba aby szło z boju w bój, inaczej rozplywa się, niknie, nie tyle w ogniu, ile przez ciągłe odstępowanie sztandaru w celu osobistej korzyści. Póki armia posuwa się naprzód, wlecze się za nią na parę mil wszere chmura maruderów i trainardów, najwięcej demontowanych kawalerzystów na krajowych szkapach, wózkami albo i pieszo. Od czasu do czasu, przy przejściu jakiego miasta lub rzeki, wysłani oficerowie sztabowi zatrzymują taką kolumnę, porządkują i odsyłają do właściwych pułków. W Saksonii byłem świadkiem, jak sam Cesarz tym się zajął i przy sobie kazał z furgonów nową broń bezbronnym rozdawać.

W odwrocie armii maruderzy, to jest żołnierze, którzy oddalają się bez pozwolenia, wpadają po największej części w ręce nieprzyjaciela. W Starej Gwardii maruda była karana przewróceniem munduru do góry podszewką. Przy końcu, gdy już wszystko rozpręgać się zaczęło, widziałem ariergardę pułkową, jak strzelała do oddalających się grenadierów. Dla Francuza Kozak jest najnieznośniejszy. Francuz mówi do Kozaka: "Daj mi zgotować moją zupę, bo bez zupy obejść się nie mogę, a potem bić się z tobą będę, póki zechcesz". Kozak zaś odpowiada: "Bić się nie lubię i nie będę, ale nie dam ci ani jeść, ani spać, póty, póki strudzonego nie schwycę bez niebezpieczeństwa". Francuz lekkomyślny, Kozak roztropany. Francuz nie dba i o życie, jeżeli je ciąglą strażą i ciągłym postem chronić trzeba. Kozak i trzy dni jeść nie będzie. Byle miał kawał chleba, nie stoi o gotowaną strawę, wszystko zniesie, byle niebezpieczeństwa uniknąć. Francuz porzuca swoją kolumnę, idzie sam nie wie gdzie, ni którędy powróci. Kozak ma niepojęty talent orientowania się; nigdy nie zapuści się tam, skąd cofnąć się nie można. Uchodzącego trudno dogonić, bo pierwej wyrachował, jak dalece zbliżyć się można. Nie przetniesz mu drogi, nie wpędzisz na bagna, bo choćby pierwszy raz był w jakim kraju, zgaduje ledwie nie psim instynktem ścieżki i przesmyki, których trzymać się należy. Śpiącego nikt nie zeszedł. Czujny jak żuraw. Nie ma on szlachetnej odwagi, nie ma wstydu tchórzostwa. Nie uderzy na nieprzyjaciela, jak tylko trzech na jednego. Na lufkę nie natrze za nic w świecie. Za pierwszym armaty wystrzałem niknie jak kamfora. Kozacy są niestrudzeni - na lekkich, wytrwałych, mało paszy i spoczynku potrzebujących koniach przenoszą się z wielką szybkością z miejsca na miejsce, aby się skupić i uderzyć niespodzianie na nieprzyjaciela, a zawsze w przeważającej liczbie. Pod Mirem 1812 r. sześć pułków ułanów, 6 000 koni, jak las proporców, zostało rozbitych przez Kozaków. Roźniecki chciał zrobić jakąś demonstrację większych sił, rozciągnął linię, a Kozacy wpadli z wszystkich stron, złamali, zwinęli w kłęb cały szyk przemądry,

ścigali i brali, co chcieli. Generał Dwernicki powiadał mi, że raz na manewrach pod Warszawą Wielki Książę mówił do niego: "Żeby był Roźniecki tak manewrował pod Mirem, nie byłby, dureń, wziął w skórę". Ledwie odjechał, przypada Roźniecki i pyta, co mówił Wielki Książę? Dwernicki powtórzył z opuszczeniem, rozumie się, epitetu. A na to Roźniecki: "Ten dureń rozumie, że w batalii to jak na manewrach".- I ten miał rację, i tamten także. Pod Romanowem 1-szy pułk Strzelców konnych Przebendowskiego, jeden z najtęższych, obkoczony przez przemagającą liczbę Kozaków, stracił połowę ludzi. Nieszczęsny to był wstęp kampanii.

I przy wielkiej armii służba jazdy małymi oddziałami stawała się niemożliwą. Wszędzie hurma Kozaków. Dziesięciu na jednego. A cóż dopiero za Moskwą, gdzie pułki jazdy i po dwieście ludzi w szeregu ledwie liczyły, gdzie przy drodze źdźbła paszy nie było, gdzie o milę w bok, a czasem i więcej trzeba było wysyłać, nie po siano, bo tego rzadko kto znalazł, ale po słomę, i to nieraz ze strzechy zdartą. Szła trzecia część pułku za furazem; z tej trzeciej części połowa tylko mogła go brać, bo druga połowa ucierała się z Kozakami. Częstość zatem oddział po furaz wysłany wracał z próżnymi rękoma, o kilku ludzi mniejszy, a zawsze słabszy w koniach. Dodawano później furazerom oddział piechoty.

Kawaleria francuska zawsze niepokoiona, zawsze trafiająca na przeważające siły, musiała uwierzyć w nieprzebraną liczbę Kozaków, tak że na końcu w jednym dziesięciu widziała, że nazwisko Kozaki stało się wyobrażeniem nigdy nie osiągniętej i z wszystkich stron niespodziewanie, jakby z ziemi wyrastającej przemagającej siły. Dlatego z czasem Kozak stał się powszechnym straszidłem. W pamiętnym odwrocie z Moskwy Kozacy na lekkich koniach, nawykłych wraz z nimi do zimna i głodu, do śniegów i lodów, łatwą mieli sprawę z Francuzami rozłazącymi się swoim zwyczajem na wszystkie strony właśnie wtenczas, kiedy skoncentrowane tylko siły mogły odierać większe niepokoienie niż nacisk nieprzyjaciela, a przeto czynić bezpieczniejszym i wygodniejszym marsz dzienny i nocny spoczynek. W armii francuskiej, ze względu na jej własność i usposobienie, podzieliłbym kawalerię na trzy rodzaje. Kawaleria przedniej straży na wzór Kozaków, nic w niczym nie zmieniając, kawaleria liniowa i kawaleria tylnej straży, która by zbierała odłączających albo z tyłu wlekących się żołnierzy i formowała ich w oddziały. Te oddziały, nim by sposobność dozwoliła zwrócić je pułkom, robiłyby użyteczną służbę przy lazaretach i konwojach, a żołnierz wiedząc, że nie będzie mógł samopas wędrować, trzymałby się ściślej swojego szeregu. Ile to trudu i szkody nie wyrządziło czasem pojawienie się kilku Kozaków między powózkami wlokącymi się za armią. Takie oddziały demontowanych kawalerzystów i pieszych maruderów czyniłyby podobne napaście zupełnie bezskutecznymi. Wojsko francuskie, nieustraszone w boju, lękało się napaści kozackiej. Ta bojaźń, przechodząca czasem w paniczną trwogę, rozciągnęła się z 1812 r. i na późniejsze lata tej wojny. Okrzyk: Nieprzyjaciel! znaczył tyle co: Do broni! Naprzód! - Okrzyk: Cousaques! tyle co: W nogi, kto może!

Widziano jednego wpół zgłodniałego i chorego konspiracyjona francuskiego, na takiej samej jak on szkapie, kiedy wszelkich sił i sposobów używał, aby ją skłonić do prędszego chodu, bo miał do tego ważne powody. Tłukł wpół złamanymi ostrogami i pałaszem płazował i sam posuwał się na kulbace, jak gdyby sobą chciał naprzód popchnąć i kłął płaczliwie: Sacrrr... sacrrrée rosse!... Ale to wszystko nadaremnie. Truchcika tylko mógł wydusić, a z tyłu za nim wrzawa coraz głośniejsza, bieda coraz bliższa. Nareszcie nieborak udaje się do ostatniego środka, do tego, który na nim największe robił wrażenie, chce nim konia zelektryzować - schyla się na kark, przybliży usta do ucha końskiego i krzyczy grubym głosem: Cousaques! Cousaques!... Ale koń zamiast dernać, nie czując już ostróg, stanął nagle, a Francuz przez łeb zleciał. Co się dalej stało, nie wiem.

Wszystko to, co miałem honor powiedzieć, tłumaczy, dlaczego między Gotha a Eisenach słowo

Cousaques! wyrzeczony na czele, a dwakroć powtórzony z tyłu, skurczyło nagle, jak mówiłem, kolumnę trainardów, czyli po polsku mówiąc włóczęgów. Na górze po prawej stronie, blisko wierzchołka, stał w samej rzeczy oddział może dwudziestu Kozaków i patrzył na nas, jak patrzy kot ze strzechy na wróble, czekając sposobności rzucenia się na nie. Ale w naszej kolumnie były karabiny tu i ówdzie, a karabina Kozak zdecydowanie nie lubi - było nas i za wiele, gra niepewna. Ograniczyli się więc na obserwacji, konwojując nas wzdłuż drogi, a zawsze dalej, jak wystrzał mógł sięgnąć. Że zaś nikt nie mógł zgadnąć, czy za każdym pagórkiem nie ma ich więcej, podróż nasza straciła wszelką swobodność. Nareszcie, kto idzie, dojść musi, jeżeli nie zagręźnie jak Skrzynecki, a więc i ja doszedłem do Eisenach, spocony, zabłocony, w wykrzywionych butach i o jednej ostrodze. Biegnę czym prędzej do salonu służbowego. - "Mój płaszcz? Mój płaszcz biały?" - pytam, wołam - nikt nie widział, nikt nie słyszał. Płaszcz przepadł na hańbę rycerstwa sztabowego, a utrapienie moje. Zdaje się, że w odwrocie z Moskwy powinienem był wykupić się hojnie od wszelkiego zimna na całe życie. Ale nie. Przeznaczenie jednych kwiatami, a mnie szronem obsypało. Mróz był zawsze prześladowcą moim, nieraz ścinał mi słodki napój, którym młodość częstowała. Nawet w moich dniach pięknych, nie w Aranjuez, ale w Lublinie, marzłem na kwaterze "pod Białym Koniem". Smutne tam przebudzenie, gdzie arabeski po szybach, a sople u drzwi, smutne przebudzenie, przykra toaleta, a cóż dopiero jaka bądź praca!? Francuzi pletą o poetach, co gdzieś pod strychem grzali się własną fantazją. Ja takim zjawiskom nie wierzę. Zimno chwyta duszę pierwiej niż ciało. W zimnej izbie nie ma mędrca. Później w Wilnie w dużych pokojach pustych, gdzie mnie ukrył poczciwy Michał Minejko, i śwędu nie było. Długie tam były dni i nocy moje. A teraz, w Eisenach, tracę płaszcz i znowu staję oko w oko z moim wrogiem, z zimnem.

Można sobie wystawić, w jakim humorze wyszedłem ze salonu, i kiedy klnę różnymi językami, spotykam Onufrego. Wtedy, wyznaję ze wstydem, wyznaję ze szczerym żalem, uderzyłem niewinnego, uderzyłem mocno pomimo przekonania, że on nie mógł czekać na mnie z końmi w Gotha, że nie on winien, iż zasnęłem w niemieckich puchach, że pieszo podróżowałem i że płaszcz straciłem. Trzeba było zemścić się, zemściłem się na niewinnym. Wiercie mi, moi Państwo, że tej czynności przebaczyć sobie nie mogę. Zła to zawsze sprawa słabszego z mocniejszym. I nie każdy mocniejszy, tak jak ja w tym razie, wyrzuca sobie popełnioną niesprawiedliwość. A choćby ją sobie i wyrzucał, czyliż jego żal, jego zgryzota sumienia zagoi ranę, którą w drugim sercu wyzarła zjadliwa trucizna niesprawiedliwość.

Przejdźmy myślą nasze życie; wszystkie w nim zawarte cierpienia przeszły w mniej więcej żalotne wspomnienia, ale niesprawiedliwość doznana choćby to w dzieciennym wieku, choćby za fraszkę, pozostaje zawsze świeżą boleścią, zawsze zarodem goryczy, która się rozlewa przy każdej sposobności. Jest ona w duszy jak owa plama wilgoci na murze, trwa ciągle, lubo nikt nie wie, kiedy i skąd uzbierały się krople, co ją utworzyły. Są niesprawiedliwości, które na nas spadają jak piorun, jak owe uderzenie Onufrego, od osoby do osoby, ale są i niesprawiedliwości ciągle, powoli nas otaczające, niesprawiedliwości, które jakiś fatalizm zamknięty w naszej indywidualności zdaje się ścierać na nas. Ileż to razy dysekowałem moralnie sam siebie, porównywałem z innymi, starałem się dociec, dlaczego zawsze od wszystkich prawie źle byłem rozumiany. Każde moje słowo najprostsze, najwyraźniejsze w najobojętniejszej rozmowie, przybierało w drugiego pojęciu znaczenie inne, jak miało w istocie, a zawsze cierpkie, zawsze ubliżające. Listy moje, zwykle niedbale pisane, stawały się dla mnie powodem niejednej głębokiej boleści, bo podpadały rozbiorowi jakby jakie enigmatyczne zadania, tłumaczono je, a zawsze na złe, nigdy na dobre. A jednak wadą moją jest i było, że głośno myślę, że zdanie moje otwarcie powiadam, ale zawsze więcej, by je poddać dyskusji, niż żeby nim wyrokować. Otwartości świat nie pojmuje, tylko u

głupiego, u rozumnego zaś bierze zawsze za dobrze wyrachowaną larwę. Wyrzec się wdzięczności można, każdy rozsądny człowiek powinien jej nawet unikać. Urazę przebaczyć można, nawet zapomnieć. Ale zawsze, nieustannie, najczystsze zamiary, najgorliwsze usługi, najniewinniejsze słowa widzieć przekręcone, w truciznę zmienione, i nie być w stanie wyszukać w sobie przyczyny, to musi koniec końców obudzić wiarę w jakiś niezłomny fatalizm. To może odtrącić od tego świata, który mnie nie chce. Mało, mało trzech murów między mną a ludźmi, abym mógł używać tej spokojności, która jest jedynym moim celem, tego szczęścia, którym mnie Bóg w domowym zakresie obdarzył. Połamałem moje pióro autorskie nie, jak mniemano, dla równie złego jak głupiego artykułu bezimiennie ogłoszonego, bo autor sprzedał się obcej nieprzyjaźni, i to nieprzyjaźni za przyjaźń, za ważną nawet usługę. Porzuciłem urząd, gdzie moja miłość własna mogła być ulec chęci ścigania za popularnością. Staralem się, jednym słowem, zostać i zostałem głupim dla świata. Ukryłem się w cieniu głupoty przed cięciem, a jeszcze nieznośniejszym brzękiem człowieczych komarów, trutniów i bąków - a jednak i w tym gęstym cieniu nie mogę uniknąć zetknięcia się ze światem, które staje się zawsze dotknięciem elektrycznego druta - przykrym, a często i bolesnym. Oskarżać świat cały - szaleństwo, oskarżać siebie - niesłuszność. Dalej więc milcząc i nie myśląc, dalej po ostrej drodze, wypchnięty pielgrzymie! Każdy dojdzie kiedyś do swego Eisenach, ale czy płaszcz znajdzie, to wielkie pytanie.

Skończyłem smutną historię mojego białego płaszcza. A teraz powiem, jak podobno przyrzekłem, co się działo w Galicji 1809 r.

Znał kto z Waćpaństwa Dobrodziejstwa pana Stecewicza? - Nie? - Szkoda... Był to dobry człowiek, miał wzrost ogromny, nos duży, rzadkiej wielkości nogi, koszulę zawsze brudną i część ubioru nieodzownie potrzebną zawsze podartą. Dlatego zapinał surdut aż pod szyję i siadał wąsko. Był on dyrektorem alias pedagogiem moich młodszych braci. Teraz już dyrektorów nie ma, sami guwernerowie, ale onego czasu pan Stecewicz był dyrektorem, guwernerem zaś pan Płachetko, na drugi zawód w domu naszym. Dwie osobliwości łączył on w sobie, pierwsza, że był guwernerem Polakiem w owym czasie zatapiającej nas francuszczyzny, a druga, że brodę golił bez zwierciadła. Poważna to była figura pan Płachetko, ale można było o nim powiedzieć, przekręcając znane przysłowie: Nie tak mądry, jak się zdaje. Boską to były plagą owe guwernery, chodzące Wszechnice. Guwerner dawniej brał obowiązek kształcenia duszy i ciała. Uczenia przy tym kilku języków, wszystkich wiadomości i niektórych innych. Udzielał często nauki muzyki i rysunku, a co najdziwniejsza, że czasem sam mało co umiał. Z rozbiorem Ojczyzny zamknęły się narodowi polskiemu właściwe mu rodzinne szkoły. Powstały obcym językiem uczące obczyzny. Kto tylko był w stanie, wychowywał dzieci w domu, do czego stali się wielce pomocnymi emigranci francuscy. Ale ci emigranci, nieszczęściem jedynie w pedagogów zmienieni, niewiele więcej uczyć mogli jak własnego języka. Niereligijność, która kraj nasz zawiąła od zachodu, wychowaniu w duchownych zakładach zrobiła koniec. Pod edukacyjnym panowaniem francuskich guwernerów nie tylko że się gruntowna a do potrzeb kraju stosowna oświata cofnęła, ale, co gorzej, wychowanie młodzieży i nadal fałszywy wzięło kierunek. Najbardziej szkodliwe, moim zdaniem, stało się zaszczepienie możliwości domowego wychowania, które dotąd silne jeszcze, niestety, rozkłada konary. Nauczyciele owi cudzoziemcy uczyli, co umieli i czego nie umieli, ale bez żadnego systemu. Dlatego każda zmiana guwenera była zmianą sposobu i porządku w naukach. Każde nowe ich absolutne panowanie zaczynało się od najłatwiejszego, to jest od potępienia wszystkiego, co jego poprzednik założył. Moim pierwszym autokratą umysłowym był Hekel, Szwajcar o łbie kędzierzawym i kabłąkowych nogach. Szlufował kamienie, łapał ptaszki, nietęgo uczył, ale tęgo ciągnął za uszy. Lubo często nazywał mnie Sztokfiszem, powiem, niepomny urazy, że o ile sobie przypominam, był to człowiek

światły, przy tym i muzyk niezły. Po nim nastąpił pan Płachetko, o tym już wyżej. Na koniec, trochę już za późno, zwrócono się do trybu szkolnego i berło przeszło w ręce pana Trawińskiego. Obfita w zdarzenia i przemiany, acz, niestety, krótka jego historia. Z pedagoga, w całym znaczeniu tego słowa, stał się nagle dziwaczno wykwinnym elegantem. Z eleganta został żołnierzem w wojsku polskim 1807 r. Przeszedł z pułku Chevauxlegerów Gwardii do 7-go podobno pułku Legii Nadwiślańskiej, będącego wówczas w Hiszpanii. Tam awansował na kapitana i zebrał sobie nieco pieniędzy. Ostatni raz widziałem go w Paryżu po abdykacji cesarza Napoleona. Dał nam śniadanie au Rocher de Cancale i pożyczył pieniędzy. Wróciwszy do kraju, wziął dzierżawę pod Tarnowem. Tam został od swoich służących zamordowany, tak jak król angielski.

Za młodym jeszcze byłem, abym był mógł z Maksymilianem, Sewerynem i Trawińskim umknąć do Warszawy, przeszedłem więc z młodszymi braćmi, Julianem, Henrykiem i Edwardem, pod powtórne panowanie pana Płachetki jako guwernera i dyrektora pana Stecewicza. Pierwszy miał uczyć po francusku, muzyki, przyzwoitości, obyczajności etc. etc. Drugi zaś kontynuować rozpoczęte przez pana Trawińskiego nauki szkolnym trybem prywatnie, których egzamina w domu zawsze kosztowały parę fasek masła. O Płachetko! niech ci Bóg, przed którym już stoisz, przebaczy, ale ja nie mogę, żeś mój czas najpiękniejszy od 1807 do 1809 zabił, zamordował bez litości. Książki w rękęnie wziąłem. Jeżeli czytał, to romanse. Mój ojciec zajęty interesami, a szczególnie fabryką żelaza, którą założył w Ciśnie, rzadko bawił w domu. Nie mógł więcej dla dzieci zrobić, jak do ogólnego dozoru wziąć guwernera, a do szkolnych nauk dyrektora. Odpowiedzialność więc cała ciążyła na panu Płachetce. Pan Płachetko nic nie robił, nie robiłem i ja nic. Polowałem, jeździłem konno. Wtem nagle, nie pamiętam z jakich powodów, chwyciłem pióro i... napisałem komedię pod tytułem: Strach przestraszony.

Jeżeliby kto znalazł książkę in 8-vo, w skórę oprawną, w której pierwsza połowa wycięta, bo ta książka była kiedyś rejestrem, a druga zachwyca oczy tytułem: "Strach przestraszony, komedia w jednym akcie" - niech ją wróci memu potomstwu, bo to jest moje dzieło. Ale daremne wezwanie! Próżne nadzieje! Przepadł drogi rękopis, jak przepada skarb niejednen w wirze ludzkiej ciemnoty.

Nie mogę wstrzymać się i muszę wam, kochani, a zwłaszcza cierpliwi moi słuchacze, opowiedzieć treść tej krótkiej, ale pięknej komedii. Aby jednak stała się zrozumiałą, należy cofnąć się nieco i rzucić okiem w nasze zwyczaje domowe.

Był więc zwyczaj, że co niedzieli dzieci wyprawiały bal, tak zwał się bankiet, na który otrzymywały prócz codziennych jabłek trochę suszonych śliwek i wiszni, trochę rodzenków i migdałów i kawałek cukru. Mój brat Seweryn, szef szwadronu gwardii (nie wówczas, ale później) jako najstarszy[****] przywłaszczył sobie jure fortioris zazdroszczony urząd kuchmistrza. On siekał, skrobał, nadziewał śliwki rodzenkami, a rodzenki migdałami, kiedy tymczasem młodsze rodzeństwo, obsiadłszy mały stoliczek zastawiony cynowymi talerzykami, czekało niecierpliwie pierwszego dania. Nareszcie, gdy nadeszła chwila pożądana, półmiski wypróżniały się w mgnieniu oka, nie bez zatargów i nie bez pokrzywdzenia najmłodszych, pomimo reklamacji piastunek. Często też kończyło się na płaczu i dopiero cała śliwka wpakowana w gębę wzięła z sobą ostatnią łzę sunącą się po nosie. Czasem i bunt powstał; rzucano się na surowe kuchenne materiały - a gdy kuchmistrz nie mógł ich już obronić, rozdawał szturchańce i ciągnął za nosy, ale rodzenki osładzały wszystko. Mój brat Seweryn, o cztery lata starszy ode mnie, był do swoich lat trzynastu dokładnym egzemplarzem (tak we Lwowie nazwanego) lamparta. Swawolny, nieposłuszny, zawsze w' zdeptanych trzewikach i podartej czapce, którą uczył psy aportować, był dla guwernera prawdziwą plagą. Szczególne miał upodobanie szcuć świnie psami i nieraz Cusin, ówczesny guwerner, Francuz, przyprowadzał go za ucho z tego polowania do lekcji i za karę przywiązywał sznurem do stołu. Z tego powodu napisał

Seweryn komedię, której osoby były: Cusin, Sewercio, Burda (kundys) i Świnia. Tak to talent dramatyczny w naszym rodzie parł się w górę wszystkimi porami. Seweryn uczył się lepiej ode mnie, ale ja byłem poważniejszy... nigdy nie byłem dzieckiem. Dlatego mnie zwano Staruszkciem. Ale któż by mógł później odgadnąć tego swawolnego Sewercia w naszym poczciwym, kochanym Sewerynie, grubym, poważnym obywatelu, zawołanym gospodarzu, a którego humor skłonniejszy był do smutku niż do wesołości. Otóż wracając do rzeczy taki bal dziecinny był treścią mojej sztuki. Osoby były: Pan... zapewne Cnotliwski, ale nie pamiętam, równie jak nazwiska synka i córeczki pana Cnotliwskiego - Michał lokaj - i Szafarka. Rzecz się zaczyna: Pana nie ma w domu, dzieci narzekają, że niedziela przejdzie bez balu. Michał obiecuje im dostać śliwek, rodzenków itd. Ubiera się w prześcieradło, jak to zwykle wystawiają duchów, i idzie do spiżarni straszyć szafarkę. Szafarka przestraszona kryje głowę w beczkę z mąką, Michał ładuje kieszenie nie tyle dla dzieci, ile właściwie dla siebie. A wtem... otwierają się drzwi... wchodzi Pan... Kolej na Stracha przestraszyć się... Michał kryje głowę w drugą beczkę. Rozwiązanie następuje prędkie i jasne, zamknięte nareszcie sensem moralnym. Widzicie więc, moi Państwo, że komedia nie była bez planu i pewnie byłaby i nie bez efektu scenicznego, gdyby była przedstawiona w teatrze. - Szkoda! Był w naszym domu nauczyciel muzyki, Mikołaj Matłowski... poczciwy, dobry Matłowski... Dziwną miał zaletę, mógł kilka godzin siedzieć wyprostowany na jednym miejscu i nic nie mówić i nic nie robić, jak tylko od czasu do czasu zażyć tabaki i utrzcć nosa w kraciatą chustkę z wymaganym rozgłosem. Jego wybrałem na słuchacza tym śmieiej, że obawa, która mnie w ciągu całego życia nie odstępowała, abym kogo nie znudził, nie mogła względem niego mieć miejsca, bo w niczym nie naruszałem jego moralnej i fizycznej nieruchomości. Poczciwy Matłowski uśmieiał się serdecznie z conceptów Michała. Pokochałem go za to jeszcze więcej, niż go kochałem, i odwiedzając jego pochwały przestałem brać od niego lekcje na fortepianie. Niemały z niego zdjąłem ciężar. Cztery lata uczyłem się i nigdy zrozumieć nie mogłem, czego właściwie żądają ode mnie. Przy lekcjach zawsze nogami dzwoniłem, oczywiście nie w takt i nieustannie wciągałem nosem, vulgo siąkałem, co jest niezawodną oznaką słabego usposobienia ucznia i powinno zwracać uwagę rodziców. Jeżeli podrostek mocno siąka przy muzyce - nie tracić czasu. Czasem zły muzyk bywa dobrym jurystą. Jeżeli zaś siąka i nad kodeksem, czym prędzej dajcie mu ołówki, może będzie malarzem. Ale jeżeli zawsze i przy każdej nauce siąka i siąka - to hebes jak Bóg Bogiem. Scientia nic z niego mieć nie będzie. Niech się czepia dworów. Śmiech Matłowskiego ochrzcił mnie na autora. Przy tej sposobności muszę zrobić uwagę, że sposób najdzielniejszy podobania się - jest łatwość śmiechu. Śmiech jest nieudaną aprobatą conceptu... a aprobaty, któż nie lubi?!

Sukces nadzwyczajny mojej komedii zawrócił mi głowę, wzięłem się do tragedii. Ale ta ograniczyła się na tytule wielkimi literami napisanym; "Rzeź Pragi" i na spisie osób, na czele których, jak' łatwo zgadnąć, stali Suworow, Zajączek i generał Jasiński. Zdaje mi się nawet, że zacząłem pierwszy wiersz pierwszej sceny wyrazami: "O Ty! co..." albo: "O Ty! który..." co zawsze wielki efekt robi w stylu poważnym tak, jak inwokacje w kazaniach, które budzą wszystkie uśpione baby do ryczącego westchnienia, albo jak w teatrze owe oklepane sentencje o cnocie, honorze, miłości ojczyzny. Bo trzeba wiedzieć, że nigdzie nie ma tylu czcicieli cnoty, ile w teatrze, lubo w zamęcie owych szlachetnych uniesień najwięcej ginie chustek i zegarków.

Ale jeżeli zostałem dramaturgiem bez żadnego wyraźnego powodu, nie tak się ma co do poezji. Okolicznościami bowiem pchnięty dosiadłem Pegaza. Długo już przemyślałem, jak to opowiedzieć, bo to działo się w wojsku, a koszary nie salon. Ale historia jest historią, ma swoje żelazne prawa, z których wyłamać się nie zawsze można. Będę jednak starał się, bądźcie, Panie, pewne, omglic, ile możności, wszelką szorstkość przedmiotu. A więc do rzeczy.

W Krasnymstawie mieszkalem razem z podporucznikiem Jakubem Nowickim, który miał służącego Franciszka. Razu jednego wziąłem wstępny bojem (necessitas frangit legem) pewną nieodzowną, acz tylko płócienną część ubioru, którą to słońce nie zwykło oglądać. Kiedy zaś kolega uporczywie upominał się o zwrot swojej własności, napisałem wierszyk pod tytułem: "Żale Jakuba nad utratą g.i". Zwrotki kończyły się powtórzeniem: "Franciszku! Gdzież g...e moje?" Ta poezja zrobiła w pułku furorę. Ale jeden z kolegów, Dąbrowski (zginął pod Możajskiem), wziął mnie na stronę i zwrócił moją uwagę, że w kilku wierszach nie ma średniówki. - Średniówki?... Co to średniówka? - zapytałem. Dąbrowski wytłumaczył i to była pierwsza oraz jedyna nauka rymotwórstwa, którą w życiu otrzymałem. Uzbrojony w średniówkę, rzuciłem w świat parę kawałków, których tytułu powtórzyć nie mogę, a których sława przeszła krańce nawet pułku.

Później we Francji spróbowałem rodzaju uczuciowego - napisałem do Ludwika Jelskiego ładny wierszyk zaczynający się:

Miłość jest równie
Bujna topoli.
Wzrasta gwałtownie
Na miękkiej roli.

Ale kiedy razu jednego zacząłem deklamować w gronie kolegów, jeden z nich, gbur nieokrzesany, dodał zaraz do mego pierwszego wiersza "Miłość jest równie" - swój rym arcynieczysty, co mnie tak zbiło z terminu, że na długi czas dostałem wstrętu do uczuciowego rodzaju.

W roku 1807- 1808 mieszkaliśmy we Lwowie u Judki, na rogu ulicy Sykstuskiej. Niczego się nie nauczyłem, wyjąwszy fechtunku, tańcu i ekwitacji, co mnie jednak nie wyprostowało, bo się zawsze pochyło trzymałem. Zacząłem wprawdzie i lekcje matematyki, ale za trzecią dostałem febrę. Z Ignacym Konarskim jeździliśmy konno - było nas wszędzie pełno. Lansadowaliśmy najczęściej pod oknami pańskich konwiktów, a gdy pańien nie było w oknie, jeden z nas krzyknął: Gwałt! gwałt!... co do okien ściągnąć musiało. Złożywszy na stronę miłość własną, muszę wyznać, że byłem wówczas dość pocieszoną figurką, zwłaszcza gdy przy końcu 1808 r. pozwolono mi w świat wchodzić po trosze, Oddawaliśmy wizyty i nikt nam nie powiedział: A do książki smarkacze! - Pamiętam siebie bardzo dokładnie i jeżeli chcecie wiedzieć, jakim byłem, proszę słuchać. Łeb rudy w loki, jak w zawijane zrazy, zafryzowany, mocno pudrem przykryty, frak brązowy z czarnym aksamitnym kołnierzem i dużymi, żółtymi guzikami, spodnie jasne, dość przestronne, jak była moda, i buty węgierskie, a czasem buty po kolana z dwunastocalowymi sztylpami. Przy zegarku siedm pieczętek rzeszowskiej roboty, w ręku laseczka z kobuzią główką. Nadszedł rok 1809. W naukach żadnej zmiany, przybył tylko rysunek, do którego miałem niejakie usposobienie, i taniec. Taniec szczególnie mocno mnie zajął, bo w tych czasach pojawiły się we Lwowie kadryle francuskie, czyli jak zwano kontradanse, które nie tańczono tak jak dzisiaj chodząc prawie, ale tańczono sztucznie, baletniczo. Czasem na balach produkowały się pary w gawocie albo kozaku. Cytowano dobrych taneczników. Między pierwszymi był Ignacy Turkuł, później minister w Petersburgu. Taniec dziś zarzucony, anglaise, był tańcem sentymentalnym. Każdy stawał do angleza z panią swego serca. Mówiono o wojnie, ale młodzież mego wieku usłyszała o niej dopiero wtenczas, kiedy gruchnęła wieść, że polskie wojska wkroczyły do Galicji - ale razem gruchnął i postrach, że wszystkich, szlachtę nie szlachtę, będą brać na rekrutów. Tego zaszczytu unikając, zostałem wysłany z panem Stecewiczem, który jeszcze więcej miał powodu niż ja lękać się austriackiego munduru, do Beńkowej Wiszni, do mego wuja Wojciecha Dembińskiego. Tę majętność trzymał w dzierzawę pan Wojciech, ożeniwszy się niedawno z Karoliną Humnicką. Mój wuj był właśnie na wyjeździe w Przemyskie - wziął mnie ze sobą. Mówiono wprawdzie o wojnie, ale jak o wojnie gdzieś za dwoma morzami, niemałe więc było

zadziwienie nasze, kiedyśmy spotkali między Mościskami a Przemyślem mnóstwo fur z wielkim pośpiechem jadących. - Skąd? - Z Jarosławia. - Dokąd? - Do Lwowa. - Co wiozą? - Mąkę. Jeden chłop stary, śmiejąc się, odrzekł na nasze zapytanie: "Ne хочzut Nimci chliba isty". - W to nam graj! Ruszaj, aż koła furczą. Dalej widzimy na wozach i paki, i kufry, i tłumoki, a gdzieniegdzie żołnierz patrzący za siebie dowodził, że to były rupiecie wojskowe. Wszystko to miało taki pozór ucieczki, żeśmy się spodziewali ujrzeć co chwila ułanów polskich. Ale jeszcze godzina nie była wybiła.

W Przemyślu niby cicho, niby spokojnie. Wojska jak wymiółł. Jakiś ruch tajemniczy objawia się przecie. Dowiadujemy się, że nieprzyjaciel pod Jarosławiem, ale ten nieprzyjaciel nie straszy, bo trwogi ani znaku. Po ulicach dużo ludzi, nie stoi, nie idzie - drobne gromadki ciągle zbierają się i rozchodzą. Poznać oczekiwanie, ale oczekiwanie czegoś ciekawego, a nie przykrego wcale. Każdy stąpa, jakby bał się kogo spłoszyć, każdy mówi cichym głosem, jakby nie chciał obudzić, każdy się uśmiecha, a marsa stawia. Jakiś duch sercem tylko odgadnięty przebiega, dotyka, porywa, wznosi w niebo nadziei. Ach, nie umrze, nie doznawszy największego szczęścia ten, którego owionął, choćby tylko na chwilę, ten upajający, rozkoszny, podwajający każde uderzenie tętna, ten pierwszy podmuch wolności - wolności! Oswobodzenia! Pierwszy połysk światła słonecznego, co wpadnie przez wyłom do podziemnego więzienia. Ileż to lat upłynęło, ile marzeń spełzło jak mgła poranna, ileż rzeczywistości wysliznęło się jakby z dłoni, a jednak owa chwila w Przemyślu, wyraźnie wybita w pamięci, przemknęła się jeszcze czasem jak błyskawica po duszy mojej z całym swym urokiem wiary i nadziei.

Chcieliśmy dowiedzieć się czegoś więcej. Żydzi wszystko wiedzą. Idziemy więc do Rubina, znajomego kupca. Ciemno było w korytarzu, gdzieśmy z nim rozpoczęli nasze badanie. Ale on cedzi przez zęby odpowiedzi swoje, wtem nagle chwyta mego wuja pod ramię - ten nadstawia ucha... a Żyd pociągnawszy rękaw zapytał: "A gdzie Pan to sukno kupował? Mam świeży towar - co osobliwszego!" Niechże cię piorun trzaśnie i z twoim towarem - pomyśleliśmy sobie i wyszliśmy czym prędzej. Żyd zawsze Żydem. Pieniądz jego gwiazdą przewodnią i nie ma się czego dziwić, pieniądz tylko dźwignąć go może na stanowisko mniej wystawione na wzgardę powszechną.

Roku 1809 w Galicji, a zwłaszcza we Lwowie, zapał Żydów w naszej sprawie był ogromny. W 1812-tym w Litwie, a potem i Księstwie Żydzi stali się naszymi głównymi nieprzyjacielami. Teraz wątpię, aby byli przychylni jakiej bądź zmianie w Galicji. Ubodzy wprawdzie płacą czasem więcej podatku, niż mają majątku, ale ogólnie biorąc, cały handel i cała administracja kraju w ich ręku. Chłop bez Żyda żyć nie może. Szlachcic go potrzebuje jako pośrednika w interesach z urzędnikami. Urzędnik tak cywilny, jak i wojskowy z żydowskich tylko rąk chce przyjmować kubany, a kubanów chciwy. Wielka przyszłość czeka Żydów. Duch żydowszczyzny ogarnął świat cały. Pieniądz stał się wszystkim. Ale kiedy on jest dla Żyda sam przez się szczęściem, dla świata jest tylko środkiem do osiągnięcia tych wszystkich materialnych rozkoszy za granicą, bez których nikt żyć nie chce. We Francji nawet, owej Francji rycerskiej, gdzie uczucie wbrew częstokroć rozsądku[^] rozwijało częstokroć potęgę swoją do najszczytniejszych krańców fantazji, gdzie człowiek władzą ducha ulatniał się, oddzielał się od siebie samego i wznosił się czystym tylko instynktem ku nieśmiertelności, tak jak się wznosi motyl do stref słonecznych, kiedy jeszcze jego poczwarka, kołysząc się gdzie u kwiatu, świadczy o jego pobycie na ziemi, w owej Francji znika poezja wszędzie i ze wszystkiego. Piśmiennictwo francuskie czuć rzemiosłem. Każdy teraz pisać będzie przeciw natchnieniu, przeciw przekonaniu, jeżeli tylko może wiele pieniędzy zyskać. Kto na zawadzie, nieprzyjaciel - żadna świętość cnoty i zasługi nie zasłoni, jeżeli nie własna siła. Po sercach, po głowach w górę! w górę! pnie się tłum zimny, chciwy i nie żyjący tylko w obecnej chwili. Żydzi wszędzie. Żydzi w Paryżu, w Rzymie, w Londynie i w Przemyślu, skąd w nocy, o

świecie księżycy i w majowej pogodzie, tysiąc ośmset dziewiątego, ruszyliśmy w dalszą drogę do Nienadowej, do brata pana Wojciecha, pana Antoniego Dembińskiego, byłego oficera z Kościuszkowskich czasów.

W Nienadowej, majątności ojca mojej matki, mieszkali niegdyś rodzice moi. Tam pamięć moja błądzi w mgłach dzieciństwa. Nie było już wprawdzie murowanego mostu przed bramą na szuwarem zarośniętej fosie - nie było na środku dziedzińca kompasu, który mi się niegdyś zdawał spoczywać na ogromnej kolumnie - nie było wkoło niego ostrzyżonego agrestu, ani też w grabowym szpalerze kamiennego Kupidyńka z urną pod pachą, którą zawsze napelnialiśmy gorliwie, ale był jeszcze dom duży, drewniany, o czterech kolumnach, o dwóch kurytarzach, z których jeden na lewo wiódł do biblioteki, drugi do oficyn i do sklepionego skarbcza, gdzie mieszkała panna Bełdowska, poczciwa staruszka, przyjacielska sługa. Ale co to was obchodzić może, moje dzieci, co obchodzić kogokolwiek, że niegdyś, gdzieś w Nienadowej tlało jakieś życie przez lat dziewięćdziesiąt spokojnym płomykiem, że zgasło jak nocna lampa bez śladu i odgłosu. Co to obchodzić może? A jednak wam opowiadam... Ach, więcej ja do siebie niż do was mówię. Przebaczcie egoizmowi, bo to tak miło, tak lubo wpatrzeć się czasem w jaką gwiazdeczkę, co nam gdzieś z dalekiej przeszłości zdaje się przymrużyć przyjaźnie. Widzę jeszcze tę małą, poczciwą staruszkę, jak we mnie pieściła dziecko, bawiła studenta, witała oficera, a zawsze ta sama, ani młodsza, ani starsza. W uszach mi jeszcze dzwoni brzęczące echo dużej, ciemnej sieni, przez którą biegło się do niej krzycząc, klaszcząc i tupając razem. Mam jeszcze w oczach owę tam kaplicę ze swoimi obrazkami i pochylonymi ścianami, do której nam wstęp był zabroniony, a przeto tak wielce pożądaną. Czasem udało się tylko jakiej ciekawej główce zaglądnąć przez uchylone drzwi do opuszczonego już, grożącego upadkiem kącika, bo ta kapliczka była mała - mały był ołtarzyk, ale któż zgadnie, jak wielkie wznosiły się tam myśli, jak wielkie korzyły się uczucia?! Ileż tam modłów i błogosławieństwa przesunęło się cicho... ale pewnie macierzyńskich najwięcej. Pada do nóg rodziców, skłania uwieńczone skronie, włos rozpuszczony skrapia rześzystymi łzami... Ach, jakaż jej przyszłość?! Tak młodej, tak świeżej, tak pięknej! Życie takie długie!... Ale czas mija, przemija i znowu tam stanęła, i córkę odrywa od serca, i wiedzie przed ołtarz... I znowu ta córka błogosławi syna. Godziny, lata, pokolenia przepędzają jak obłoki wiatrem parte najczęściej bez śladu i pamiętki. Życie westchnieniem, szczęśliwym... przestrogą - cierpiącym pociechą... Nie ma już kaplicy w Nienadowej... Dom nowy... Mój wuj nie żyje...

Surochów, gdzie się urodziłem, skąd raz wywieziony na rękę piastunki, już nigdy nie wróciłem, leży przede mną jak obraz w śnie kiedyś widziany. Nienadowa taka, jaka była, aczkolwiek zamglona, została lubym dla mnie wspomnieniem. Ale świat mego dzieciennego i młodocianego wieku cały w Beńkowej Wiszni. Długie tam dnie, długie tam pory roku, bo kiedyż dłuższe jak w dzieciństwie, nie odgrzebuję w pamięci, ale dokładnie pamiętam. Dom tam moich rodziców był to dom prawdziwy polsko szlachecki, zamożny bez zbytku, cichy a gościnny. Długi tam stół bywał. U góry siadywał mój ojciec, jak to mówią - na pierwszym miejscu, kiedy gości nie było, po jego lewej stronie major Biegański, adiutant Kościuszki, potem generał; od upadku aż do wskrzeszenia Ojczyzny bawił w naszym domu. Człowiek rzadkiej poczciwości i do śmierci prawdziwy i gorliwy nasz przyjaciel. Po prawej stronie ojca najmłodsze z dzieci obok matki. Za matką Ludwisia, Kostusia i panna służąca; naprzeciwko Maksymilian, najstarszy z rodzeństwa, guwerner, nauczyciel muzyki Matłowski, rysunku Romanowski, a czasem tańca Kurc i fechtunku Frik von Lindenfeld, głuchy. Dalej Seweryn i ja, a niżej Smólski, Lesiecki, Orzechowski kulawy, szlachta oficjaliści. Bo lubo dom był szlachecki, jednak nigdy szary koniec u stołu nie był bez kilku dworzan. Dwa razy do roku, 2-go lipca i 17-go sierpnia, w dniu imienin rodziców zjazd bywał wielki. Obiad w ogrodzie pod lipami... bal noc całą...

iluminacja... były niemałym szczęściem dla dzieci. Raz, że kilka dni upieкло się bez lekcji, po wtóre, że wszyscy mężczyźni obozowali w rostowni przy browarze. I sukienki nowe, i muzyka z Rudek, i ciasta z cyframi, wszystko to było celem oczekiwania i wielkiej radości.

Co niedziela zajeżdżała ogromna poczwórna karetka sześciu kasztanowatymi końmi - furman Sobek i foryś Fedzio w spencerach, spodniach łosiowych, o okrągłych kapeluszach, niby po angielsku. Za kareta szedł kocz poczwórny, równie ogromny, czterema końmi. Dla młodzieży przyprowadzał konie i kuce stary Stanisław, rzadko trzeźwy, w palonych butach i stosowanym kapeluszu ze srebrnym galonem, tak jak wszyscy lokaje. Jechaliśmy na mszę do Rudek, ale czy my, chłopcy, umieliśmy pacierz, o to - ledwie do wiary - nikt nigdy się nie spytał. Drwiono sobie przy dzieciach z wszelkiej oznaki religijności. Nie być Esprit fort znaczyło tyle, co być głupcem na wielki kamień. Taki był duch czasu, i to powszechny. W pierwszych latach bieżącego wieku mój ojciec zakładał fabrykę żelaza w Cisny. Często tam przesiadywał. Raz wziął nas z sobą, to jest Seweryna, mnie i pana Płachetkę. Była to pierwsza podróż moja; lepiej ją pamiętam niż we dwadzieścia lat później odbytą do Włoch. Kiedyś Państwu i o tej podróży opowiem, jak wyjechałem ze Lwowa do Florencji w zamiarze ożenienia się z panną Elżbietą Buturlin - jak to i dlaczego nie przyszło do skutku... jak się nareszcie puściłem do Neapolu, ale chwycony spleenem w Rzymie, kazałem nawrócić i wróciłem do Beńkowej Wiszni.

Przywiozłem wszakże trochę pamiątek, między innymi różę uszczknioną w papieskim ogrodzie i oset na gruzach pałacu Cezarów. Za parę wieków może las będzie z ogrodu, a jezioro z pałacu. Albo może z gruzów powstaną gmachy, a z gmachów gruzy i to ostatnie podobniejsze do prawdy niż pierwsze, ale cieszymy się nadzieją, lubo zmartwychwstanie bardzo trudne. Wziąłem własną ręką w spalonym kościele św. Pawła kawał belka ze stropu, który miał być z cedrów góry Libanu. W Wiedniu kazałem z niego wyrobić Zbawiciela na krzyżu i za powrotem do kraju posłałem do świątyni Sybilli księżnie jenerałowej Czartoryskiej. Niezwykły to był u mnie wybryk grzeczności. Zrobiłem nadzwyczajnie wiele, a księżna nadzwyczajnie mało. Kiedyś, później, komuś, przez kogoś kazała podziękować. Bądźże tu uprzejmym. Ile razy pomknąłem się ze sentymentem, tyle razy szcztka dostałem. Bądź nareszcie grzecznym, jeżeli ci to przyjemnie, jeżeli ci to sprawia apetyt albo sen sprowadza, ale jeżeli grzeczność chcesz użyć na ponętę na ludzi, to daremne trudy. Szczęście do ludzi, jak szczęście w karty, przyczyny nie ma.

Wyjąwszy głupich, których zawsze świat lubi, bo po nich skakać może jak koza po pochyłym drzewie - i o tych nie mowa - znałem ludzi uczciwych, ale niedelikatnych - lubiących gości w domu, ale nie trudniących się nimi - upartych, despotycznych w zdaniu, obojętnych wreszcie na wszystko, co leżało za granicą ich domu - a jednak więcej mieli przyjaciół niż ci drudzy równie uczciwi, ale grzeczni, lękający się uchybić komu bądź, stać się natrętnym lub niedelikatnym, ludzie gorliwi w radzie i nigdy nie obojętni tak w prywatnej, jak publicznej sprawie. Znałem ludzi zimnych, nie dbających o niczyją przyjaźń, egoistów charakteru nieczystego, nie ceniących nawet miłości żony i dzieci, a jednak świat ich lubił. Znałem zaś uprzejmych, miłych, wymowy miodem i mlekiem płynącej, a wszystko nadaremnie. Ścisła ręce, całuje z jednej i drugiej strony, a czasem i trzeciego całusa suplementarnego nie szczędzi - nie zapomni nigdy niczyich imienin - sześć tysięcy biletów wizytowych rozdaje co roku - sprawunki robi, listy pisze, poradzić lubi, a nawet czasem i pożyczy pieniędzy, a jednak ludzie go nie lubią. Zrozumieże tu, proszę. W jakiejś operetce Bogusławskiego śpiewa jakiś moralista: "Pochlebiaj, a będziesz szczęśliwy". Można by dodać: "i będziesz lubiony". Miałożby to być słowem zagadki? Bądź, jakim chcesz, ale pochlebiaj. "Pochlebstwo, chociaż się rzekomo odrzuca, smakuje przecie", powiedział i ś. p. Andrzej Maks. Fredro. Ale jakie ma być pochlebstwo, jak i gdzie go użyć, w tym sztuka, w tym rozum. Są pochlebstwa czynne i pochlebstwa

bierne. W rzędzie tych ostatnich najglówniejsze: Nigdy nic lepiej nie wiedzieć jak ten, któremu podobać się trzeba. A jeżeli zależy ci na tym, aby twoje zdanie przemogło, wykręcajże tak, abyś nim nigdy nie zwyciężył, ale raczej mu ulegał.

Mówią, że trzeba kochać przyjaciół i z ich wadami. Ja utrzymuję, że się ich kocha właśnie dla ich wad. Ty nie wiesz tego, a ja tamtego, - ja niemiły w tym, a ty w tamtym - więc kwita - równość. Człowiek doskonały we wszystkim, gdyby się znalazł na świecie, mógłby być uwielbiany, można by z niego wielkie ciągnąć korzyści, ale pożycie z nim byłoby pewnie najnieznośniejsze. Obok doskonałości nasza indywidualność spadałaby pewnie niżej zera. "A - jak bajka powiada - miłość własną ma i ptak".

Tout chemin mene a Rome. Jeżeli do Rzymu, to i do Cisny - i nic dziwnego, że jadąc do Cisny wstąpiłem do Rzymu. Wracam jednak na trochę prostszą drogę - do Beńkowej Wiszni. Ruszyliśmy w podróż koczykiem, zwanym niegdyś skarbnikiem. Na przedzie wysłano siedzenie i przy bokach zapchnięto po dwa gonty, aby który z paniczów nie wyleciał pod koło. Przy moim ojcu siedział pan Płachetko, straszny, kiedy na wietrze tabakę zażywał, straszny, kiedy kichnął, i gdyby nie był moim guwernerem, powiedziałbym, że kichał jak koń, a zawsze z akompaniamentem obligato kaszlu i finałem huczno zatrąbionym w czerwoną kraciastą chustkę. Konie powodne szły za nami.

Już z Chyrowa, gdzie droga kamienista kręciła się wzdłuż Strwiąża, a często i jego łożyskiem, trudno było wysiedzieć w pojeździe, siadaliśmy więc na konie, a gdzie tylko Strwiąż pozwalał, biegliśmy przed końmi. Była to podróż długa, ciekawa - dłuższa i ciekawsza niż do Włoch, co już miałem podobno honor dowcipnie powiedzieć. Z długiego noclegu w Lesku puściliśmy się w dalszą drogę do Cisny konno. Nasz ojciec jechał na tureckim, białym jak mleko szłapaku. Obok, na siwym, dużym, z zaprzęgu wziętym koniu, pan Płachetko, który wypiętą postawą, równie jak i prętem prosto w górę przy ramieniu trzymanym, starał się udowodnić to, co tylekroć powtarzał, że służył niegdyś w jeździe litewskiej pod komendą generała Jasińskiego. Za panem Płachetką mój brat Seweryn na kasztanowatym, a ja na szpakowatym kucu. Wówczas siedziałem na koniu, jak to mówią - po łacinie, ale gdy przyszło od zamku spuszczać się do Sanu po skalistych ledwie nie schodach, wezwałem na pomoc całą moją bereiterską sztukę. Wyprężyłem nogi tak, że butami dotykałem munsztuka, a ręką chwyciłem tylną krawędź siodełka i ciało w tył podałem. W takim horyzontalnym prawie położeniu, zjechałem szczęśliwie na dół i w San. Za pierwszym pluśnięciem wody, jak papierowy arlekin za pociągnięciem sznurka, zmieniłem gwałtownie moją pozycję; ściągnąłem nogi jak do prysydy i puszczając siodło, chwyciłem się grzywy jedną, a potem i drugą ręką. Pomimo drwinek Stanisława, starego masztalerza, byłbym chwycił się i trzecią, gdybym ją był miał, kiedy w środku rzeki zdawało mi się, że nadbrzeżne chałupy i drzewa suną się jakby w szenekatarynce, albo, co jeszcze gorzej, że woda mnie i kuca unosi. Kłapanie podków po śliskich kamieniach, szum przerywanego prądu, wytryski sprzed końskich kolan, padające na plecy i za kołnierz, zbiły mnie z terminu do reszty. Mój kucyk zaś zdawał się wcale przeciwnego doznawać uczucia; stawał ciągle, spuszczał łeb, jak gdyby był nie pił od dwóch dni, nareszcie zaczął nogą grzebać, znak nieomylny, że ma ochotę położyć się, co byłoby nastąpiło niezawodnie, gdyby go Stanisław nie był podgonił, a panicza za kark chwycił, bo panicz w niespodziewanej zmianie ruchu tracąc równowagę, byłby zleciał jak worek otrębów.

Wielki to był wstyd bać się konia albo okazać złe usposobienie na jeźdźca. Ksiądz Zacharyasiewicz, biskup przemyski, powiadał mi, że jego ojciec kazał raz swoim synom, dzieciom jeszcze, siadać na konia. Gdy się on niezręcznym okazał, ojciec kiwnął ręką i rzekł:

"To kiep! będzie księdzem". Tak się też i stało.

Żaden majtek, po burzliwej żegludze wstąpiwszy na brzeg, nie odetchnie tak błogo jak ja, kiedy ujrzałem się na stałym lądzie. Spojrzałem za siebie i oczy moje spoczęły na zwaliskach zamku, na

owe czarne świerki, te nieme świadki tyłu wiosen, tyłu zim, tyłu dni burzliwych i pogodnych, które jak u ich stóp ścigające się fale przepłynęły w morze wieczności. Ten ogród leski był ulubiony memu Ojcu. Nigdy nie mógł oczu dość nasycić jego widokiem i nigdy nikt nie wspomniał Leska, aby mój Ojciec nie narzekał na niedbalstwo i obojętność terażniejszego dziedzica. "Lada dzień - mawiał - ta cała pyszna lipowa ulica zesunie się do Sanu, a tak łatwo byłoby temu zaradzić". W samej rzeczy, w czasie, o którym mówię, brzeg Sanu był splotem obnażonych korzeni. Wisiały w powietrzu ogromne lipy; zdawało się, że lada wietrzyk, lada pchnięcie zwalić je potrafi, a jednak dzisiaj mija lat blisko pięćdziesiąt od mojej pierwszej przeprawy przez San - Ojciec spoczął w grobie, ja posiwiałem, a wisząca ulica jak szumiała, tak szumi nad Sanem.

Jechaliśmy dalej. Nowy był to świat dla mnie - pierwszy raz byłem w górach. Im dalej, tym więcej ponurą stawała się okolica. Wkoło góry, a spoza gór znowu wyglądające góry, wszystko czarnym lasem pokryte. Step, morze, te jednostajne ogrody, objawiające potęgę, wielkość natury - te obrazy nieskończoności przejmują nas podziwieniem, uszanowaniem i kornym zastanowieniem się nad sobą samym, nad nicością swoją. Ale widok rozległych borów łączy do tych uczuć jeszcze trwogę. To nam się zdaje, że wszelkie życie uszło z tych wilgocią grobów teńnych cieni - to znowu jakiś ruch tajemniczy niby się tu i ówdzie pojawia - to nareszcie z kolebki jeszcze wzięte i w dalsze życie niesione ze sobą powiastki o czarownicach i rozbójnikach stają przed oczy. Wszystkiego tego doznawałem, poprawiając się dość niespokojnie raz w prawo, raz w lewo na nieco twardym siodełku. Górale z długimi włosami, w ciemnych guńkach i dużych kapeluszach, występując zawsze nagle na ciasną widownię, nie byli dla mnie nader przyjemnym widokiem. Ale kiedyśmy spotkali rodzinę Cyganów, kiedy z nich jeden wyciągnął rękę po jałmużnę i ta ręka znalazła się w równi z moją twarzą, lubo on był pieszo, a ja konno... O! wtenczas dusza była na ramieniu. Minąwszy niebezpieczeństwo, ochłonawszy nieco z trwogi, zbliżyłem się do ojca i zapytałem się tak obojętnym głosem, jak go tylko ukształcić mogłem, czy są rozbójnicy w tych lasach. - "Nie ma - była odpowiedź - od czasu jak schwytano i stracono Wulfa, o żadnym w tych stronach nie słyszałem rozboju". - "Co to za Wulf?" - "Potem, kiedyś wam opowiem, a teraz patrzcie przed konie i niech jeden za drugim jedzie".

Jechaliśmy pod górę wykutą w skale drogą. Na grzbiecie pagórka mój ojciec wstrzymał konia i zawołał rzewnym głosem, jak gdyby widział przyjaciela: "Hoczew!" W dolinie nad brzegiem rzeki płynącej do Sanu ujrzeliśmy szczątki niewielkiego zamku. Obok biały dworek i gospodarskie, dość porządne zabudowania. Dalej kościółek, karczma i chaty wzdłuż łągu rozsypane. To była Hoczew. - "Tu, w tym zamku urodziłem się - rzekł mój ojciec i zdawał się więcej do siebie niż do nas mówić. - Z tej strony był pokój mojej matki... już tylko jedno okno... dalej był ganek... wszystko się zwaliło... Na środku dziedzińca stała wielka lipa... takich drzew już teraz nie widać... w jej cieniu bawiłem się, będąc dziecieniem, a biegałem, swawoliłem już chłopcem... piękne było drzewo!"... - Czas jakiś patrzył jeszcze w milczeniu, zdawał się robić rachunek swoich wspomnień z otaczającymi go przedmiotami. Nareszcie zsiadł z konia i nam zsiąść rozkazał, bo w skale wykutą drogą, więcej do schodów niż do drogi podobną, trzeba było ponad potok spuszczać się w dolinę Hoczwi. Uszedłszy kawałek, prowadząc konia za sobą, wstrzymaliśmy się przy źródelku, co cienkim promieniem z prostopadłej wytryskało skały. "Nie ma - rzekł mój ojciec - w całej okolicy równie dobrej wody. Tu dziećmi będąc wprawialiśmy bżowe rynewki i patrząc z daleka cieszyliśmy się, kiedy przechodnie korzystali z naszego wynalazku. Mało kto minął, żeby się z rynewki nie napił". - Te słowa ojca, jego głos rozplywający się w rozczuleniu, oko pogodne, a tak pełne rzewnego uczucia, głęboko utkwily w mojej pamięci. Przez wiele lat potem, jeżdżąc tamtędy, spuszczać się do Hoczwi, zawsze słyszałem w sobie te proste wspomnienia naszego dobrego i kochanego ojca. Nie minąłem nigdy źródelka, z

uzanowaniem nachylałem głowy, aby świętego dla mnie zaczerpnąć zdroju. Kilka lat temu... teraz już kilkanaście... nie potrzebowałem zsiadać z konia, droga była rozkopana, szeroka, wygodna, ale mego źródła... mego źródła!... odszukać nie mogłem. Pozbawiony zostałem uczucia, któremu zawsze czekał z upragnieniem, jadąc "w tamte strony. Uczucie wzięte dziecięcą duszą z ust ojca, wyraziłem później w następującej, jednej z najpierwszych moich poezji:

Ach, któż na widok swej rodzimej wioski
Nie cofnie myśli w te chwile bez troski,
W ten cień kolebki... wiek błogosławieństwa,
Gdzie pod skrzydłem rodziców, w gromadzie rodzeństwa,
Brał tak swobodnie, tak pełen ochoty
Życia poranne pieszczoty?!
O! skały, zdroje, doliny i drzewa,
Wy, w które pamięć czułą duszę wlewa,
Świadki lat młodych, stałe przyjaciele,
Jakże was starość lubi, jak was ceni wiele!
Przyjemniejszy szmer świerków, miłszy cień topoli,
Przy których wolni pasków i wstając powoli
Pierwsze stawialiśmy kroki.
O! jakież wdzięki urocze
Mają te szare, sterczące opoki,
Z których bluszcz gęsty rozpuścił warkocze,
Co krzyk dzieci powtarzały
I łajane, nas łajały.
Jak smaczna woda zdroju, co się z góry zmyka,
Gdzieśmy groble sypali z piasku i krzemyka,
Albo bżowe rynewki umacniając w skale,
Nieśli przechodniom ochłodę w upale.
A te doliny w kwiecistym ustroju,
Te miejsca igrzysk, gonitw, czasem boju,
Ileż wspomnień nam nie niosą!!
Tu ścinaliśmy osty, mokre ranną rosą,
Tam z białych główek strząsłszy zielone badyle,
Pletliśmy pół dnia łańcuch, który potrwał chwilę,
A ta straszna pokrzywa, tajona krzewiną,
Ileż łez gorzkich nie była przyczyną!

Ach, tak jest, miejsce urodzenia jest świętością dla serca, jest księgą, w której człowiek czyta aż do śmierci dzieje swojego szczęścia, bo dzieje lat dziecinnych. Sad za domem, ścieżka przez łąkę, kładka na strumyku, wszystko to rozdziały żywota, oblanego światłem nieprzebranej miłości rodzicielskiej...

Im dalej ku krańcowi życia, tym bardziej ściska się w sobie przeszłość nasza. Lata, lat dziesiątki, stają się punktem, a nawet nie punktem, jeżeli z niej nic dotąd istniejącego nie pozostało. Jak błyskawica zgasła, raz na zawsze. Ale wiek dziecinny leżyć zawsze będzie przed duszą, świeży, jaskrawy i równie rozległy, rozciąglejszy nawet i co do czasu, i co do miejsca, niż był w istocie. Wielkim zawsze w naszej pamięci pozostanie pokój, po którym harcowaliśmy na laskowych rumakach, wielką owa kaplica,

Gdzie tułąc się do Matki, skryci w jej odzieże,

Jej tylko zrozumiałe pletliśmy pacierze...

A też pory roku! Jakże długo trwały! Chętka bierze wierzyć, że dłużej niż teraz. Zima, groźna swoimi długimi wieczorami, zdawała się wiecznością. Nie można było doczekać się owego wielkanocnego baranka z chorągiewką - owej baby z cykatą i placka z migdałami, którymi cieszone się pół roku naprzód. A przy lekcjach! Przy lekcjach ten czas niemiłosierny laź jak na żółtciu.

Ale wróćmy do Hoczwi. Stanąwszy przed karczmą, mój ojciec zapytał Żyda arendarza: "A żyje jeszcze stary Kajetan?" - Na odpowiedź, że żyje, posłał po niego, pokazując nam chatkę naprzeciwko dworu na pagórku, w której on mieszkał.

Kajetan był to strzelec i hajduk podobno, służył dworsko w czasie, kiedy mój ojciec swawolił pod wielką lipą, kiedy rynewki w skale umacniał. W roku 1818 czy 1819 przyszedł był odwiedzić mnie, boso z Hoczwi do Cisny, mil trzy. Miał wówczas, jak mówił, lat dziewięćdziesiąt. Głowa jak z marmuru, bez jednego włoska, broda niewielka prawdziwie śnieżnej białości, twarz czerstwa, oko pełne, był jak jaka postać historii świętej z obrazu zdjęta.

Długo mój ojciec z nim rozmawiał, potem obdarzył i ruszyliśmy dalej. W Baligrodzie wypoczęliśmy koniom. Tam granica świata. Za Baligrodem wjeżdża się jak w czarne gardło. Droga i rzeka jest to jedno i toż samo, a od rzeki z jednej i z drugiej strony wznoszą się czarne ściany jodeł i smereków. Cisna leży w obszerniejszej nieco kotlinie. Folwark, cerkiew, karczma, dalej młynek i tartak ożywiają tę górską wioskę więcej niż wiele innych. Przyjazd nasz wszakże nie w dobrą chwilę miał miejsce. Zanosilo się na słoć. Z gór czarnych kurzyło się wkoło - na co tam zwykli mawiać, że niedźwiedzie piwo warzą. Szczyty gór były całkiem zakryte, nie mogliśmy więc podziwiać pierwszą osobliwość - Łupiennik. Ta góra podług miejscowego podania ma mieć dwadzieścia cztery kondygnacje, a z wierzchołka widać Lwów!!!

Wieczór, chcąc nas zabawić, pan Zajączkowski, ówczasowy rządcą ciśniański, wystrzelił z fuzji. Stokrotny odgłos, biegnący i wracający po górach, był dla nas zjawiskiem całkiem nowym, nawet nie przeczutym. Nie było miary naszemu zadziwieniu i zachwyceniu, dlatego wystrzelaliśmy wkrótce cały zasób prochu z arsenału pana Zajączkowskiego. Pobyt nasz w Cisny był pełny uciech. Wszystko dla nas było nowe - nowe dla słuchu i wzroku. Trąby z kory juhasów odzywały się czasami po górach tu i ówdzie. Ton ich melodyjny, nieco jednostajnie przeciągły, powtarzany, a raczej rozciągany echem po skałach i lasach, ma w sobie coś tak swobodnego a tęsknego razem, tak stosownego do tej poważnie milczącej natury gór, że wrażenie, które od pierwszego razu na mnie zrobił, najmniej się nie starło. Odgłos tej trąby jest zawsze dla mnie prawdziwą rozkoszą, teraz może i większą niż wówczas, bo za każdym tonem leci krocie wspomnień. Łapaliśmy pstrągi i kielbiki, a jeżeli się czasem noga ześliznęła, było to powodem do śmiechu bez końca. Zwiedzaliśmy szałas po odległych górach, gdzie nas częstowano bundzem i bryndzą. Byliśmy przekonani, że w każdym parowie musi być przynajmniej jeden niedźwiedź. W tym mniemaniu utwierdzał nas poniekąd pan Zajączkowski. Bał on się niedźwiedzi nie powoli. Powiadał nam, że przyszedłszy raz zamyślony nad jedną kładkę i podniósłszy oczy, ujrzał z drugiej strony rzeki idącego do tej samej kładki, zapewne w zamiarze przejścia przez nią, ogromnego niedźwiedzia. Jak był ogromny niedźwiedź, nie potrzeba mówić... rozumie się, że jak wół, jak kopica siana i jaka jeszcze kopica!... rozumie się także, że się pan Zajączkowski przestraszył i że krzyknął, jak żaden jeszcze Zajączkowski nie krzyczał. Niedźwiedź zdziwiony, bo zapewne o czym innym myślał, wzniosł się na zadnich łapach, a przednimi klasnąwszy parę razy zszedł na bok i zostawił wolne przejście, z której to jednak grzeczności pan Zajączkowski nie uznał za potrzebne korzystać i łącząc odwagę z roztropnością wrócił spieszenie do domu. - Od tego czasu - mówił - bez szabli przy boku nie wyjdę z dziedzińca. Mój ojciec był ciągle

zajęty fabryką. Jak wszędzie, tak i w tamtych okolicach kochany i szanowany, miał wkrótce wiele gości. Między innymi Michał hrabia Konarski z Wietliny. Miał konie ze strzyżonymi grzywami, mówił co trzecie słowo: "Jak mi Bóg miły" i tabakę z rozka zażywał. Ludwik Urbański z Jabłonek, nie tak głupi, jak się wydawał. Dobre człeczysko. Pius Fredro, ten sam, co raz we Lwowie wracając w nocy do domu tego podkrecony na zapytanie szyldwacha: Werdo? (Wer da?) odpowiedział: "A Fredro. - Jak on wie, że ja Fredro?" - dodał sam do siebie. Osuchowski z Zerniczki, stary myśliwy, ten z Cisny nie wyjeżdżał prawie. Czasem wieczór grywał z moim ojcem mariasza, ale jak było więcej gości, opowiadał wypadki, których sam doznał albo których był świadkiem, wojując z niedźwiedziami. Powiadał, jak raz wzięwszy w zapale kuca srokatego za kundysa, szczał nim po strzale rannego niedźwiedzia. Kuc w nogi, a niedźwiedź do niego... dalej tańcować wkoło buka, póki nie nadszedł strzelec i dobrze wymierzonym strzałem nie położył końca tym mimowolnym płasom. Powiadał, jak widząc swego sąsiada pod niedźwiedziem, wołał przez rzekę: "Panie podczaszy! Oddaj się Waćpan Bogu!" - i jak palnął, w sam łeb... (niedźwiedzia rozumie się). Powiadał, jak raz na polowaniu, gdzie więcej było amatorów niż myśliwych, rozstawił wszystkich drożyskiem z łąki aż na pagórek, gdzie objechano niedźwiedzia. "Odezwał się - mówił - tropowiec, dopuszczono kundysy, doszły niebawem niedźwiedzia, który idąc w hurku wzmagął się ku działom. Ja stałem na uszyjku, z drugiej strony łąki. Wtem słyszę strzał w górze, a wkrótce potem moje goście zadychane wypadają gęsiego na łąkę krzycząc: «Niedźwiedź! Niedźwiedź!» - Ostatni bez czapki i bez strzelby, jak trup blady, komisarz cyrkularny, a za nim... aż chrusty trzeszczały... aż ziemia dudniła... Co? - Biała kobyła. - Cóż się stało? - Biała myśliwska kobyła uwiązana w gąszczu, spłoszona strzałem, a jeszcze więcej kapelą wiodącą niedźwiedzia, urwała się i puściła ku domowi na pół drożyskiem. Nie czekał jej kreiskomiser, krzyknął: «Gwałt!» i dalej w nogi. Niżej stojący amator podobnie wrzasnął i dernął - tak i cała linia wysunęła się następnie na łąkę, ściągana białą kobyłą."

Takie i podobne opowiadania wielce nam się podobały, ale jeszcze więcej dykteryjki różnego rodzaju Krzyżanowskiego. Jak sobie teraz przedstawię tego Krzyżanowskiego, a pamiętam go bardzo dobrze, był on może ostatnim egzemplarzem dworaka, pieczeniara, wyjadacza dawniejszych czasów. Przyjechał konno, torba borsucza i strzelba przez plecy - harap w rękę. Niewielki, krępy, włos szpakowaty, mowa chrypliwa. Półbłazna, półszlachcica, wszędzie był domowym. Nigdy nie opuścił okazji prosić o korczyk zboża, faskę bryndzy, kawał skóry i czy otrzymał, czy nie, zawsze z uśmiechem ścisnął kolano Jaśnie Pana. Komu w nocy napuścić os do izdebki, komu włosienia nastrzyc na prześcieradło, komu jaj w buty nakłaść? - Krzyogulanowskiemu. Kogo rano do sieni w koszuli wyciągnąć, kogo pytką wybić, kogo poczęstować piwem z wodą zamiast wina, a wodą zamiast wódki? - Krzyżanowskiego. Dlatego Krzyżanowski miłym był gościem, a szczególnie dla dzieci. Na szarym końcu u stołu, nie był ostatnim do mowy i do kieliszka, nie urażał się jednak, kiedy w jego lampeczce mętniejsze było wino niż przed Jegomością albo księdzem Proboszczem. Kiedy pan domu co opowiadał, Krzyżanowski oka z niego nie spuszczał, chwycił się za głowę z przestachu albo śmiał się do rozpuku. Kochany Krzyżanosio! Osuchowski z nim na żaden sposób nie mógł konkurencji wytrzymać - łągał dobrze jako myśliwy, ale i Krzyżanowski był myśliwy, a łągał trzykrotnie lepiej. Kiedy się odezwał: Razu jednego... już wszystkie oczy były na niego zwrócone - wszystkie uszy nateżone... I w samej rzeczy, trzeba słyszeć takiego improwizującego łągarza, aby pojąć, jaki wdzięk mają te długie i szerokie, a co krok w epizody wyskakujące opowiadania. Słuchamy, jak historii z tysiąc i jednej nocy, w przekonaniu, że tam albo nic prawdy nie ma, albo tak mało, że ledwie na tytuł wystarczy, a jednak słuchamy z wszelkim udziałem. To ciągłe wyjaśnianie najdrobniejszych szczegółów, poprawianie sumienne siebie samego w najlichszym zboczeniu, cytowanie miejsca, dnia, godziny, osób przytomnych z odwołaniem zawsze do świadectwa: Żywych

przecie - wszystko przeciąga rzecz całą niezaprzeczoną pokostem prawdy. Dopiero gdy przyjdzie do samego jądra Dziwnego wypadku i kiedy wszelkie prawdopodobieństwo ustaje, wtenczas gwar i śmiech. Każdy się śmieje, jakby mówił: "Nie głupim, abym uwierzył". I im mocniejszy śmiech, tym mocniej objawia się to zadowolenie z swojej własnej przenikliwości. Niechby kto spróbował pisać, słowo po słowie, co taki Krzyżanowski rozpowiada, i niechby komu potem odczytał, a pewnie znaleźliby obydwaj, że słuchana z upodobaniem powieść jest tylko nudną i bez sensu ramotą. Skądże to pochodzi? Oto brakuje świeżości improwizacji - uniesienia rzetelnego - mimiki stosownej - figury charakterystycznej opowiadacza, a nade wszystko jego wiary, że wiarę wzbudza w słuchaczach. Słowem, trzeba prawdy kłamstwa, aby kłamstwo zająć mogło. Mam Krzyżanowskiego przed oczyma, kiedy po kilkudniowym pobycie odjeżdżał. Szkapę podkasała - terlica węgierska - sakwy przewieszane z tyłu, a płaszcz z przodu - spod płaszczu zaś wyglądała zgięta podług siodła szyna żelaza wykutego w Ciśnie na wieczną pamiątkę. Wsiadł pan Krzyżanowski, urznawszy sieczki parę razy, skropił szkapę harapem, ruszył z kopyta, a pochylony jak w ukłonie aż za bramą czapkę włożył. Generał Józef Kalinowski, który lubił do prawdy wiele nieprawdy dodawać, gniewał się, par jalousie de metier, na Ignacego Cetnera, że ten kłamał bez konceptu. - "Co to może kogo obchodzić - mówił - że pan Ignacy 300 000 fur gnoju wywiózł albo że ma 100 000 owiec". I w samej rzeczy, kłamstwo o tyle tylko jest znośne i bawić nawet może, o ile w nim jest dowcipu, inwencji, poezji. Na przykład jeden ze znajomych ojca, żałuję, że jego nazwisko zapomniał, rozpowiadał o swoich podróżach po całym świecie, lubo nigdy nie był za granicą Polski.

"Raz - mówił - będąc w Ameryce, zabłądziłem w lesie. Im dalej w las, tym las gęstszy, a droga węższa - nareszcie zniknął wszelki ślad. - Co tu robić? - Na szczęście, przypominam sobie, że mam w bryczce doskonałą mapę, a doskonalszą jeszcze perspektywę. Rozłożyłem więc mapę pod bukiem, zwróciłem na nią perspektywę i ujrzałem siebie i bryczkę w parowie pod bukiem - drogę zaś, idącą działami o pół mili na prawo, gdzie się potem, będąc już zorientowany, łatwo dostałem".

Niedawno umarł na Podolu Jędrzej Szumlański, ostatni może w Polsce łgarz - poeta - tegoczesny Radziwiłł. Między innymi opowiadał, że ma ogromny proces z powodu pług parowego, który sam z Anglii przywiózł. "Doskonały - mówił - w jednym dniu zorał mi trzysta morgów - ale na noc zamknięto go w wozowni. Cóż się stało? - pług wrota wyłamał - hajże w pole! Jak zacnie orać i orać, aż wpadł na grunta sąsiedzkie, a - co gorzej - wszystkie kopce graniczne porozorywał. Stąd proces. - Najlepsze jednak jego koncepta nie dadzą się powtórzyć w dobrym towarzystwie.

Między różnymi myśliwskimi przygodami i mój ojciec opowiedział nam następującą i za jej prawdę zaręczył. Wątpić więc nie można.

Nieboszczyk Wojski Orzechowski[*****], ojciec naszego Piotra[*****], poróżnił się był z Chorążym N. - Wyzwali się do pierwszego spotkania, dlatego zawsze przy szabli jeździł i na polowanie. Razu więc jednego strzelił do niedźwiedzia i mocno ranił w piersi. Niedźwiedź swoim zwyczajem wznosił się na zadnich łapach i szedł prosto na przeciwnika. Orzechowski do szabli. Machnął parę razy, ale wkrótce szabla dostała się w zęby rozjuszonego zwierza - szczęściem atoli, że ostrzem ku niemu. Nie stracił głowy Orzechowski i chwyciwszy lewą ręką koniec szabli, odpierał jakby ostrym munsztukiem niedźwiedzia, który pchać się na niego nie przestawał - ale skaleczony w piersi i na pochyłości, niżej, nie mógł łapą zachwycić. Długo ta, nie do wiary prawie, a jednak najprawdziwsza trwała walka, aż przecie Orzechowski postrzegł zbliżającego się strzelca. Krzyknął, aby mu strzelbę rzucił pod nogi, sam zaś powoli tak się obrócił, że stanął znacznie niżej od niedźwiedzia, a gdy poczuł mocny nacisk, puścił nagle szabłę. Niedźwiedź wyrzucił kozła, a nim wstał, Orzechowski chwycił strzelbę i trupem go położył. Świadkiem niezaprzeczoną tej walki był palec odgryziony u lewej ręki.

Trzy razy w dzieciństwie byłem z ojcem w Cisnie. Zawsze wstępowaliśmy do Jabłonek na obiad lub nocleg. Nie chciał tego odmawiać Ludwikowi Urbańskiemu, który pomimo śmieszności powierzchownych był dobrym i uczciwym człowiekiem. A propos niego, raz mi ojciec powiedział: "Prawdziwym jest nieszczęściem w górach to oddalenie od wszelkiego światłego towarzystwa. Poznałem to w najwcześniejszej mojej młodości, dlatego wszelkich sił dołożyłem, aby się z gór wydobyć. Ożeniłem się z waszą matką nie zważając, że mogłem większy znaleźć posag. Puściłem Cisnę w dzierżawę, Hoczew sprzedałem, powiększyłem majątek biorąc znaczne dzierżawy, jako u hrabstwa jarosławskiego, starostwa przemyskiego itp. Żyłem zawsze z ludźmi i dobrze na tymi wyszedłem, bo mogłem wam dać lepsze wychowanie, niż je sam otrzymałem".

Kochałem i szanowałem mego ojca, ale w miarę jak mi czas nasuwa punktów porównania, cześć dla niego zdaje się wzmacniać w moim sercu. Powtarzam teraz często niejedno jego zdanie, jego przestrozę, których słuchając nie myślałem nawet, że je pamiętać będę. Żywot ojca stał się wzorem dla dzieci. Jego charakter prawy, rozum nie błyszczący świetnym ukształceniem, ale głęboki, logiczny - dobroć nieprzebrana - uprzejmość - uczynność - zjednały mu powszechny szacunek. Jako człowiek i jako Polak - był on w całym znaczeniu wyrazu: Bez skazy. O nim sumiennie można było powtórzyć: *Le Ciel n'est pas plus pur, que le fonâ de son âme.*

Dobra sława ojca jest drogą spuścizną dla dzieci - ale i dzieci szanując rodziców składają jakby grosze do kasy oszczędności, które kiedyś w kapitalik urosną. Kiedy już ojca, matki nie ma - o, jak błogie uczucie napełnia serce, wznosząc oczy w te światy tajemnicze, gdzie mieścić lubimy choć cząstkę tych, których kochaliśmy, którzy nas tyle kochali w tym życiu. Jeżeli zawsze Boga błagałem, aby uczynił dzieci moje godnymi mego błogosławieństwa - co otrzymałem hojnie - to pewnie więcej ze względu na ich dalsze szczęście niż na moje własne. Bo ci, co nic sobie do wyrzucenia nie mają, słusznie i po swoich dzieciach spodziewać się mogą pociechy - ze spokojnym sumieniem wspominać będą czas spędzony na opiekuńczym łonie rodziców. Wiele osób okazuje żalobę serca po stracie rodziców, pokrywając ich pamięć świętym milczeniem, a ja chciałbym, żeby mnie moje dzieci wspominały, jak gdybym jeszcze był z nimi. - Ja lubię wspominać mego ojca jak najczęściej, robić go uczestnikiem i wesołych, i dobrych chwil moich - zdaje mi się, że się on wtenczas do mnie uśmiecha. Spoczywaj! Spoczywaj w Bogu, Ty dobry, prawy, drogi, kochany Ojcze!

Deszcz padał - z lasów się kurzyło - smutna była Cisna. Siedzieliśmy przy kominie, słuchając odgłosu młotów, co nas z bliskiej fryszerki dochodził. Ktoś wspomniał rozboje - przypomnieliśmy Wulfa, a mój ojciec, jak dobrze pamiętam, tak mówił.

Wówczas, kiedy Żyd Wulf, na czele kilkunastu łotrów, obdzierał podróżnych, najeżdżał domy i coraz straszniejszym się stawał, mieszkał w Sanockiem niejaki Kitajgrodzki. Szlachcic czynny, zabiegły, odważny, ale przy tym trochę zawadiaka i wielki wciubski, nie znał lub znać nie chciał mądrego krakowskiego przysłowia: Nie wtykaj nosa, gdzieś nie dał grosza. Otóż razu jednego, w zimowej porze, ten Kitajgrodzki nocował w Barwinku u naczelnika komory. Koło dziesiątej, kiedy się już do spoczynku zabierano, strażnik przyniósł do podpisu kilka paszportów Żydów jadących z Węgier. Naczelnik siadł do biura i zaczął podpisywać, gdy Kitajgrodzki zasłyszawszy z alkierza, o co rzecz idzie, wyszedł wpół ubrany i zaczął przygarniać tej łatwości, z którą przepuszczają przez granicę, nie przekonawszy się pierwej, jakie to indywidua, i to właśnie w czasie, kiedy rozboje mnożą się coraz bardziej. To rzekłszy, wziął świecę i wyszedł do pierwszej izby, gdzie w ciemnym kącie koło pieca stało kilku Żydów. Wzniósłszy światło nad głowę, aby lepiej widzieć przed sobą, postrzegł, że jeden z podróżnych, stojących na przodzie, cofnął się za drugiego, ku temu więc zwrócił się i w oczy zaświecił. Był to Żyd, jeszcze młody, wysoki, chudy, żółtawej cery, czarnej, krótkiej i rzadkiej brody. "Skąd panowie kupcy?" - zapytał Kitajgrodzki. - "Z Węgier" - odrzekł zapytany i

zasłaniając ręką oczy, jak gdyby go światło raziło, chciał się do drzwi zbliżyć. Ale Kitajgrodzkiego pozbyć się nie łatwo było, zwłaszcza kiedy się ciekawością czym zajął. - Skąd? - Dokąd? - Po co? - Którędy? - Na długo? - pytał i zatrzymywał, nareszcie chwycił za połę płaszcza cofającego się bladego Żydkę, podniósł ją i odkrył pałasz przy boku, a dalej parę pistoletów za basem. Wszczął się hałas - straż przybyła - chwycono podróżnych - okuto wszystkich i odesłano do kryminalnego więzienia. Młody Żyd był to ów słynny Wulf, herszt rozbójników.

W kilka miesięcy po swoim zwycięstwie dowiaduje się Kitajgrodzki, że Wulf uszedł z więzienia i że dał się słyszeć: "Nikogo jeszcze nie zabiłem, ale Kitajgrodzkiego jak schwycę, pasy z niego drzeć będę". Zrozumiał szlachcic, że to nie przelewki, że tu idzie o gardło i że on albo Wulf zginąć musi. Pojął oraz, że tylko prędkie i energiczne środki mogą dowieść do celu. Nie tracąc więc czasu, spieniężył, co mógł, dopożyczył jeszcze, kupił koni, broń, przyjął pewnych ludzi i obwarował swój domek tak, że w nim napadu mógł się nie lękać. Ale nie przestał on na tym, wiedział bowiem, że w każdej walce chcąc stanowczo odnieść zwycięstwo, nie można ograniczyć się na odpornym działaniu. Miał swoich szpiegów, śledził przez nich obroty nieprzyjaciela i zawsze był gotów wyruszyć przeciw niemu, na czele swego dobrze uzbrojonego hufca. Wulf zaś ze swojej strony, lubo zemstę poprzysiągł, nie chciał ją jednak uczynić jedynym celem swoich czynności. On chciał rabować dla zysku, a zemścić się dla uciechy. Dlatego wojna z Kitajgrodzkim nie była mu na rękę i unikał go, ile możliwości. Jak długo trwał ten stan rzeczy, nie umiem powiedzieć - wiele razy walczono ze sobą, nie wiem - dość, że razu jednego dano znać Kitajgrodzkiemu, że Wulf ma zjechać na szabas do Liska. - Na koń! krzyknął Kitajgrodzki i nie wyszło pół godziny, już kłusował działami na czele swojego oddziału. Nie drzymał i Wulf, miał swoje czaty, bo gdy Kitajgrodzki jedną stroną od Ustrzyk wpadał do miasta, on wymykał się drugą. Dostrzeżony, ścigany, coraz mocniej napierany, skręcił nareszcie ku Sanowi i wpław się rzucił. Kitajgrodzki przypadł nad brzeg, strzelił za nim i zdawało mu się, że się Żyd po strzale na lewo pochylił. Ale czy to dlatego, że już wieczór szarzał, czy że się lękał zasadzki, nie ścigał dalej, wrócił do Liska i tam przenocował.

Nazajutrz, jeno świt, przejechał San w bród pod Zamkiem i na lewym brzegu starał się przejąć ślady naprzeciwko miejsca, z którego strzelił. Nie tak to łatwo po kamienistym polu. Głowa w dół spuszczone, ledwie nie z olstrami w równi, sylabizował rozmaite hieroglify, z których się nareszcie doczytał, że jego przeciwnik zaraz z wody ruszył z kopyta - galopował aż pod las, tysiąc może kroków od brzegu - tam stał, słuchał pewnie, czy pogoń nie pluszcze po Sanie albo czy krzemień nie tętni pod podkową na drodze z miasta. Potem skręcił na łączkę i ujechawszy paręset kroków, zsiadł z konia i uwiązał go do drzewa. Przy bliskim strumyku leżał cybuszek rogowy i długa szmatka. Z łączki wrócił do konia i jechał pomału popod las tęgi kawał aż do drożyny wiodącej w lewo w las. Tu ślady stawały się coraz radsze, gdzieniegdzie tylko kamyk usunięty albo korzeń zdarty ocale wskazywał z kilku dróg, a raczej ścieżek, którą pojechał. Nareszcie zginął wszelki ślad.

Daremnie Kitajgrodzki ze swoimi ludźmi, jak wprawni objezdnicy, zakładali na prawo i na lewo - daremnie przecinali drożyska i łąki - na każdej mokrzawie na klęczkach szukali najlichszego znaku - ślad jak zginął, tak zginął. Już było i z południa - popasiono konie w Piskarowskiej karczmie i straciwszy wszelką na teraz nadzieję dojścia złoczyńcy, ruszono ku domowi. Wyjechali z lasu i z przykryj spuszczały się góry, kiedy jeden odezwał się do drugiego: "Byłbym przysiągł, że dzisiaj sobota". - "A jużćie nie niedziela!" - odpowiedział drugi i tak głośno się roześmiał, że Kitajgrodzki jadący przodem, zapytał się: "A czego ty się tak śmiejesz, Szymonie?" - "Jakże się nie śmiać, kiedy Józef tak się tego Wulfa przestraszył, że zapomniał, że to dzisiaj sobota". - "Jakże może być sobota - odezwał się Józef - wszak w sobotę Żydzi nie jeżdżą". - "Alboż jedzie który?" - "Ot, nas minął wózkiem i ćwiczysz szkapę pod górę". - "Łapaj! - krzyknął Kitajgrodzki - łapaj!"... I sam zwróciwszy

konia, kopnął się za wózkiem, aby doścignąć, nim w las wjedzie. - Stój! - krzyknięto. - Żydziuk zbladł - zdjął czapkę i upuścił - zdjął gemerkę i upuścił. Jednak udając pół głuchego, pół głupiego, wywijał się jak wąż w swoich odpowiedziach na zapytania. Aż nareszcie harap, parę razy dobitnie na plecy spuszczone, uporządkował jego myśli i odpowiedzi, z których okazało się, że zawiózł chorego Żydka do Brzozowa do Judki cyrulika.

W niedzielę dzwoniło na Anioł Pański, kiedy Kitajgrodzki zsiadł z konia przed kościołem w Brzozowie - ukląkł - zmówił pacierz - potem zostawiwszy jednego ze swoich ludzi przy koniach, z drugimi kazał prowadzić się ujętemu na drodze Żydki. Sunął się cicho popod domy, a gdy Żydek pokazał domek cyrulika, odesłał go w tył, a sam zakołatał do drzwi. Jęczał i błagał przez drzwi, aby mu otworzono, obiecywał trzy złote, jeżeli mu pan Judka prędko ząb wyrwie. Odezwał się nareszcie jakiś bachór i powoli drzwi uchylał -

Kitajgrodzki pchnął je, wszedł i przyłożywszy pistolet pod nos zaspanemu i skrobiącemu się bachórowi, rzekł cicho: "Ani piśnij, bo ci w łeb strzelę. Gdzie Żyd chory, którego tu w nocy przywieziono?" - Bachór wskazał na schodki w głębi sieni i na wznak się przewrócił. - Dalej więc na schodki! Drzwi były zewnątrz zamknięte. Uderzone nogą otworzyły się na oścież... a kulka świsnęła pomiędzy głowy wchodzących. Żyd leżał w łóżku, wystrzelił z jednego pistoletu i chwycił za drugi... ale mu czasu zabrakło... Kitajgrodzki przycisnął sobą pistolet i Żyda razem. Ankiel Wulf - gdyż to był on w istocie - okuty i odprowadzony do Lwowa był tam nareszcie stracony dnia 16 maja 1787 na wielką pociechę Kitajgrodzkiego. Wyjechaliśmy z Cisny, odwiedziliśmy Urbańskiego w Jabłonkach, Orzechowskiego w Żerniczce, nocowaliśmy w Lisku, czyli Lesku. Za Liskiem stanęliśmy i oglądali na szczycie pagórka ogromny ułom skały. Nie widać na nim ręki ludzkiej, a jednak ze swego kształtu zdaje się być częścią jakiegoś gmachu. Różne o tym kamieniu biegają powiastki, jedna cudowniejsza od drugiej, ale najwięcej jest upowszechniona ta, która zapewnia, że diabeł niósł ten kamień, ale kogut zapał i diabeł kamień upuścił. W Ustianowej stanęliśmy na popas. Wkrótce wbiegł Żydek, powiedział coś Żydówce, Żydówka spojrzała w okno, a za nią pół tuzina Żydziatek różnego kalibru. - "Cóż tam takiego?" - spytał się jeden z nas gospodarza. - "Pan Kasper" - odrzekł gospodarz. "Czegóż go się boicie?" - odezwał się mój ojciec. - "A jak się nie bać?... On wariat!" - "Ale nikomu nic złego nie robi". - "Jak nie robi! On ma strzelbę nabitą. Raz już w okno wystrzelił". - "Przypadkiem". - "Jak przypadkiem! On, mierzył... Dwie szyby wybił". Spojrzeliśmy w górę w miejsce wskazane i ujrzeliśmy dziury w oknie gontami założone, jako pomnik owej strasznej katastrofy, która pewnie przejdzie z ust do ust, aż do najdalszej potomności tej arendarskiej rodziny. Wszedł pan Kasper Brześciański, dziedzic części Ustianowej. Miał na sobie kapotę zieloną strzeleckiego koloru, pas skórzany z klamrą. Torba i strzelba przez plecy, czapka ze siwym barankiem na bakier. Zawsze pieszo podróżował, bo jak miał swoje konie i bryczkę, zawsze kazał prosto jechać... A że prosta droga nie wiedzie do celu... więc w pierwszym potoku musiał zostawiać połamaną bryczkę. Był to piękny mężczyzna, wysoki, twarz piękna, wąs czarny, oko łagodne. Przywitał się z moim ojcem po przyjacielsku i rozmawiał czas jakiś tak rozsądnie, że ja z Sewerynem, zawiedzeni w nadziei naśmiania się z wariata, już chcieliśmy wyjść na podsienie, kiedy słowo interesa zdało się dotknąć go drutem elektrycznym i zgasić nagle pochodnię rozumu, a otworzyło razem wrota gradowi słów bez żadnego związku. Domowe niezgody obłąkały jego rozum w kwiecie młodości. Widocznie dramata na powierzchni świata przejmują nas litością albo zgrozą. Ach, gdybyśmy zoczyć mogli te liczne dramata, co się toczą w głębi serca, a cicho, a cicho... których tajemnicy strzeże nieszczęsny jak skarbu najdroższego, a skarbu nieprzebranej swojej boleści, których ogrom Bóg tylko jeden ocenić może, a świat nie przeczuwa nawet... i które nareszcie rozsadzają łono albo mącą rozum.. O, jakże często płakalibyśmy krwawymi łzami wśród tego

kwiecistego świata!

Podobne pomieszanie zmysłów dotknęło generała Kopcia w niedocieczonych jego cierpieniach na Syberii. Poznałem go w Warszawie 1820 r., przyszedł do mego brata Maksymiliana; długo rozmawiał bardzo rozsądnie, ale gdy wspomniał o swojej niewoli, nie wyszło pięciu minut, już w swojej podróży po Syberii stawał na szczycie jednej góry, skąd się na szczotkach spuszczano. Tam była granica jego rozumu. Co dalej mówił, nie miało żadnego związku. Mój brat powiadał mi, bo bawił w Puławach wtenczas, kiedy tam Kopec przyjechał zaraz lub wkrótce po swoim powrocie z niewoli, że księżna generałowa Czartoryska zleciła kilku osobom uporządkować jego opowiadanie, ile możliwości, ale nie było podobieństwa. Nawet gdy chciano skreślić mapę podług jego wspomnień, on chciał, aby zawsze rysowano góry z profilu, jedne za drugimi. I ten nieszczęsny miał zostawić pamiętniki!!! I Mickiewicz rozwodzi się nad nimi! A jednak Mickiewicz żył z osobami, co znały bardzo dobrze generała Kopcia. Wierzę tu owoczesnym pisarzom! - Nie, ówcześni mogą tylko materiałów dostarczać, a dopiero później sąd światły, oczyściwszy je z błędów mimowolnych i z błędów natchnionych duchem stronnictwa, może utworzyć prawdę dziejów.

W tych czasach pojawił się pamiętnik Jana Sagatyńskiego - pazia (?) Stanisława Augusta. Urodzenie Sagatyńskiego jest dotąd zagadką. On dawał do zrozumienia, że był synem króla, drudzy mówili, że wielkiego koniuszego Kickiego. Tak czy siak, ród jego nie uprawniał go do zaszczytnego urzędu pazia. Sagatyński był to patentowany bufon salonowy. Jego śmieszne i dobre koncepta, rozwałkowane w długie historie, żyją dotąd w tradycji i długo żyć będą, pozbawione wszakże i szczególnego talentu, i pociesznej figury ich autora. Kilka lat przed śmiercią Sagatyński bywał często w moim domu. Gdy mi raz opowiedział parę anegdotek o królu Stanisławie, powiedziałem mu, że powinien spisać, co tylko pamięta z owych czasów. W parę dni przyniósł mi arkusz pisma. Styl słaby, a raczej żaden - rozwlekłość - jedna anegdotka, i to niedowcipna - przekonały mnie, że z tej mąki nie będzie chleba. Pochwaliłem jednak i zachęciłem do dalszej pracy. Nic mi już jednak później nie przyniósł, a gdyby był co napisał, byłby mi czytał niezawodnie, nareszcie - ten niby jego pamiętnik nie odpowiada ani wesołości charakteru Sagatyńskiego, ani też sposobowi zbyt rozwlekłemu opowiadania. Wydawca, który starał się uniewinnić słabość stylu, niech się pocieszy, Sagatyński nie był w stanie i tak napisać.

Za Chyrowem, gdzie cała ludność robi pończochy na drutach, widzieliśmy po lewym ręku piękny zamek w Łaszkach Murowanych nad Strwiążem w zupełnie jeszcze dobrym stanie. W tych czasach matka moja odwiedzała w nim panią Mniszchową, matkę pani Ksawerowej Krasickiej i pana Stanisława Mniszcha.

Ledwieśmy zajechali do Żyda w Starej Soli na nocleg, przyszedł jakiś Inspektor, czyli Verwalter żupy solnej i po długiej upartej prośbie skłonił mego ojca, że wzięwszy nas z sobą, poszedł do niego na wieczerzę. Został mi w pamięci ryż przysypany cynamonem, a jeszcze bardziej zdarzenie, które mu towarzyszyło. Już mowa z niemiecka naszego gospodarza łechtala nas nie po trosze, chęć śmiechu brała nas na tortury... A cóż dopiero nie stało się z nami, kiedy pan Inspektor wzięwszy kieliszek: "Za strofie laskafego gościa!" - podniósł się, uklonił, a siadając chybił krzesło o połowę, chwycił się stołu i niepewność długo trwała, czy wróci na krzesło albo czy wleci pod stół. Cała serweta w usta wpakowana, nos ściśnięty, wejrzenia ojca nic nie pomogły, trzeba było koniec końców parsknąć śmiechem. O, śmiechu! Jak ty luby jesteś starości, kiedy zagrasz w dziecinnym garełku, tak szczerze, tak dźwięcznie! Rozciągasz wesołość wkoło siebie i na sam smutek. Porównać cię można do jutrzeńki, co swój uśmiech różany rozciąga i na zwaliska, i na zbutwiałe drzewa, i na pochylone krzyże cmentarza.

W kilka lat potem, 12-go stycznia 1806 r., dzień mroźny zabielał na wschodzie. Świece po

pokojach w Beńkowej Wiszni tlały czerwono... nikt ich objaśnić, nikt pogasić nie myślał. Pojazdy stały przed oknami... pakowano spieszenie... Dzieci zbite w gromadkę płakały, bo i starsi płakali, a płakali rzewnie. Ojciec opuszczał swój dom, bo przed godziną ostatnim westchnieniem ostatnie dała nam błogosławieństwo najlepsza, najtroskliwsza matka. Już miałem rok trzynasty, kiedy straciłem matkę, a jednak jakby zamglona przedstawia się mojej pamięci... nawet rysy jej twarzy nie dosyć wyrazisto mam przed oczyma. Widzę ją zawsze zajęta ogrodem... ona bowiem przeistoczyła i rozszerzyła ogród w Beńkowej Wiszni. Oprócz lip, szczątków ulic sklepionych w czworobok, wszystkie starsze drzewa jej ręką sadzone. Dlatego ten ogród dzieci moje szanować powinny. Te kilkanaście świerków przy ścieżce wiodącej na dół do studni - był to klombik przez nią zasadzony, złożony z dziewięciu świerków, liczby żyjących wówczas jej dzieci... Trudno teraz rozpoznać, które to te najpierwsze świerki.

W rok niespełna po śmierci naszej matki bracia moi starsi, Biegański i Trawiński wyjechali do Warszawy, by wstąpić do wojska polskiego. Mój ojciec przeniósł się na stałe mieszkanie do Lwowa, lato tylko przez parę lat na wsi przepędzał.

1808 roku siostra moja Ludwika poszła za Antoniego Rozwadowskiego. Jeżeli obowiązki córki, żony, matki, pełnione z poświęceniem nieustannie ściągnąć mogą promyk świętości, pewnie on świeci nad duszami sióstr moich: Ludwiki Rozwadowskiej i Cecylii Jabłonowskiej. Ich ciche cnoty przesuwały się niezważane, bo same nie zdawały się mieć pojęcia swojej wartości...

Ludwika po śmierci męża (1813) została z dwojgiem dzieci, bez majątku prawie, powróciła więc w dom ojcowski. Kiedy synowie, rozstrzelani na wszystkie strony, rzadkim byli towarzystwem dla starego ojca, ona z wzdychającą pod jej opieką Cecylią, otaczała go niczym nie zmordowaną troskliwością. A gdy i Cecylia poszła za męża, a ojciec coraz częściej zapadał na zdrowiu, ona i ona zawsze nieodstępna była i ona oczy mu zamknęła (1828 r.). Żyła jedynie w swoich dzieciach, za ich ciasnym kółkiem świat dla niej nie miał powabu, nie miał pociechy, a jednak gdy nadszedł rok 1830, nie wahała się wyprawić jedyne go syna do Warszawy. Doczekała się jego powrotu i dopiero 1839 roku zakończyła śmiercią długą i bolesną chorobę w domu ukochanej swojej córki, Wandy Skrzyńskiej.

Uosobioną dobrocią i łagodnością była Cecylia Jabłowska. Ostatnie jej słowa najwyraźniej malują całą świętość jej duszy. Kiedy w chwili śmierci już raz ostatni odzyskała przytomność, spojrzała na córki i na całe otaczające ją rodzeństwo i rzekła: "Ach, jak ja was męczę!"

Zdaje mi się, że w opowiadaniu moim zboczyłem z prostej drogi. Nadużywałem, jak widzę, moi państwo, cierpliwości waszej. Ksiądz proboszcz drzymie, a doktor ziewa, panie przez grzeczność o czym innym myślą. Może wspomnienie 1809 roku wszystkich obudzi. Wracam się do tej chwili, kiedy z wujem moim, Wojciechem Dembińskim, przyjechaliśmy do Nienadowej, pierwszych dni maja.

Nazajutrz po przybyciu naszym obadwa bracia, Wojciech i Antoni, pojechali do Zarzecza, aby się zbliżyć do Jarosławia, gdzie podług wieści wojsko polskie już było, i aby pewniejszych zasięgnąć wiadomości. Ja z wujenką piliśmy kawę pod kolumnami starego domu, kiedy blady, zadychany Żyd, krawiec ze złamanym nosem, wbiega na dziedziniec, i od bramy już krzyczy: "Już są!... Przyszli!... w Dubiecku!... w pałacu!... Polaki!". Nie słuchałem, nie słyszałem więcej... Jednym skokiem już byłem na ścieżce wiodącej przez Olszynkę do Dubiecka... ze mną biegł Perrot, Francuz, guwerner młodych Dembińskich.

W samej rzeczy ujrzeliśmy przy rogatce dwóch szaserów konnych 5-go pułku dowództwa pułkownika Turno. Mieli granatowe kolety, amarantowe kołnierze - od kołnierza wzdłuż okrągłych guzików po obu stronach pasek biały z amarantową wypustką, na głowie czaka z piątym numerem na

przedzie. Przy siodle karabinki, w rękę ogromne obosieczne pruskie pałasze.

To Polacy!... To Polacy! - powtarzałem i nie wierzyłem sam sobie. Dusza przeszła w oczy... wlepiąłem je w drogie zjawisko. Na ziemi leżał porąbany dwuźbisty orzeł, który był na domie pocztowym. Schwytany oficer austriacki, jadący kurierem, stał przy wozie, z miną, która zowie się gminnym wyrazem: kiepska. Poczmajster, w szlafroku i pantoflach, zapewniał wiarusów, że się bardzo cieszy z ich niespodziewanej wizyty - częstował wódką, a flaszka dzwoniła o kieliszek, bo poczmajster dostał febry z radości.

Idziemy ku pałacowi i w ulicy spotykamy cały oddział pod dowództwem porucznika Wesołowskiego. Był on potem kapitanem w 11-ym pułku ułanów.

Kiedy przy rogatce poczmajster się trzęsie, porucznik klnie, podpite szasery pakują na wóz grubego hauptmana, w pałacu kończył się okropny dramat. Patrol 5-go pułku wpadłszy do miasteczka, a potem do pałacu, zastał - jak to zwykle na wsi bywa - drzwi na oścież pootwierane, a w pokojach nikogo. Henrykowski, kapral, młody, przystojny mężczyzna, szukając tam nieprzyjaciela znalazł najniebezpieczniejszego: "pokusę". Wziął złoty zegarek. Wkrótce przybył oficer, nadeszła pani domu, przyjechał pan Ksawery Krasicki: dostrzeżono stratę i upomniano się o nią. Henrykowski przekonany, zmuszony oddać swoją zdobycz, nie mógł znieść wstydu, chwycił za pistolet i strzelił sobie w piersi. Żył jeszcze, kiedy go odwiedziłem, ale wkrótce skonał.

Jakże później żałowałem, że nie wsiadłem na jego luźnego konia i że nie pojechałem z Wesołowskim... Ale nie byłbym był świadkiem tego, co się wkrótce działo we Lwowie. Nie byłbym uchwycił: uczucia, które stało się najmiłszym, najdroższym moim wspomnieniem. Wróciwszy spieszenie do Lwowa, zafryzowałem, wypudrowałem głowę i poszedłem do wojewodziny bełskiej. Otoczony, wypytywany, nie mogłem nastarczyć w powtarzaniu wszystkich szczegółów wypadku w Dubiecku. Wtenczas z Olesia wyrosłem na pana Aleksandra.

Nie chciałem czasu tracić i mój kochany Ojciec, Polak z duszą, ciałem, nie pojmując nic wyższego nad dobro Ojczyzny i zaszczyt jej służenia, nie dał się prosić i opatrzywszy w pieniądze, wyprawił mnie z krzyżykiem na drogę do zbliżającego się wojska polskiego.

* W nominacjach oficerów do nowoformujących się pułków unikano wyrazu Wojska Polskiego. Na dowód przytaczam moje nominacje.

**Stopień szefa szwadronu, czyli majora w Gwardii cesarza Napoleona odpowiadał randze pułkownika w linii.(Przypisek autora).

*** Oficerowie pułku 11-go: pułkownik Adam Potocki, major Tański. Szefowie: książę Wincenty Woroniecki i Tomicki. Kapitanowie: Starzeński, Wesołowski, Komorowski Franciszek, Korn, Sulimierski Anastazy, Kraśnicki. Porucznicy i podporucznicy: Aleksander Stadnicki z Boratyna, Jan i Seweryn Drohojowscy z Krukienic, Józef Baworowski z Smolanki, Modest Dulski, Ignacy Szumlański, Roman Załuski, Potulicki, Mossakowski, Boznańscy, Pietruski Józef, Henryk Zielonka, Maksymilian Chojecki, Augustyn Drohojewski, Dąbrowski, Zagórski, Wincenty Nowicki, Jan Boski, Czarnek, Koźmiński, Kapitan-adiutant major Twardowski, a po nim Smoliński. Kapitan-płatnik Zwierzyński. Z samego początku Szef Adam Bierzyński. Kapitan Aleksander Błędowski. (Przypisek autora).

**** Maksymilian bawił wówczas w Puławach. (Przypisek autora).

***** Zdaje mi się, że ten Orzechowski był Wojskim przemyskim. Człowiek silnej duszy i silnego ramienia. Zginął w Krakowie, w Bramie Miejskiej, podczas Konfederacji Barskiej. (Przypisek autora).

***** Piotr Orzechowski, konsyliarz foralny w Galicji do 1809 r., potem sędzia Trybunału w Warszawie, umarł tam koło 1820 r. Był stałym i szczerym przyjacielem mego ojca. (Przypisek

autora).

Przygotowano na podstawie bookini.pl